

Ostatnie fastrygi

Irit Amiel
w rozmowie
z Agnieszką
Piśkiewicz-Bornstein

 **UNIWERSYTET ŚLĄSKI**
WYDAWNICTWO





Irit Amiel

urodziła się w Częstochowie 5 maja 1931 roku jako Irena Librowicz w zasymilowanej żydowskiej rodzinie jako córka Leona i Jentli z Hasenfeldów. Wyprowadzona z częstochowskiego getta przez ojca wojnę przeżyła na „aryjskich papierach”. Jej rodzice, wraz z najbliższą rodziną, zostali zamordowani w Treblince. W 1947 roku przyłączyła się do organizacji Bricha i nielegalnie przedostała się do Palestyny. Autorka tomów poezji: *Egzamin z Zagłady* (1994), *Nie zdążyłam* (1998) i *Wdychać głęboko* (2002), oraz dwujęzycznej antologii *Spóźniona* (2016) i przekładanych na wiele języków zbiorów opowiadań *Osmaleni* (1999) oraz *Podwójny krajobraz* (2008) – obu nominowanych do Nagrody Literackiej Nike. Przekładała z polskiego na hebrajski i z hebrajskiego na polski teksty między innymi: Marka Hłaski, Henryka Grynberga, Hanny Krall, Hanocha Levina. Utwory Amiel ukazywały się w „Midraszu”, „Słowie Żydowskim”, „Kresach” i „Kulturze”. Odeszła w Ramat Gan 16 lutego 2021 roku.

Ostatnie fastrygi

Irit Amiel
w rozmowie
z Agnieszką
Piśkiewicz-Bornstein

Ostatnie fastrygi

Irit Amiel
w rozmowie
z Agnieszką
Piśkiewicz-Bornstein

SERIA

Biblioteka Narracji o Zagładzie (1)

REDAKTOR SERII

Marta Tomczok

RADA SERII

dr hab. Piotr Bogalecki, prof. uś

dr hab. Anita Jarzyna, prof. uŁ

prof. dr hab. Piotr Mitzner (uksw)

dr hab. Lucyna Sadzikowska, prof. uś

RECENZENT

Anna Nasiłowska-Rek

PATRONAT HONOROWY



PATRONAT MEDIALNY

miasteczko
PISMO KULTURALNE | 1719

art PAPIER

[...] Jesteśmy już nieliczni i ostatni,
i pozostała nam już tylko garstka dni
na świadectwo, na grozę i na gorzkie
porachunki z człowiekiem i z Bogiem.

Irit Amiel, *Egzamin z Zagłady*¹



Zdjęcie 1. Irit Amiel przed swoim domem, Ramat Gan, listopad 2020 roku.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Ovadia 9

Miasto Ramat Gan, położone na historycznym szlaku łączącym drogą lądową Azję, Afrykę i Europę, oddaje się często Tel Awiwowi, doczepiając je jako przedmieścia czy dzielnicę tętniącej życiem najsłynniejszej izraelskiej metropolii. Ramat Gan, czyli Ogród na Wysokościach, jest wciśnięte pomiędzy miasto rozrywki, miłości i pożądania, miasto, które nigdy nie zasypia, miasto – mekkę łaknących wszelakiej czułości, a izraelski sztetl – często brudny, biedny, ultraortodoksyjny w swej większości Bnej Brak, który właśnie ma dorobić się linii tramwajowej łączącej go z sąsiednimi miastami, ale który i tak zatrzymał się w czasie przed laty, z budynkami zdecydowanie wymagającymi odnowienia i powiewającym z okien nad większością brudnych chodników praniem wielodzietnych rodzin.

Ramatganowska ulica Ovadia² biegnie w pobliżu miejskiego parku porzecinanego licznymi alejkami, nad którymi pochylają się palmy, i podlewanymi przez większość roku trawnikami, na których wylegają się Izraelczycy dokarmiający wszechobecne ptactwo krążące pomiędzy parkiem a przylegającym do niego ogrodem zoologicznym i safari. Krótka, wąska, jednokierunkowa, wypełniona rozłożystymi krzewami, żywopłotami i fikusami okalającymi wybudowane w latach pięćdziesiątych i zamieszkałe głównie przez ocalałych z Zagłady małe domki jednorodzinne. Na dachach, pokrytych czerwonymi dachówkami, lubią zatrzymywać się przelatujące kaczki i dzikie gęsi. Po prawej stronie sznur zaparkowanych samochodów. Pod numerem „9” czarna furtka, na niej pięć odklejających się i wygiętych przez wdzierające się wszędzie, palące izraelskie słońce płytek z hebrajskimi literami układającymi się w napis: „Amiel”. Na ścianie przy drzwiach wejściowych ceramiczny domek. W środku figurki domków – spora kolekcja na ścianie i półkach w kuchni, jako magnesy na lodówce, i kolejne – stojące w gablocie w salonie i na półkach w pracowni, łazience i sypialni.

– No, moje domki, nie trzeba być wielkim psychologiem, żeby zrozumieć, czemu mam tyle domków – odzywa się właścicielka domu charakterystycznym, zachrypniętym głosem, który Piotr Śliwiński nazwał niegdyś „spalonym”. Otwiera szeroko drzwi wejściowe i, śmiejąc się, śpiewa: „Drzwi się same otwierały, ooo, cud się stał pewnego razu, ooo, dziad przemówił do obrazu, ooo, obraz mu ani słowa, ooo, taka była to rozmowa, ooo...”. Przed osiemdziesięciu laty odebrano jej i zniszczono dom w Polsce. Spalił się jej świat, a ona wyszła stamtąd o s m a l o n a, podczas gdy Treblinka pochłonięła niemal całą jej rodzinę. Przyszła na świat osiem lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, ponad dwa tysiące kilometrów stąd, w świętej, katolickiej Częstochowie jako Irena Librowicz.

– Tamtej już nie ma, umarła – macha ze zniecierpliwieniem ręką i krzyczy dalej w ciasnej kuchni z dużym oknem, którego parapet wypełniony jest kolorowymi naczyniami, drewnianymi łyżkami i słoikiem z ogórkami kiszonymi domowej roboty. Zwinnie, jakby nie miała swoich prawie dziewięćdziesięciu lat, kroi i układa na tacy świeże, egzotyczne owoce (jej ulubionym jest mango), suszone daktyle, świeżo zaparzoną kawę i napar z ziół zerwanych przed momentem we własnym ogródku.

– Chodź, pokażę ci – mówi i prowadzi mnie przez salon z ogromnym stołem, wypełniony obrazami jej córki, do swojej jasnej, oszklonej pracowni, pełnej po brzegi książek, a stamtąd na zewnątrz.

– Zobacz – pokazuje na kłacza winorośli pnące się po wschodniej ścianie, niemalże wpełzające przez niewielkie okno do jej dawnej sypialni. – Zobacz, to jest jedyny czas, kiedy jestem w stanie uwierzyć, że Bóg istnieje. Pod warunkiem, oczywiście, że uznamy, że Bóg i Natura to jedno. Co roku czekam, aż te suche gałązki, okalające ściany i dach, zazielenią się na nowo i kiedy to następuje, wiem, że tuż, tuż będziemy świętować kolejne urodziny mojej córki. Czekałam na ciebie właśnie tutaj, rozkoszując się izraelskim słońcem i próbując zrozumieć, dlaczego właściwie muszę umierać, skoro tak dobrze mi w tym słońcu. To niesprawiedliwe, ale taka widocznie jest kolej życia.

Zrywa kwiaty jaśminu, rosnącego wzdłuż wysokiej ściany z drewnianych desek, zza której dobiega dziecięca wrzawa, i podstawia mi je pod nos do powąchania, by za chwilę schylić się z nożyczkami nad kępką fiołków, które wciśnie mi do ręki – One rosną cały czas, nawet lepiej, jak się je zrywa. Zobacz, takie same jak w Polsce – mówi podekscytowana i prowadzi do niezliczonych, wybrzuszonych glinianych donic biegnących wzdłuż ściany odgradzającej ją od ortodoksyjnej sąsiadki, wypełnionych kwiatami

i ziołami. Zatrzymuje się przy drzewku z drobnymi pomarańczami, zrywa kilka i podaje mi do spróbowania, pokazując na kaktus zerkający przez wysoki płot od sąsiadów.

– Widzisz te owoce na nich? To opuncje, po hebrajsku *sabres*, czyli kwintesencja Izraelczyka: kolczasty na zewnątrz, słodki i miękki w środku. – Nożyczkami ścina *luizę*, jak nazywają tu popularną odmianę werbeny, drobne gałązki z zielonymi listkami o świeżym zapachu. – To będzie twoja herbata – mówi z zadowoleniem. Układa na tacy filiżanki, brzdęka talerzykami, podśpiewuje pod nosem dawne piosenki z Częstochowy, a przed wykonaniem stresującej czynności żegna się, zerkając na mnie z błyskiem w oku i mówiąc: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen!

Irit Amiel poznawałam trzy razy.

Po raz pierwszy latem 2007 roku w miejscu mojego urodzenia, w Beskidzie Wyspowym, kiedy po kilku latach poszukiwań udało mi się dostać *Osmalonych*, by jednym tchem przeczytać te opowiadania o ludziach z miasta, w którym wtedy mieszkałam – Częstochowy.

Drugi raz rok później, upalnego lata 2008 roku w Tel Awiwie, w małej kawiarni na Allenby – parnej, głośnej i tłocznej ulicy, wypełnionej przed laty polskimi sklepami, księgarniami, urzędami. Miesiąc wcześniej, w czasie swojej podróży do polskich korzeni, Ronit, której matka żyła do wybuchu wojny w moim rodzinnym miasteczku Szczekociny, zapytała zniecka, czy znam Irit Amiel... a może chciałabym ją poznać, bo to mama jej koleżanki, od której Ronit kupuje zaprojektowane ubrania, sygnowane imieniem córki Amiel – Dita – i sprzedaje w swoim butiku na głośnym, cuchnącym jerozolimskim szuku Machne Yuda.

Irit bezceremonialnie każe mi wtedy nazywać się po imieniu, a po intensywnej rozmowie, kiedy jej córka kończy oprowadzanie nas po swojej pracowni wypełnionej ubraniami i prosi, by wybrać sobie coś na pamiątkę, przyjrzy mi się i zapyta, czy radzę sobie z komputerem, bo właściwie – okazuje się – ona szuka kogoś do pomocy w pisaniu i w swoich literackich sprawach. Cierpliwie poczeka na mnie cztery lata, aż zakończę swoje życie w Polsce, przeprowadzę się do jej drugiego kraju i nauczę się jej drugiego języka, by zacząć ze mną wspólną podróż w naszym wspólnym pierwszym, której to podróży w pewnym sensie zwieńczeniem czy ukoronowaniem jest ta książka – zapis naszych licznych, długich rozmów na przestrzeni kilku lat, odbytych w jej ogródku, w salonie, w pracowni, czy w drodze na różne spotkania, podczas których jej towarzyszyłam.



Zdjęcie 2. Pracownia Irit Amiel, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

I to podczas sklejania naszych wspólnych myśli, uczuć, pytań i odpowiedzi poznałam Irit po raz trzeci. Kiedy nagle przerywała wszystko i szła po tabletkę na uspokojenie. Kiedy mówiła: „tego jeszcze chyba nie mówiłam nikomu”, czy: „ale tego nie pisz”. Kiedy okazywało się, że nadal jest „tam”, po tylu latach, i kiedy po raz pierwszy i jedyny widziałam ją łkającą, wzruszoną literaturą o Zagładzie.

W jej opowieściach powtarzały się nazwy ulic Nadrzeczej i Garncarskiej, w sąsiedztwie których mieszkała w czasie wojny, w getcie, a gdzie ja po kilkadziesiąt lat wędrowałam z uczniami, robiąc zdjęcia do projektu „Ocalić od zapomnienia” i odkrywając z nimi żydowską historię Częstochowy. Wtedy, w pobliżu, stała jeszcze rampa obok nieczynnej stacji kolejowej, z której przed prawie sześćdziesiąt laty wysłano pociągami do Treblinki kilkadziesiąt tysięcy częstochowskich (i nie tylko częstochowskich) Żydów, w tym rodziców i najbliższych z rodziny Irit Amiel, wtedy Irenki Librowicz.

Tymczasem tu, w jej zalanym słońcem izraelskim domu, trwają sobie spokojnie, uwiecznieni na zdjęciach oprawionych w ramki, stojących nad głową ukochanej jedynaczki. Jej włosy zdążyły stać się białe, ale w środku pozostała bolesna niepewność i wiele nieprzemijających pytań o przeszłość. Tatusz – elegancki, wsparty na lasce, przy oknie po prawej, na białych, drewnianych półkach w pracowni, jak zwykle z zawadiackim uśmiechem. Mama tuż obok, po lewej. Jak to ona: zamyślona, melancholijna, zapatrzona w dal. Stoją nad książkami o swym własnym losie, napisanymi przez ukochaną córeczkę, przetłumaczonymi na kilka języków. Okładki stanowią jednocześnie kolekcję obrazów wnuczki, której nigdy nie poznali.

Obok Lolo. Ma cały czas dziewięć lat i śmieje się do aparatu na łące, trzymając w ręce rakietę tenisową. Poniżej Lucek, chwyta za dłoń Irenkę patrzącą w dół, oślepioną słońcem.

W przyległym do pracowni salonie babcia Udl. Smutna, posągowa, stoi sobie w gablotce z naczyniami, świecami i porcelanowymi domkami, które zbierać będzie jej ukochana wnuczka Irusia.

W żydowskim kraju, do którego uciekła brawurowo ich wychuchana Irenka, są bezpieczni.

Może nawet nieśmiertelni.

Irit Amiel:

Gdybyśmy tak się spotkały w przedwojennej Częstochowie, zwracałybyśmy się do siebie per pani, w trzeciej osobie. Tak jak mówiono do mojej babci: „Czy starsza pani zechce napić się herbaty?”.

Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein:

Czy więc starsza pani zechce przenieść się w czasie i wrócić tam na chwilę, żeby podzielić się ze mną strzępami swej pamięci?

Migawki z Częstochowy



*Puchowy śniegu
tren*

Irit Amiel: W letnią, upalną noc, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat słyszę znajome nucenie: „Puchowy śniegu tren w krąg roztacza swe czary, dźwięczą sanek janczary, miasto spowił już sen... A przez ulicy cieśń, zdobną w śniegowe szaty, jedzie panicz bogaty, nucąc wesołą pieśń. A wtem do sań podbiega dziewczyna, niosąc bzy, do jej łachmanów brzeга przymarzły śnieżne skry, wyciąga drżące dłonie w śniegowych płatków rój i cichy szept jej wionie: Kup kwiaty, panie mój!”³.

I znów wracam w tamte lata, choć gdzieś w głowie kołacze mi się niepokój: jak bzy i śnieg razem?

To gruba Aniela, praczka. Wiecznie podśpiewuje sobie przy pracy. Budzę się, łapię kartkę i długopis. Trzeba szybko zapisać tę piosenkę z dzieciństwa i równie szybko założyć skarpetki, zanim przyjdzie mama, wystawi dłoń przez lufcik i postanowi, że na skarpetki za zimno i konieczne trzeba założyć rajtuzki.

Kocham wtenczas pranie! Robi się je chyba raz na miesiąc. Aniela, tęga kobieta ze wsi, ma na sobie kilka spódnic, jedna na drugiej, i gęste jasne włosy spięte pod chustką. Przychodzi rano i pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić, to podać jej bawarkę. Aniela raczy nas ze swojego muzycznego repertuaru także złotowłosą Mimi, córką starego Jimmi, co tęskni za chłopcami z Albatrosa, za tym pierwszym, co był chudy, za tym drugim, co był rudy, za tym trzecim, co to wódkę lubił chlać, i za czwartym, tym upartym, co miał w górę nos zadarty, i za piątym, tym najmłodszym, co w miłości był najśladzsy, no i z czartem o swą duszę umiał grać...

Na środku kuchni, która wówczas wydaje mi się bardzo duża, stawia się drewnianą balię z blaszaną tarą i wyżymaczkę na odpowiedniej wysokości, żeby praczka nie musiała się schylać przy praniu. Gotuje się na piecu w kotle wodę i napełnia balię wrzącymi mydlinami w czasie, gdy praczka

pije swoją bawarkę. Pranie trwa cały dzień, a ja nie wychodzę z kuchni. Biorę sobie swój stołeczek i siedzę, przypatrując się zafascynowana. Kuchnia jest pełna pary, mydlin i wszędzie unosi się zapach proszku i czystości. Białą część prania płucze się w zimnej wodzie z dodatkiem wybielającego chlorku. Na końcu wszystkie trzy: pani Helena, gruba praczka Aniela i ja, wchodzimy na strych z szaflikiem i wieszamy mokrą, nakrochmaloną wcześniej bieliznę.

Na takich strychach będąc się kilka lat później ukrywała między wilgotnymi cieniami suszącej się bielizny⁴.

A tymczasem cały dzień pani Helena sprząta, krząta się i brzęczy filiżankami, kiedy przynosi mamie kawę i dowiaduje się, co ma być na obiad, żeby kupić odpowiednie produkty. Czasem zabiera mnie ze sobą na zakupy.

W Alejach kręci się moc pielgrzymów, oglądają różne dewocjonaia, najczęściej produkowane w małych miejscowych warsztatach żydowskich. Kiedy przechodzą pielgrzymki, ludzie zdejmują czapki z głów na znak szacunku. I niechby tylko jakiś Żyd tego nie zrobił – a przecież Żyd na znak szacunku i wiary tę głowę przykrywa – zaraz by oberwał!

Tak było w moim małym częstochowskim rajcu w latach 1931–1939, zanim przed oczyma Czarnej Madonny dokonana się żydowska gehenna. Pozostałe sześć lat to wojna, głód, samotność, ukrywanie się przed polowaniem na Żydów, ucieczki z miejsca na miejsce między gettami, wsiami i miastami, w potwornym strachu przed śmiercią, zazwyczaj z rąk Niemców, przy aktywnej współpracy polskich szmalcowników i pomagierów w każdym wieku, od dzieci wskazujących palcem i krzyczących: „Żydówka! Żydówka!”, po dorosłych ze świdrującym spojrzeniem, obiecujących nie zaprowadzić na Gestapo, jeśli odda się kosztowności.

I nikomu, wierzajcie mi, nikomu nie wybaczyłam nigdy tej orgii żydowskiej krwi, w której się z wielką rozkoszą kąpali Niemcy, Polacy, ich bogowie i nasz Pan Bóg, co się też odwrócił.

Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein: Ile pozostało jeszcze polskiej, częstochowskiej Irki w izraelskiej Irit?

Tamtej już nie ma. Znikła.

...

Jest ktoś inny. Przecież każdy zmienia się z wiekiem.

Tamta Irka pomału umierała po drodze, rozwiewała się z wiatrami, raz z gorącym chamsinem, a raz z chłodną morską bryzą, więdła i kawałkami odpadała...

Teraz zamykam koło, więc wiele spraw trzeba wyjaśnić. Wcześniej tętniło mocno życie izraelskie, błogosławionej pamięci męż⁵, dzieci⁶, hebrajski, moi nowi przyjaciele, nowe państwo, wojny, Arabowie – co ich, a co nasze... A ja jak poczwarka za każdym razem przeobrażałam się na nowo.

W kibucu zaraz pierwszego dnia dali mi imię Irit, a moje koleżanki i tak całe życie wołały mnie „Irka”, i tak samo piszą do mnie do tej pory ich córki. Dla męża byłam tylko Irit. Jak ktoś mówi „Irka”, to od razu rzuca mnie tam, z powrotem do Częstochowy. To jest dziwne uczucie. Momentalnie zostaję wrzucona w jakąś inną tożsamość.

Czy nadal zdarza się, że „na okamgnienie tam jest tu a tu jest tam”?

Już teraz raczej nie.

Czasami letnią wieczorną porą
gdy lekki wiaterek od morza wieje
zapachnie na chwilę po dawnemu.

A ona na miejscu truchleje
i zastanawia się, czy jest wciąż
czy nadal jest tamtą dziewczyną
co godzinami stała sama na peronie
wpatrzona w rozpędzone pociągi
zduszona tęsknotą, łzami i nadzieją
albo biegała pomiędzy wagonami
szukając na obcych twarzach
tego ukochanego wymiętoszonego
uśmiechu ze starego wyblakłego
zdjęcia, który nie wróci już
z żadnej podróży.

Czasami letnią porą
gdy lekki wiaterek od morza wieje
na okamgnienie tam jest tu a tu jest tam⁷.

Co najbardziej przenosi panią „tam”?

Chyba język!

Czy to znaczy, że kiedy przychodzę do pani, jesteśmy „tam”?

Chyba nie... Pani również jest już stąd, choć jedną nogą na zawsze tam, bo tam mieszkają pani rodzice... Ja chyba jednak mniej, bo moi rodzice nie mają tam nawet grobu, są dymem rozwianym wiatrem przed laty...

A język niemiecki?

Dziś przypomina mi raczej jidysz.

Kiedyś, gdy przed laty leciałam do Europy, dajmy na to do Holandii, i otwierały się drzwi samolotu, choć byłam tam pierwszy raz, od razu czułam się u siebie. Technicznie tamtejszego powietrza, aromat Europy, pogody europejskiej, powiew wiatru przypominały mi początek mojego życia i dopiero z upływem czasu, po latach w Izraelu zauważyłam, że właśnie ten izraelski, gorący, parujący i wilgotny chamsinowy wiatr daje mi poczucie domu. Wcześniej przez długie lata był to klimat europejski.

Co pachniało pani po dawnemu?

Zapach mokrych pól na przykład, ale najbardziej jednak z Polską kojarzy mi się zapach kwiatów bzu. W moje urodziny pachniało bzem, w końcu to maj!⁸ W nocy przed samymi urodzinami rodzice⁹ zawsze byli zajęci przygotowywaniem mi niespodzianek, myśląc, że już śpię. Układając prezenty: lalki, książki, które zawsze bardzo lubiłam, i zabawki – kuchenkę, sklep spożywczy – i właśnie kwiaty bzu, dokładali wszelkich starań, żeby wszystko było gotowe, kiedy obudzę się rano.

No, proszę pani, czy można po takich numerach z dzieciństwa zabrać się poważnie do życia?

Przez długi czas było też tak, że zapachniało znienacka mamą, przypominał mi się zapach perfum na jej skórze. „Soir de Częstochowa”...



Zdjęcie 3. Natalia (Jentla) Hassenfeld, matka Irit Amiel, ok. 1900 roku.
Fotograf nieznan

Jak ją pani zapamięta?

To zależy od czasu... Najmocniej wyryło mi się w głowie, jak ją Gestapo zrzuciło ze schodów...

Inaczej pamiętam ją sprzed wojny, inaczej z czasu wojennego.

Była bardzo elegancką, pachnącą, zadbaną kobietą. Wybierała sobie materiały i zanosila do krawcowej, która dla niej szyła. Były w Częstochowie modystki, które robiły kapelusze i woalki. Mama też miała kapelusze z woalką, który zakładała, wychodząc z domu – to było tuż przed wojną. Jak wszystkie kobiety wtedy miała zawsze starannie ułożone włosy.

Na dobranoc śpiewała mi: „Na zabawy, na pieszczoty, mama nie ma czasu. Musi zasiaść do roboty w ciszy, bez hałasu”.

Pamiętam także inne kołysanki. Może stamtąd właśnie czerpałam później siły, jak wpadłam w tę rzeź, skoro u mnie w domu było: „Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz”...

Ale mimo to pamiętam też ogromną żydowską biedę na częstochowskim Meksyku.

Wojna przecięła życie i postawiła nas w innym, złym miejscu. Potem najważniejsze było życie. W getcie mama gotowała mi zupę z brukwi, znienawidzoną przeze mnie, ale dzięki temu nie byłam głodna.

Ale nie do tego się tęskniło. Tęskniło się, żeby ktoś kochał. Do miłości, czułości.

Czy Chuzy, pani mąż, wielka miłość, złagodził tę pani tęsknotę?

W pewnym sensie tak, a w pewnym nie.

Przy obu ciążyach miałam jedną spódnicę i dwie bluzki, obie pożyczone, i myślę teraz, z perspektywy czasu, że chyba miałam depresję poporodową... Właściwie, jak mogłam nie mieć? Nie miałam matki, ciotki, babki, kuzynki, nawet teściowej! Kiedy się pobieraliśmy, na ślubie nie było nikogo z mojej rodziny! Kiedy urodził się mój syn, byłam kompletnie sama z moim małym dzieckiem. Nie wiedziałam, co i jak mam robić w domu, nie miał mi kto pomóc. Przychodziły siostry mojego męża, ale w odwiedziny. Jeszcze były wtedy bezdzietne. Koleżanka z Hajfy

przyjechała mi pomóc i pokazać, jak się zajmuje dzieckiem. Jest gdzieś list z tamtego czasu, który piszę do koleżanki, opowiadam, jak jestem szczęśliwa, patrząc na mojego syna, ale to był też bardzo trudny czas. W szpitalu w czasie porodu usłyszałam nagle język niemiecki i ogarnął mnie strach, że robią na mnie jakieś eksperymenty... Cały czas myślałam, że z powodu mojego smutku kwaśniej mi mleko...

Wtedy najbardziej odczułam brak rodziców, zwłaszcza mamy, która mogłaby mi pomóc.

W ogóle po wojnie doszłam do przekonania, że kto ma mamę, ten ma wszystko... Wiele razy myślałam sobie: nie odnoszono by się do mnie tak i tak, gdybym miała rodziców... Ale i pierworodny Oni, a potem śliczna i zdolna córka Dita przynieśli i nadal przynoszą mi dużo szczęścia. Było i jest po co i dla kogo żyć! No i właśnie mój mąż!

Ale w chwilach, kiedy rodzice odgrywają bardzo ważną rolę w życiu wchodzącego w dorosłość człowieka, wtedy napadała ta tęsknota. Nie wiedziało się, co zrobić czasami! Ogarniały człowieka takie bezsilność i bezbronność. Dotychczas było się samemu i jakoś się dawało radę, a nagle jest się odpowiedzialnym za coś ogromnie drogiego, jeszcze nawet nie rozumie się, jak drogiego, kawał własnego ciała! To jest wtedy ta tęsknota za mamą, bo się nie tęskni przecież za zupą z getta na Meksyku...

Co to był Meksyk?

Sama bieda z nędzą, bród, smród i ubóstwo, wszystko, co najgorsze. Odkąd pamiętam, babcia tak mówiła. Potem tam właśnie Niemcy zrobili duże getto, a po jego likwidacji małe getto.

Byłam wtedy tylko dzieckiem, ale pamiętam, że mieszkała tam ogólnie biedota, chyba mieszana. Okolica była wybrukowana kocimi łbami i nie miała dobrej opinii.

Były tam knajpy, a jedna z nich nazywała się Ostatni Grosz i tam podobno Polacy przepijali swoje ostatnie grosze.

W Częstochowie kręciło się też wtenczas dużo wariatów, a może mi się tak wydawało, że ich było dużo, bo się ich panicznie bałam. Wszyscy łązili po Alejach, zwłaszcza po Pierwszej, koło mostu. Jeden nazywał się Spirytus, była karlica o imieniu Rywele, Żydówka. Była Królowa

Jadwiga, była Wójcicka – widocznie chodziła dziwacznie ubrana, bo jej nazwiskiem posługiwano się, mówiąc na przykład: „Co tak się ubrałaś, co ty jesteś, Wójcicka?”. Przecież Częstochowa to było małe miasteczko, to nie Łódź!

Byli inni, niezrozumiali, wyciągali ręce, żebrząc, zaczepiali ludzi, grozili im. A ja się bałam! Często przychodzili do mnie we snach... Nawet i po dziś dzień!

Co to za sny?

Koszmary! Bardzo się bałam na przykład spotkać ich na schodach, kiedy wracałam z kompletów w getcie, bałam się, żeby mnie nie złapali. Szczególnie Rywele, jej bałam się najbardziej, bo ona dochodziła do ludzi, ciągnęła ich za rękawy... Więc potem mi się to śniło.

Proszę nie zapominać, że w przedwojennej Polsce mówiło się dużo i często o porywaniu dzieci, na przykład przez Cyganów, więc się bałam!

Mówiło się też o porywaniu polskich dzieci na macę.

Jestem przekonana, że z powodu takich właśnie spraw rodzice nie posyłali mnie do freblówki i do szkoły. Pozornie, żebym się nie zaraziła chorobami, ale w istocie chodziło o to, żebym była odcięta od panującego antysemityzmu.

Rywele opisała pani w jednym ze swych wierszy:

Alejami i zaułkami mojego świętego miasta
z wielką głową na karłowatym ciele
dniami całymi łąziła obłąkana Rywele,
na pół dziewczynka, na pół niewiasta.

Kołysała się na rozdętych nogach jak kaczka,
nocą kręciła się w moim różowym pokoiku po kryjomu [...]¹⁰.

I Janka Sak, moja przyjaciółka pisarka, powiedziała mi kiedyś, że tym wierszem stawiam Rywele pomnik. Zadzwoiła do mnie i powiedziała: „mój Boże, Rywele to był mój największy strach dzieciństwa!”. Ojciec Janki, profesor Sak, był nauczycielem w żydowskim gimnazjum w Częstochowie, a po wojnie posłem na Sejm.

Saul Czernichowski, który jak pani urodził się w diasporze i przeniósł do Izraela, w jednym ze swoich wierszy napisał: „jesteśmy tylko i wyłącznie odbiciem swego rodzimego krajobrazu”¹¹. Czy zgodzi się pani z tym twierdzeniem?

Jest w tym coś. Proszę pani, w maju 2020 roku stuknie mi osiemdziesiąt dziewięć wiosenek, mieszkam w Izraelu ponad siedemdziesiąt lat, przodkowie mojego błogosławionej pamięci męża przybyli tu przed kilkuset laty z Maroka. Z moimi dziećmi, wnukami i prawnukami porozumiewam się tylko i wyłącznie po hebrajsku, bo są Izraelczykami, a o sobie myślę, że jednak zostanę *Polania*¹² aż do śmierci.

Lem mówił o sobie, że „lwowianinem się urodził i lwowianinem umrze, bo człowiek to nie szafa, którą się przesuwa z miejsca na miejsce”¹³.

Pani jest częstochowianką?

Nie wiem. Wprawdzie tam się urodziłam, to jest wszędzie napisane. Nie w Paryżu, szkoda, ale nie.

Nie, nie jestem częstochowianką. Jestem ramatganką urodzoną w Częstochowie. Przecież nas Polska nie chciała!

Jest takie powiedzenie, że może da się Żydów wygnać z Polski, ale nie da się z Żyda wygnać Polski... Polska była, jest i pozostanie nieodwzajemnioną miłością Żydów.

Ale może rzeczywiście to polskie żydostwo jest wyjątkowe? Tysiąc lat ich życia tam to nie bagatela! Najwięksi rabini – kwiat europejskiego żydostwa! Na pewno nie bez znaczenia jest fakt, że to tam właśnie wybucha z taką mocą zagłada Żydów, że udaje się ją przeprowadzić. I nie ma nic! Nic nie zostaje. Wszystko idzie z dymem, z ogniem, ale jednak jest coś takiego, co, niestety, pomimo wszystko, wiąże tych polskich Żydów na zawsze z Polską.

Może właśnie nasze popioły Szoa, bratnie groby, ziemia, na której stały obozy... Ziemia przesiąknięta krwią i wypełniona kośćmi naszego narodu...

Mówiło się przed wojną często, że „Polakom wydaje się, że są Francuzami, a polskim Żydom, że są Polakami”. I mnie się wydawało, że polscy

mężczyźni mieli jakiś europejski czar, który potrafili wykorzystać, ale niestety, alkohol, chciwość i łatwość zdobycia żydowskiego dobrobytu bardzo często zmieniały ich w dziki. Co to jest Jedwabne przecież?

Widocznie jest taka choroba u polskich Żydów, nieuleczalna zresztą, „żydowska choroba na Polskę”. Polskomania, nawet kiedy się nie jest obywatelem pożądanym.

A może to jest europomania? Zastanawiam się cały czas, czy inni też tak to odbierają – Żydzi z Węgier, Bułgarii czy Rumunii.

Moja osmalona znajoma Adi mieszka w Tel Awiwie, ale tak naprawdę to w Paryżu! Ma dwa kanały telewizji francuskiej, które nałogowo ogląda, pali wyłącznie Gitanes'y, pije francuskie wino, czyta francuską literaturę i nie za bardzo lubi Izraelczyków.

Jeszcze inna znajoma także od lat mieszka w Tel Awiwie, a w rzeczywistości w Nowym Jorku. Ogląda wyłącznie amerykańskie programy i filmy, ma wielu amerykańskich przyjaciół i czyta tylko po angielsku.

A może ja na starość mieszkam sobie nieco w Polsce? Tylko telewizję oglądam po hebrajsku i codziennie czytam „Ha'aretz”, który przynoszą mi pod drzwi, ale zaraz potem od kilkunastu lat siadam przed komputerem, otwieram Facebooka i czytam wiadomości od dziesiątków moich nieznanym przyjaciół z Polski. A wieczorem, po newsach hebrajskich, czytam Masłowską, Myśliwskiego, Twardocha, Tokarczuk, Wichę i Witkowskiego, przeglądam „Zwierciadło”, „Pismo”, „Tygodnik Powszechny” czy „Książki”.

Pani podwójny krajobraz?

Tak. Jest we mnie od zakończenia wojny. Urodziłam się w Polsce jako Żydówka i moje trudne dzieciństwo wypadło jak jakaś karma na drugą wojnę światową, na okupowaną Polskę i na hitlerowską rzeź Żydów.

Nawet emigrując do żydowskiego nowego państwa, zostałam podwójna. Tam asymilowałam się na Polkę, a tu na saberkę¹⁴. Ale wszystkie fale imigracji przechodzą taki proces, Etiopczycy, Jemeńczycy, Rosjanie. Tak jest na całym świecie, a szczególnie u nas.

Można później żyć w innych klimatach, językach i krajobrazach, ale patrzy się na sprawy podwójnie. To właśnie czyni ten krajobraz podwójnym.

***Polania*, po hebrajsku „Polka”, bohaterka licznych dowcipów, niesie ze sobą opisywany wielokrotnie, stereotypowy obraz wiecznie niezadowolonej, sceptycznej i pesymistycznej, wręcz zimnej, jak tu mówią wprost, kobiety. Co ma pani na myśli, nazywając tak siebie?**

Martwienie się. Każda mama się martwi, ale *Polania* martwi się aż do trzeciego pokolenia, zamiast powiedzieć sobie: „przecież nic już nie możesz zrobić”. Na przykład jest środek lata, moja wnuczka trzyma na rękach swojego małego synka, a ja ją pytam: „Nie jest mu zimno? Może trzeba założyć mu skarpetki?”, podczas gdy na dworze jest ponad trzydzieści stopni!

Martwiłam się o mojego starszego prawnuka, zwłaszcza kiedy szedł do pierwszej klasy, czy nie będą go bić, bo on jest taki delikatny...

Albo przed ślubem mojego wnuka, kiedy jechałam akurat autobusem z zakupów i nagle zrobiło mi się słabo. Czułam, że jest źle, ale przywołałam się szybko do porządku: „nie możesz przecież zrobić tego swojemu synowi na dzień przed ślubem jego syna!”. Siłą woli udało mi się wtedy nie zemdleć.

Pamiętam nasilenie konfliktu izraelsko-palestyńskiego z 2012 roku. Pierwszy raz usłyszałam wtedy wycie syren, a pani powiedziała mi: „Moja droga, jak się rodzi dzieci, to trzeba mieć zaufanie do świata”.

Więc ja, oczywiście, nie mam. Ale dzieci przychodzą same, nie myśli się o tym, przecież one niemal same pchają się na ten świat. Jestem zdania, że ci, co zostali, mieli obowiązek zapełnić z powrotem świat Żydami.

W ogóle nie mam zaufania do świata, ale nie mam też nawet złudzenia, że jeśli cały czas będę czuwać, to coś zmienię. Mam jedynie niewielką zdolność opanowania osobistej paniki.

W czasie wojny czasem było tak, że chciało się zapomnieć, bo jakby kłuli szpilkami pod paznokciami, to się powie prawdę o pochodzeniu. I czasem się zapominało. Jak długo dziecko może pamiętać? Jeśli jest mu dobrze, zapomina. Jak się czegoś nie wie, to nie można tego powiedzieć. Byli

rodzice, którzy mówili: „pamiętaj, twój ojciec nazywa się tak i tak, a ty jesteś ten i ten. Tylko tymczasowo masz inną tożsamość”. Przecież ten rodzic nie mógł wiedzieć, jak długo to będzie trwało.

Mimo że wtedy byłam tylko małą dziewczynką, nie chciałam w żaden sposób zapomnieć. Doceniam to ogromne szczęście, że od zawsze mam i pamiętam swoją tożsamość.

Pani drogi przyjaciel Henryk Grynberg twierdzi, że dzieci ocalone z Holocaustu na zawsze pozostały dziećmi.

Powiedział, że ocaleni są dziecinni, bo nagle z dziecka musieli stać się pozornie dorosłymi i ominąć je okres dojrzewania.

Mogę mówić tylko o sobie: mimo że zbliżam się do pięćdziesiątki, nadal obrażam się jak dziecko, jakbym wczoraj wyjechała z Częstochowy.

Przed wszystkim jednak stałam się sierotą, z czego nie zdawałam sobie na początku sprawy, bo przepychałam miesiące, tygodnie, dni, godziny i minuty na „aryjskich papierach”, drżąc ze strachu i przed Niemcami, i kapusiami różnej maści. Uciekałam i kryłam się przed śmiercią, udając gojkę i czekając na rodziców.

W Polsce była pani Żydówką wśród Polaków, a tutaj Polania pośród sabrów.

Tam wyzywali od żydowskiej, a tutaj od mydła, baranów, które szły na rzeź, czy *Polnische dripe*¹⁵.

To nie Żydzi mają religię, to zawsze religia ma Żydów. I w którymś momencie w życiu, żeby zrobić jakąkolwiek karierę w Polsce, cokolwiek osiągnąć, Żydzi musieli zrzucić chałaty i pejsy, i zacząć się asymilować. Do swoich rodziców będą mówić jeszcze po żydowsku, ale do dzieci już po polsku. Po wojnie ci sami, już zasymilowani, przyjadą tu do kraju i będą zmuszeni upodabniać się do tutejszych. Tak jak robi każdy emigrant na świecie! Będą musieli się szybko nauczyć hebrajskiego, nowego języka, żeby nie być kaleką, żeby móc rozmawiać ze swoim własnym, nowym dzieckiem. Nie będzie nawet czasu, żeby przeżyć żałobę po języku polskim.

Bardzo wcześnie to do mnie dotarło, że tak samo jak w Polsce trzeba było się zasymilować, tak tutaj trzeba się adaptować do Izraela. Nowy kraj, ten sam proces. Nauczyć się szybko języka, ubierać się jak miejscowi, czesać się jak oni, nauczyć się ich manier, przyswoić ich styl bycia.

W Polsce jest się po prostu Żydem. Żydem wśród Polaków. Tutaj jest się Polakiem, Jemeńczykiem, Rosjaninem, Marokańczykiem czy Etiopczykiem – wśród Izraelczyków. Zawsze powtarzam, że Izrael bardzo kocha imigrację, ale nie znosi imigranta za to właśnie, że jest inny, że mówi obcym, innym językiem, jada inne potrawy o obcych zapachach, a może i wzbudza też zazdrość, tak jak w przypadku tego miliona wykształconych, czytanych Rosjan. A zazdrość jest silniejsza niż wszystko, bo jest matką nienawiści.

Udało się pani zasymilować?

A jak pani uważa?

Podobno jeden z pani znajomych określił panią kiedyś tymi słowami: „Irka, ty jesteś największa saberka z tych wszystkich naszych Polaniot”!

Najlżej mi udawać saberkę. Wyszłam za męża za sabrę i przyswoiłam sobie wszystkie jego maniere. Proszę sobie wyobrazić, że zazwyczaj, kiedy przychodził do domu jakiś instalator coś nam naprawić, myślał, że mój mąż jest z Polski, bo się targował o cenę, a ja *mizrachit*¹⁶, bo przynosiłam kawę i poczęstunek na szybko przygotowany w kuchni, a tak się mówi o nich przecież – że są ciepłi i gościnni. Zresztą mam też twarde „r” i jest coś w moim akcencie, co sprawia, że czasem myślą, że jestem z Bułgarii czy Grecji. Jak każdy emigrant długi czas odstaję – w akcencie, w zachowaniu.

Asymiluję się, ale zawsze pamiętam, kim jestem. Przede wszystkim tutaj na początku byłam dość samotna i tak bardzo chciałam się zakorzenić w nowym kraju, że choć miałam ten swój mały polski świątek, nie przyłączyłam się do moich przyjaciół, którzy poszli budować kibuc Megiddo. Moje przyjaciółki z Częstochowy poszły tam razem ze swoimi polskimi mężami. Wśród nich znalazła się grupa chłopców z Warszawy, nazwanych po wojnie „chłopcami z placu Trzech Krzyży”. W czasie wojny uciekli z getta, sprzedawali papierosy i „Nowy Kurier Warszawski”. Kręciłam się tam sporo, pamiętam, że mi się nie wydawali w ogóle



Zdjęcie 4. Członkowie Kibucu Yosef Kaplan: „To była moja rodzina. U góry chłopcy z Rosji, pochodzili z takich wioch czasem, że nie wiedzieli, do czego służy widelec czy skarpetki. W czwartym rzędzie od dołu, pośrodku, w okularach stoi Natka Gold, o której napisałam wiersz¹⁷, jak ją bili Niemcy. Obok niej, z prawej, Dziunia, moja przyjaciółka. Na dole siedzą: druga od prawej Marysia Szajkowicz, Fela Krakowska, Hanka Kirschenbaum, nasz przewodnik, Lilka (popętniła samobójstwo¹⁸), Dorka”, ok. 1946 roku.

Fotograf nieznan

podejrzani. Poznałam ich jednak dopiero podczas drogi do Nowego Kraju, byliśmy razem cały ten czas i razem śpiewaliśmy wszystkie piosenki hebrajskie, żydowskie, polskie.

Megiddo jest słynne w całym chrześcijańskim i żydowskim świecie, bo tu ma się dokonać ostateczna bitwa między siłami dobra i zła; Harmagedon po hebrajsku, a po grecku Armagedon. W starożytnym Izraelu Harmagedon strzegł głównego skrzyżowania dróg z Egiptu do Damaszku i Eufratu, i trzymał w szachu karawany przejeżdżające tamtędy dniami i nocami. Z tego powodu odbyło się tu wiele rozstrzygających bitew.

Ja postanowiłam przyłączyć się do grupy sabrów, byłych Palmachników¹⁹, założyć inną osadę kibucową nad morzem, bo podobali mi się tylko ciemni mężczyźni. Blondyni przypominają Niemców, Polaków i Anglików. I mimo mojej obcości, mimo tego, że jestem świecką Żydówką, to zawsze czuję tę wspólnotę, coś, co łączy nas, wszystkich Żydów.

Ale na początku, kiedy kogoś poznawałam, przedstawiałam się: „Nazywam się Irit i jestem ocalała z Szoa”. Odpowiadali mi wtedy: „W ogóle nie wyglądasz!”.

Dokładnie tak samo jak w Polsce przed wojną: „Nie wyglądasz w ogóle na Żydówkę!”.

Jak miał wyglądać według nich ocalały z Szoa?

Porządnie. My przecież wtedy wyglądaliśmy zupełnie inaczej niż oni, sabrzy. Oni byli ubrani jednakowo, niczym w mundurach. W czapce *kova tembel*, inaczej ostrzyżeni, chodzili innym krokiem – z pewnością siebie, oni byli tutaj u siebie w domu. Osmaleni przyjechali w płaszczach, w polskich czapkach, a sabrzy chodzili „na letniaka”. Rodzice ich przekonywali, że to oni są solą tej ziemi. Dzisiaj jest moda światowa, wszyscy wyglądają tak samo. Rozbitkowie po wojnie nosili swoją rozpacz i to, co posłała im UNRRA czy szlachetna rodzina z Ameryki oczyszczająca swój strych i sumienie.

Skąd ta potrzeba u pani, by z góry informować: „ocalałam z Szoa”?

Nie chciałam, żeby wyglądało, że udaję kogoś, kim nie jestem, żeby mnie gdzieś zaszufładowali. Nie chciałam udawać saberki w Izraelu, przecież wiem, że nie mogę – nie umiałam wtedy aż tak dobrze mówić



Zdjęcie 5. Irit w kibucu, ok. 1946 roku.
Fotograf nieznan



Zdjęcie 6. Irit z koleżankami po wojnie, ok. 1946 roku.
Fotograf nieznan

po hebrajsku, a i mój hebrajski był nadal polski, moje „r” pozostało polskie, jak już mówiłyśmy. Byli ludzie, którzy chcieli się wtopić w nowe społeczeństwo i wszystko należące do starego świata usunąć. Dosłownie. Matka koleżanki Dity usunęła sobie operacyjnie oświęcimski numer z przedramienia. Dużo osób to zrobiło. Tutaj jest przez większość roku ciepło, długie lato, chodzi się z odkrytymi rękoma. Jak człowiek spotyka nowych ludzi, to nie od razu chce opowiadać całe swoje życie, nie trzeba wszystkiego mówić, a ona już z góry była naznaczona: „Z jakiego obozu? To ta, co z Auschwitz!”. To sprawia, że człowiek czuje się bezbronny. Naznaczony właśnie. Siłą naznaczony! Ona powiedziała sobie: „mnie ten numer zrobiono siłą, ja go nie chcę”!

I nie była w tym jedyna!

W którąś zimową, piękną niedzielę pojechałyśmy z moją przyjaciółką, błogosławionej pamięci Henią z Częstochowy do Nazaretu, na prośbę naszej wspólnej znajomej, żeby odwiedzić jej kuzynkę, która przeżyła wojnę w klasztorze we Francji. Żydowski ojciec tej młodej osoby odnalazł ją po wojnie w klasztorze w Nazarecie, dokąd ją wysłali zakonnicy. Ojciec chciał ją oczywiście odebrać i pomóc wrócić do swoich, do żydostwa, i dać jej owo święte, europejskie wykształcenie, ale ona uparła się, że zostanie w zakonie. „Może uda wam się ją przekonać, żeby posłuchała ojca i pojechała z nim”, powiedziała nam Rachel, nasza wspólna znajoma.

W takim okienku jak dla więźniów ukazała nam się szara, obojętna twarz. Dziewczyna wyglądała jak cień, nie chciała żadnego kontaktu. Według mnie ona wtedy już umierała. I rzeczywiście, krótko po naszej wizycie nadeszła wiadomość o jej śmierci, a potem Rachel już nie chciała nigdy więcej mówić na ten temat. W ogóle okazało się dopiero po długim czasie, że sama Rachel też jest osmalona, a tylko zgrywała wielką saberkę przez wiele lat. Ja właśnie nie chciałam być taka. Być sabrą to wtedy było jak arystokracja! Sól ziemi!

Rodzice mojej znajomej przyjechali z Jemenu w latach pięćdziesiątych. Zawsze oburza ją, gdy ktoś żartem rzuca: *Jemen dzachnun*²⁰ – „Zostaw to już, to jest drugie pokolenie, już jesteśmy wszyscy tacy sami, urodzeni w Nowym Kraju”. Czy wystarczy rzeczywiście tu się urodzić, jedno pokolenie dalej, by być takim samym jak wielopokoleniowi sabrzy?

To trwa, i to długo! Zanim człowiek, który przyjeżdża z innej kultury, nawet półkuli, może się zasymilować. Tak w Ameryce, jak i tu. Nie zawsze mu się też to udaje. Z czasem te różnice się zmniejszają, ale na wszystko trzeba sporo czasu. Czy Etiopczycy, którzy przyjeżdżają z tamtejszych lepianek, od razu mogą tu zasiąść przed komputerami? By zbudować naród izraelski, musimy mieć nawzajem do tej zmiany cierpliwość i zrozumienie, a nie uprzedzenia.

Poza tym każdy też tę swoją kulturę hołubi.

Podobno sporo wspólnego mają ze sobą Izraelczycy i Polacy. Zawsze wiedzą, czego inni potrzebują, co i jak inni powinni zrobić, i niepytani udzielają innym rad.

Przecież żyli ze sobą czy obok siebie na dobre i na złe ponad tysiąc lat! Byli sąsiadami, robili wspólnie interesy, więc mieli dużo czasu, żeby uczyć się tych wszystkich dobrych i paskudnych cech jeden od drugiego.

Na pewno w obu narodach widać postawę: zawsze sobie dam radę, w obu ludzie mają dużo sprytu, nie chcą być w żaden sposób frajerami. Nieraz jest to też brak szacunku dla bliźniego, na przykład właśnie wyrażający się dawaniem zbyt wielu rad czy wtrącaniem się w nie swoje sprawy.

Gdyby miała pani wskazać w sobie wspomniane Czernichowskie „odbicie rodzimego miejsca urodzenia”, co by nim było?

Język. Bardziej niż wszystko inne.

Dzieciństwo – przez to, że stracone.

A potem cała czarna chmura Zagłady. Bez dwóch zdań.

Powtarzam to w rozmowach, w wywiadach i książkach: rodzimy się w jakimkolwiek kraju, mówi się do nas jakimkolwiek językiem, matka w tym języku nam śpiewa i nas strofuje, ojciec nas w tym języku rozśmiesza, i staje się ten język najistotniejszym językiem naszego życia. Wdziera się nam w dzieciństwie w sam obieg krwi i tam pozostaje już na zawsze, na całe życie. Można nauczyć się potem wielu innych pięknych języków, ale żaden nie zaszumi, nie zaszleści w sercu tak pięknie, jak ten dziecięcy, dziewiczy, ten, w którym odśłania nam się po raz pierwszy świat. A ja urodziłam się w Polsce i całe spektrum moich pierwszych doznań, dobrych i złych, znajduje się w języku polskim²¹. Nazywam go

moim szeleszczącym, macierzystym językiem. W języku polskim mówili do mnie rodzice, w języku polskim odkrywa mi się i o mały figiel nie zamyka na zawsze świat. Ten język idzie za mną i jest ostatnim ogniwem łączącym mnie z moim dzieciństwem i z rozpaczą utraty naszego żydowskiego świata.

I tylko właśnie dzięki mojej świetnej znajomości polskiego udało mi się przeżyć. Rodzice uczulali mnie na błędy, jakie robili Żydzi, i jak miałam nigdy nie mówić.

Na przykład?

Na całe życie zapamiętałam mamę, jak pouczała mnie przed moim wyjściem z getta na „aryjską stronę”: nigdy nie mów „rogowy dom”, tak mówią tylko Żydzi. Mówi się: „dom narożny”. Albo: „dlatego bo” – tak też podobno mówili tylko Żydzi, a ja miałam mówić: „dlatego że”. Uczyla mnie tego nie po to, żebym pięknie się wystawiała, lecz żebym przeżyła, żeby nie rozpoznano, że jestem Żydówką. Dlatego również nikt nigdy nie odważył się na mnie powiedzieć „żydowa”, dopiero po wojnie, z tymi nogami.

Przypomni pani?

Na szkolnym boisku²² szła za mną grupa dziewczynek z innej klasy i z premedytacją, głośno powiedziały o mnie: „Dlaczego te żydówki mają zawsze takie grube nogi?”. Zrozumiałam, że to jest ciągle to samo, ten sam śmierdzący, przedwojenny antysemityzm i nie wolno mi tam zostać ani chwili dłużej.

Przed wojną i w jej trakcie mówiło się w Polsce, że ktoś żydł a c z y, to znaczy: mówi po polsku tak, jak mówi się po żydowsku, z mocnym akcentem, melodią języka. To było w powietrzu, mówiło się: „on nie może wyjść na »aryjską stronę«, bo tak żydłaczy, że go zaraz przydybią”. A wszystko, co negatywne, to z a ży d z a n i e! Nadal tak jest. Można sobie zażydzić spodnie czy zeszyt – czyli ubrudzić. Mówiło się, że Żydzi śmierdzą czosnkiem i cebulą, bo faktycznie jedli tego sporo, bo zdrowe. Tak jak Włosi. Ale u Włochów jest to nadzwyczajnie seksowne.

Nie wiem, co z tym jest, ale tu po latach słyszę często wypowiedany zwrot „dlatego bo”, od niejednego z polskich Żydów, i zawsze sobie wtedy myślę: „nie, tak się nie mówi, to źle brzmi!”.

Sławka Łozińska, moja przyjaciółka, która na wieczorach autorskich zawsze pięknie czyta moje wiersze, uczy mnie poprawnie wymawiać takie słowa, jak na przykład „mięso” i „mężczyzna”.

W przedwojennej Częstochowie moi rodzice i krewni byli pierwszym pokoleniem w naszej rodzinie, które mówiło między sobą po polsku. Mama świetnie znała język ze szkoły. Miała maturę w języku polskim, jedynie w domu nadal używała jidysz.

W gimnazjum żydowskim dzieci śpiewały złośliwą piosenkę o dyrektorze Nuślu, kiedy się na niego złościły: „Nuśla wieszać na latarnię, na latarnię, na latarnię, niech szubrawiec zginie marnie, zginie marnie, zginie marnie. Nuśla topić w rzece Warcie, w rzece Warcie, żeby żaby miały żarcie, miały żarcie, miały żarcie!”.

A klasa gimnazjalna, rozpoczynając naukę łaciny, wykonywała studencki hymn po łacinie: *Gaudeamus igitur, Juvenes dum sumus; Post jucundam juventutem, Post molestam senectutem, Nos habebit humus.*

Moje koleżanki, które przeżyły w częstochowskim obozie pracy HASAG²³, są do dziś dumne, że znają cały ten hymn na pamięć.

Nigdy nie chodziła pani do szkoły?

Po wojnie niecały rok, do Liceum im. Juliusza Słowackiego. Wciąż mam nawet moje jedyne świadectwo. Oprócz ocen z zachowania i przedmiotów takich jak: łacina, angielski, polski czy matematyka, napisane jest, że jestem wyznania mojżeszowego i przechodzę do klasy drugiej z oceną ogólną dobrą. Wojna skończy się w maju 1945 roku, a mnie jesienią tego samego roku już nie będzie w Polsce. Wynudzę się w tej szkole jak mops. Zawsze odpowiadam dziwiącym się mojej polszczyźnie, że to dzięki temu, że szkołę widziałam tylko z zewnątrz.

A przed wojną przychodziła korepetytorka, pani Hanka, i uczyła mnie tego, czego uczyły się dzieci w szkołach. Czytać nauczyłam się sama już wcześniej. Ale liter nigdy nie nauczyłam się łączyć, przez to właśnie, że nie chodziłam do szkoły i nie poznałam tak naprawdę kaligrafii. Do końca życia już będę pisała po polsku jak dziecko, nie łącząc liter.

Nie brakowało pani dzieci, przyjaźni klasowych i szkolnych?

Nie. Miałam przecież koleżanki. Na przykład od zawsze była Marysia. Przed wojną mieszkała obok nas, w Alei Wolności 11. Okno jednego z ich pokoi wychodziło na nasz i jej mama, pani Szajkowiczowa, widziała, jak wracam do domu, zdejmuję rajtuzki i się przebieram. Mówiła wtedy do Marysi, która stała się później pedantką, a ja bałaganiarą: „Popatrz, popatrz, jaka ta Irenka jest porządna”. A kilka lat później, w czasie akcji, będąc już w wagonie, wyrzuciła kopertę, a w niej dwa listy z prośbą o dostarczenie na załączony adres: „Ktokolwiek znajdzie, proszę odszukać adresata. Martwię się o ciepłe ubrania dla moich córek na nadchodzącą zimę...”. Rzuciła z pociągu te listy i z lekkim sercem pojechała do Treblinki.

Marysia przeżyła?

Tak, Marysia to jedna z „panien z Częstochowy”, o których piszę w swojej autobiografii²⁴. Przed wojną mieszkaliśmy we wspólnym domu, tylko z osobnymi wejściami. Jest ode mnie starsza o dwa lata, chodziła już wtenczas do szkoły, ale przychodziła bawić się ze mną lalkami, co denerwowało jej zazdrosną przyjaciółkę, już teraz błogosławionej pamięci Rutkę. Moi kuzynowie, którzy ze swoimi rodzicami i babcią Udl²⁵ zginęli później w Treblince, też przychodzili się do mnie bawić, a także Marylka Pohoryle, o której napiszę pod koniec życia opowiadanie, Lilka Lampel, Lucek i Maniś Munowicz – to jest ten chłopczyk, o którym napiszę wiersz, że nie warto umierać, gdy jest się z kimś skłóconym²⁶. To były dzieci znajomych mamy i taty, ich rodzice przychodzili do moich na kawę i karty. Tatuś grywał z panami w czerwonego króla, mama z paniami w remi. Czasem chodziłam do innych, ale na ogół byłam dużo sama jako jedynaczka.

Rodzice kochali mnie bezwarunkowo. Dzieci dobrze wiedzą takie rzeczy. Do dziś myślę, że prawdziwą pewność siebie mają ludzie, których w domu właśnie tak się kocha. Człowiek, który wie, że jest okej, może patrzeć na innych, a nie musi cały czas myśleć, jak sam wygląda w ich oczach. Będzie miał czas się zorientować, czy bać się kogoś, czy nie. To bynajmniej nie znaczy, że jest lepszy, ale ma więcej narzędzi w swojej skrzynce.

Trzy lata na „aryjskich papierach” nauczyły mnie sztuki czytania ludzi – czy mnie wydadzą, czy zauważą, czy mi pomogą, czy mnie zabiją. Stworzyłam sobie z tego narzędzie do życia, dodałam je sobie do swojej

skrzynki. Mam w sobie taki rodzaj czujnika, który się sam uruchamia w potrzebie. Wchodząc do pokoju pełnego ludzi, rozglądam się i wiem, od kogo z obecnych płynie wrogie promieniowanie.

Nazywam go „czujnikiem Szoa”. Kiedy coś się dzieje mnie czy moim bliskim, czy jest wojna albo na przykład łamię nogę i przechodzę operację, włącza się automatycznie mój „czujnik Szoa”, który mówi: oddychać, jeść i pić, sikać i srać. Proszę sobie wyobrazić, że jest taki czujnik, który informuje, co w danej chwili jest najistotniejszego, żeby przeżyć.

Czy zdarza się mu być przeczulonym? Czy czasem się nie uruchamia albo uruchamia się niepotrzebnie?

Trudno mi powiedzieć. Czujnik siedzi cicho i uruchamia się tylko, gdy coś się dzieje.

Ja nie jestem naiwna! Jestem bardzo podejrzliwa. Nie wierzę, że przyjaciele czy rodzina mogą zaprowadzić mnie na Gestapo, ale jest taki moment, że człowiek jest sam.

Od kiedy ma pani ten czujnik?

To nie tak, że jest operacja i się go wszczepia... Mam go od chwili, kiedy mój ojciec wsunął mnie w tę dziurę pomiędzy życiem a śmiercią, między gettem a „stroną aryjską”, mogę podać nawet datę...

Myślę, że on jest w moim mózgu.

„Rozpłaszczeni na ciężkiej bramie, walicie w nią rozpaczliwie pięściami. Lunek, żydowski policjant, znajomy taty, odchyła w bramie szparę i wpuszcza was na podwórze. Tatuś podaje mu zwitek zielonych banknotów. Potem wszystko leci już bardzo szybko. Za szybko. Prowadzi was do jakiejś ciemnej komórki. Świeci latarką. Z gładkiej, wspólnej polsko-żydowskiej ściany odrywa jedną deskę, a potem drugą i ukazuje się niewielka czarna dziura. Ta sama ściana jest z jednej strony ciemną komórką w szpitalu dużego getta na ulicy Przemysłowej, a z drugiej mieszkaniem granatowego policjanta. Przez tę dziurę polski i żydowski policjant szmuglują za wielkie pieniądze mąkę i kartofle. Ty będziesz pierwszą żyjącą istotą przerzuconą z dużego getta na aryjską stronę”²⁷. Krzysztof Hoffmann pisze o tym fragmencie: „Bez skrótów. I tak narracja sprawia wrażenie zdyszanej, skrótowej, jakby wszystko odbywało się ze ściśniętym gardłem. Bez miejsca na oddech”²⁸.

Nie myli się. Opisuje dokładnie ten stan, w którym mogę mówić, a raczej opisać te chwile, które są nieopisywalne.

W rozmowie z Remigiuszem Grzelą w 2012 roku powiedziała pani: „Nie mogę o tej akcji mówić, bo dostanę ataku serca”²⁹.

To jest najtrudniejszy dla mnie moment w życiu. Opisanie tego wiele mnie kosztuje, już jest zrobione i nie chcę do tego wracać. A mówić o tym jest jeszcze trudniej niż pisać... Nie zdążyłam się z ojcem pożegnać i wszystko zostało otwarte między nami...

Przez długi czas żył we mnie żal o to rozstanie... Bo byli też wtedy rodzice, którzy mówili: „co stanie się z nami, to i z wami, będziemy razem!”. Chociaż byli i tacy, którzy myśleli, że bez dzieci będzie łatwiej im ocaleć, tak jak matka Sylwiji z mojego wiersza, która, ukryta za firanką, patrzy przez okno, jak Niemcy prowadzą jej córkę³⁰.

Teraz wiem, że mój tatuś mnie uratował. Jestem mu wdzięczna, że mnie przerzucił na „aryjską stronę”. A człowiek, który ratuje jednego człowieka, często ratuje całą jego przyszłą rodzinę, a przecież tego nie wie...

Na moje osiemdziesiąte urodziny moja nowa rodzina wynajęła hotel nad morzem i wszyscy założyli koszulki z napisem po hebrajsku: „Kochamy Cię, Bobe”. Wtedy mówili na mnie Bobe – to po żydowsku „babcia”. A ja przeczytałam im napisany na tę okazję wiersz *Nowy rodowód*:

Mój ojciec, Leon syn Szlomy zrodzony roku 1899,
nie wie że jesienią roku 1942 wpycha w czarną szparę
odgarniającą pewną śmierć od słabej szansy na życie:
Wnuka Oniego syna Eliahu co się zrodzi roku 1955
Wnuczkę Ditę córkę Irit co się zrodzi roku 1958
Prawnuczkę Noę córkę Neomi co się zrodzi roku 1980
Prawnuka Juwala syna Oniego co się zrodzi roku 1984
Prawnuka Assę syna Jehudy co się zrodzi roku 1985
Prawnuka Asafa syna Oniego co się zrodzi roku 1990
Prawnuka Irrę syna Jehudy co się zrodzi roku 1991
Prawnuka Ilaya syna Jehudy co się zrodzi roku 1995
Praprawnuka Oriego syna Roia co się zrodzi roku 2010
Praprawnuka Itaia syna Roia co się zrodzi roku 2012
I mnie zrodzonej dwukrotnie, raz roku 1931
A po raz drugi tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego³¹

Zarząd Miejski w Częstochowie

Urząd Stanu Cywilnego
Wyznań Niechrześcijańskich

Lit. 1 opłaty stemplanej pobrano
Wzór Nr 2.

METRYKA URODZENIA

Wydana przez Urzędnika Stanu Cywilnego Wyznań Niechrześcijańskich w Częstochowie

Na zasadzie ksiąg Stanu Cywilnego		Miejsce urodzenia	Imię i nazwisko urodzonej	Data urodzenia			Imiona rodziców
za rok	Nr. aktu			dzień	miesiąc	rok	
1931	195	Częstochowa	Irena Librowicz	5	maj	1931	Leon i Gentla Hascapeldor

Tysiąc

dziesięćset trzydziestego pierwszego roku

Częstochowa, dnia 194... r.

Urzędnik Stanu Cywilnego

Drak. W. Zielińskiego (w. Augustowa 7.

Zdjęcie 7. Oryginalna metryka urodzenia Ireny Librowicz/Irit Amiel.
Ze zbiorów prywatnych pisarki.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo *Wielkopolska*
Powiat *Próbusz z Kościoła*
Gmina *PARAFIALNEGO*
Diecezja *Podwyższenie Sw. Krzyża*
Rz.-Kaf. Parafia *W LIDZIE*
Miejscowość
Poczta

Nr *88* aktu

ROK *1931*

Świadcstwo urodzenia i Chrztu

Wydane na zasadzie ksiąg metrycznych

Zaświadczam, iż *Irena - Krystyna Gantwieser*
Mariana i *Danuta - Wonty*
z *Gryborostkich* urodzona w *Lidzie*
dnia *piątego* miesiąca *maja* tysiąc *trzechset*
trzydziestego pierwszego roku *1931* roku.

Wiarygodność powyższego poświadczam
w *Lidzie*, dnia *24* m-ca *sierpnia* 19*31*r.

Prowadzący akta Stanu Cywilnego

W. P. Rutkowski

Zdjęcie 8. Falszywa metryka urodzenia Ireny, czyli tzw. aryjskie papiery, na nazwisko zmarłej chrześcijańskiej dziewczynki. Dokument zakupiony przez Leona Librowicza, który umieścił go w bucie swojej córki, przesadzając ją na „aryjską stronę”.

Ze zbiorów prywatnych pisarki.

Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Patrzę wtedy na wnuczkę, która trzyma na rękach mojego pierwszego prawnuka, Oriego, i myślę sobie: „to wszystko on zrobił, Leon, mój ojciec. On, który mnie wepchnął w tę czarną dziurę”. A teraz przybyło jeszcze czworo prawnucząt!

I może to jest taki rodzaj biblijnej przypowieści?

Wiele lat po wojnie, kiedy już sama miałam dzieci, przeczytałam książkę młodszego ode mnie o kilka lat Saula Friedländera³². Przez wiele lat gniewał się bardzo na swoich rodziców, że go nie zabrali ze sobą, lecz oddali obcym, by przeżył. Jego rodzicom niestety nie udało się przeżyć. Dopiero ta lektura pomogła mi pojąć, że mój ojciec przekazał mnie życiu.

To był przecież ułamek sekundy! Nadarzyła się okazja i on ją wykorzystał! To był wybór, słuszny zresztą, jak się okazało.

Dziś patrzę na to inaczej. Nie jestem ofiarą. Nie czuję się porzucona. Przyjmuję to jako fakt.

A jak po latach patrzy pani na pożegnanie z mamą?

Myślę, że ona nie wiedziała. Nie wiedziała, że już mnie nie zobaczy, nie była świadoma, że się rozstajemy na zawsze. Tata powiedział, że pójdę pierwsza, a oni dołączą. Może naprawdę mieli taki plan? Przecież kupił „aryjskie papiery” także dla nich. Myślę, że mama by mi nie dała iść i ja też bym się nie zgodziła, a tak wierzyłam, że przecież do mnie dojdą później...

Dwie minuty wcześniej rozstałyśmy się z tatą. On został, a myśmy próbowały same przejść na tamtą stronę, ale to się nie udało. Przecież żeby uratować jedno żydowskie dziecko, trzeba było pięciu Żydów i dziesięciu Polaków!

Ten Ukrainiec powiedział: „tylko kobiety i dzieci”. To było przekonujące, że nie tylko bierze te kosztowności od nas...

To był, zdaje się, drugi czy trzeci dzień, jak miały przyjechać pociągi, wtedy Niemcy pozwalali Żydom wychodzić i na przykład robić zakupy. Niemcy zawsze robili wszystko, co najgorsze, w nasze święta, więc to był chyba dzień po Jom Kippur. Było słońce... myśmy się pożegnali z rodziną

na Starym Rynku, tam był bunkier u góry, który zrobił tata i którego nie znaleźli – mogę ciągle dokładnie opisać, jak wyglądał. To było okno na strychu, na samym dachu. Jak oni tam wytrzymywali, to ja nie wiem – w dzień to okno miało być zamknięte, na noc się otwierało... W ostatniej akcji dopiero ich zabrali. Ten sam człowiek, który pomógł mnie uratować, zdradził ich, bo myślał, że mają pieniądze! Wcześniej Niemcy byli też raz w ich domu, ale ich nie znaleźli.

Mein Lajbeś hot goldene hend, mówiła babcia Udl. I on miał naprawdę złote ręce, on to zrobił tak, jak trzeba było... pełno rzeczy... nikt nie wiedział, że oni są na dachu. Mieli wodę, jedzenie na kilka dni, nikt nie wiedział, ile to potrwa, i oni tam wytrzymali. To było, jak już mnie nie było w dużym getcie. Pamiętam to tak, że mogę to narysować.

Tego dnia nie było problemu, by przejść na Przemysławą do tej pani. Szliśmy ze Starego Rynku 24 na Przemysławą, nie pamiętam numeru... Piechotę, środek dnia. Dało jej się jeden z tych dwóch dokumentów, które tatuś kupił. Trzeba było zostawić kenkartę, a dawało się dokumenty i pieniądze, żeby się zgodziła, żebyśmy u niej mieszkały. Mama dała jej metrykę, a zostawiła sobie kenkartę; każdy miał mieć i metrykę, i kenkartę, oprócz mnie, bo byłam dzieckiem. Ta kobieta miała niemowlę przy piersi. Przekupiło się kilka osób z tego domu, kobiety i dzieci. Mężczyzn on nie chciał. Złoto, brylanty, nie wiem, co tam dali... Policjant się złąkł i zaczął strzelać, i zranił tę matkę z dzieckiem, to było wszystko na granicy getta. Czy ona poszła do wagonów, czy nie, tego nie wiem. Tatuś był w tym domu na Przemysławej, widział, że nie, tak nie da rady, być może my nawet tam wtedy spaliśmy i dopiero na drugi dzień próbowaliśmy dalej... Tatuś przypomniał sobie jeszcze coś, spotkał wtedy innego policjanta, z którym przed wojną grał w karty, i on się wtedy zgodził. Przeszliśmy na miejsce różnymi drogami, ten policjant i my, przeczołgaliśmy się więc, podano mnie przez dziurę w ścianie, najpierw się nie zmieściłam, musiałam zdjąć palto, a potem tę dziurę zabito z powrotem gwoździami. Jak przeszłam na tę drugą stronę, to jakbym nagle wyjechała do innego miasta, świata! Ludzie wychodzili z kina, siedzieli w kawiarni, obejmowali się...

W tym dniu akcji tato spotkał znajomego, z którym przed wojną grywał w karty, i z nim ustalił wątpliwy plan uratowania mnie. To nie tak, że się siedzi przy kawie i na spokojnie rozmyśla, co zrobić... To wszystko były

postanowienia w panice, w hysterii, w ostatniej chwili przed pociągiem do Treblinki.

Pożegnałyśmy się, kiedy mama dała mi piątkę chleba, płakała, a ja jadłam i nie rozumiałam, dlaczego ona tak płacze, i mówiłam jej: „no co ty tak płaczesz, przecież zobaczymy się wieczorem”. Powiedzieli przecież, że wieczorem do mnie przyjdą. Ale ona była mądrzejsza niż jedenastoletnie dziecko i wiedziała, że może być tak, a może być inaczej. I już więcej się nie widziałyśmy.

Nie zdążyłam się z nią pożegnać.

Z nim też nie.

Proszę, opowiadam to i nic mi to nie robi więcej...

Może dlatego, że wyrzuciła to pani już z siebie wcześniej?

Pewnie. I to zależy. Dziennikarzom na przykład nie można tego opowiedzieć. To jest niemożliwe po prostu, bo oni traktują wszystko na chłodno, a ja opowiadam jak na operacji serca... Cały czas jestem tam...

Więcej go nie widziałam... Przypuszczam, że zginęli tego samego dnia, bo były wagony... nie wiem, nie wiem...

A potem poszli każde osobno i osobno zaduszono ich gazem...

Nie wierzę, że umierając, myśli się o kimś. Ani o swoim dziecku, ani o nikim innym. Ale mimo wszystko podejrzewam, że jak on tam umierał w Treblince, on sam, moja mama sama, to jednak mieli tę ulgę, że mnie tego oszczędzili... Może powiedział do siebie: „Ja ją przed tym uratowałem”...

No i faktem jest, że uratował.

Proszę nie mówić, że to nie jest cud. Ile razy ja mogłam zginąć po drodze!

W piwnicach tego samego domu znajduje się też bunkier, w którym podczas jednej z akcji znalazło schronienie kilkanaście osób niezwiązanych z pani rodziną.

Tak. Na dole w piwnicy był bunkier, ale ja o tym wtedy nie wiedziałam.

Kiedy Niemcy zorganizowali getto 9 kwietnia 1941 roku, wujek Marian podjął decyzję, by zamienić ze znajomym adwokatem swoje piękne mieszkanie w Alei 35 na Stary Rynek 24. To był już początek Meksyku. Pamiętam, jak przychodziłam do niego przed wojną w odwiedziny. Mieszkanie było na drugim piętrze, z balkonem, z którego widać było całą Częstochowę. Wiele lat później pokazywałam ją stamtąd Chuzy'emu. Naprzeciwko mieszkania wujka Mariana i ciotki Dory była ich kancelaria prawnicza, oboje byli adwokatami. Byli bardzo światowymi ludźmi, nie mieli swoich dzieci, więc z każdej podróży zagranicznej przywozili mi różne prezenty. Potem w zależności od wieku i czasu, od tego, jak było zapisane w „aryjskich papierach”, byłam ich siostrzenicą lub córką.

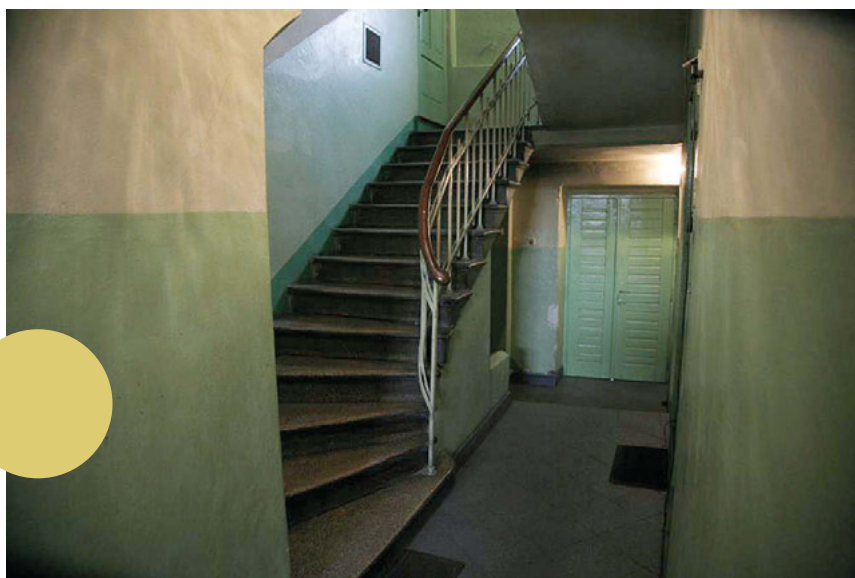
Na początku w ogóle to była dla mnie frajda, bo nagle mieszkaliśmy wszyscy razem, cała rodzina: babcia Udl, siostra taty ciocia Balbina z mężem i dwójką dzieci: Mareczkiem i Lilką, siostra mamy ciocia Fryda i jej mąż Herman oraz ich dwóch synów: Lolek i Janek... Jakieś dwadzieścia osób w tym jednym mieszkanku pod adresem Stary Rynek 24. Nasze mieszkanie było na piętrze, pamiętam, że widziałam przez okno kościół Świętego Zygmunta.

Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że społeczność żydowska w Częstochowie była bardzo dobrze zorganizowana. Żydzi zawsze organizują się społecznie, odpowiednio do istniejących warunków. Był więc dom starców, dom sierot, koedukacyjne żydowskie gimnazjum Axera, były też freblówki, był i żydowski szpital, którym kierował doktor³³ Ludwik Batawia, mój lekarz dziecięcy, który leczył moje chore gardło. Pewnego dnia, w środku samej wojny, bardzo nie w porę, dostałam zapalenia ślepej кишки. Zabrali mnie do szpitala, żeby ją wyciąć. Wówczas było to mniej więcej tak, jak dzisiaj operacja na otwartym sercu. Uśpili mnie, zoperowali, tydzień nie wolno mi się było ruszać. Lekarz, który mnie operował, doktor Dobrzyński, przeżył wojnę, mieszkał później w Tel Awiwie naprzeciwko ojca Chuzy'ego. Na pewno ma tu do dziś dzieci i wnuki. A ja wtedy przez cały tydzień jadłam kleik na wodzie, a potem uczyłam się od nowa chodzić. Pewnie, że się bałam, i rodzice się martwili, ale to nie był największy powód do zmartwień. Odjeżdżały pociągi, wracały puste wagony, a Niemcom potrzeba było na to zaledwie dwóch dni. Wtedy można było wychodzić, kupować...



Zdjęcie 9. Częstochowa, Stary Rynek 24, 2020 rok.

Fot. Piotr Dłubak



Zdjęcie 10. Częstochowa, Stary Rynek 24, klatka schodowa, 2020 rok.

Fot. Piotr Dłubak

No niestety, niedobrze mi się robi, chwileczkę, muszę sobie wziąć...
Wszystko w porządku, ja sobie wezmę pół tabletki...

Tego się nie da opowiedzieć... Nagle tam jestem, po osiemdziesięciu
latach tam jestem... Nie wiedziałam, że nadal mnie to tak wzrusza,
przecież opowiadałam to tyle razy....

To jest tak jak sziwa. Dlatego ta żydowska sziwa jest taka dobra. Opowiada
się raz, drugi, trzeci, każdemu, aż w końcu zaczyna się opowiadać
obojętnie. I to jest akt psychologiczny.

**Czy dziś, po tych osiemdziesięciu latach, myśli pani, że ojciec przeczuwał
wtedy, a może nawet wiedział, co ma nastąpić? Transporty, puste wagony
wracające do getta...**

Skąd! Skąd mógł to przeczuwać wtedy? Mój tata założył narciarskie
buty, co znaczy, że wierzył wtedy chyba nadal, że jedzie do pracy, że te
buty będą dobre na roboty. A może ja się tak pocieszam? Ktoś z naszych
znajomych ocalonych widział, jak Leon Librowicz z żoną byli pchani do
wagonów i w ostatniej chwili Niemiec złapał go i zabrał mu te buty. Może,
jak mu je zabrali, zrozumiał, że nie o robocie mowa.

Nikt sobie nie mógł przecież wyobrazić, że zawiozą wszystkich Żydów
z getta na spalenie, na najgorszą ze wszystkich śmierć, że zgolą im głowy
i zabiorą włosy na lekkie materace do samolotów, że rozbiorą ich do naga,
że pošlą ich rzeczy pociągami do Niemiec, a ich nagich, bezbronych,
wygłodzonych, łysych każą innym Żydom i Polakom pod karą śmierci
wepchnąć do komory i napełnić śmiertelnym gazem, a po dwudziestu
minutach z drugiej strony wyrzucą ich trupy i spalą w krematoriach albo
zakopią w bratnich grobach.

A potem Polacy będą wyciągać piszczele z ziemi, by szukać złota w ży-
dowskich martwych i nadpalonych szczękach.

Nowe millenium dobija się do drzwi
tupie już niecierpliwie u progu
a ja dopiero teraz pojęłam że był
to jednak spiszek międzynarodowy
Niema umowa przeciwko naszemu małemu Srulkowi
Dyrygował z fantazją Adolf czarnowąsy

Elegancki Francois z szykiem wyrabiał gaz cyklonowy
U Benity nawożono ziemię nawozem z prochu
spalonych kości ludzkich aby smakowała lepiej
mąka durum na spaghetti vermicelli i chlebek bruschetta
A nasz mały głodny Srulek stał głodny na rampie przerażony
Neutralny Szwajcar ukrywał w bankach zrabowane zielone
i sztabki złota z biżuterii i zębów zaduszonych lane.
Schwester w śnieżnobiałym fartuszkowi sprawiedliwie dzieliła
w Hamburgu i Bremen posrulkowe ubranka i wózki
Szlachetny chłodny Szwed dyskretnie handlował
z Adolfem stalą
A Polakowi pozostały tylko meble bety serwisy
i zdjęcia, zdjęcia rozsypane tysiącami po akcji
po ulicach placach poegzekucyjnych polanach
które dziś, pożółkłe, znów zbiera się i publikuje w pięknych drogich
albumach.

A ja ciągle widzę ich twarze i naszego małego Srulka
którego już dawno nie ma

Ale złoto przetrwało i jest³⁴

Na początku naszej rozmowy powiedziała pani, że nikomu nie wybaczyła „tej orgii żydowskiej krwi”. Czy uważa pani, że wybaczenie Zagłady jest w ogóle możliwe?

Nie! Stanowczo nie! Sam fakt, że ja sama i inni nie wybaczyliśmy i z braku zaufania zbudowaliśmy sobie własny kąt do życia, świadczy o tym, że to jest niemożliwe. Może są tacy, co przebaczyli? Nie wiem, ja takich nie znam.

Wie pani, ja widzę wszystko inaczej. Nie więcej, ale właśnie inaczej. Może dzięki temu, że nie żyję życiem bardzo ułożonym, zaplanowanym czy jakoś podzielonym.

W ogóle mam poczucie, że żyję kilka razy. Kilka razy jestem dzieckiem: raz wypieszczoną Iruśią Librowicz, która mieszka z rodzicami, potem Irenką, która żyje w obu gettach³⁵, następnie jestem Krysią Iwańczak na wsiach i Irką Hankiewicz w Warszawie, ciągle uciekającą przed losem Treblinka i posługującą się „aryjskimi papierami”. Niby nic nie umiałam,

a jednak coś potrafiłam. Przede wszystkim byłam odczytana, a w tym wieku nie jest się zazwyczaj odczytanym, miałam otwartą głowę, zdawałam sobie sprawę z tego, że muszę się przystosować do zmieniających się często warunków. W każdej sytuacji wykorzystywałam wszystkie swoje możliwości maksymalnie...

Po wojnie byłam Irką Librowicz w grupie uratowanych z obozów, a potem zostałam Irit w kibucu i towarzystwie. Na końcu, kiedy wyszłam za mąż, stałam się Irit Amiel. I jestem teraz niby saberka, Żydówka ocalała z Zagłady, tłumaczka, pisarka, poetka polska mieszkająca w Izraelu.

Albo też Amielowa, jak czasem pani o sobie mówi.

Lubię takie zabawy ze słowami. To jest oczywiście polskie myślenie, bo po hebrajsku nie ma Amielowej, jest żona takiego i takiego człowieka, czyli w moim przypadku *Iszto szel Amiel*. Ale oczywiście, że moja mamusia przed wojną w Polsce była Librowiczowa!

Najgorzej było wtedy mieć nazwisko kończące się na literę „g”, na przykład Goldberg, bo córka wtedy stawiała się Goldber-gówna, dlatego wołało się na nią Goldberżanka.

Co łączy Amielową z Iruśią, Krysia i Irką, a co od nich dzieli?

Myślę, że ona nie jest ta sama, ona jest już wkrębowana w te wszystkie języki, nie jest jednolita.

Kiedyś przeczytałam wiersz wielkiej Szymborskiej *Kilkunastoletnia*, w którym mówi o dawnej sobie: obca, daleka, rozmowa się nie klei³⁶. A ja czuję, że mogę każdą z nas zawołać i z każdą z nas zrobić wywiad rzekę. Człowiek się starzeje, zmienia, mimo że tych zmian się nie czuje. Raz jest się córką, raz matką, raz żoną, raz kochanką, raz przyjaciółką, raz uczennicą, raz nauczycielką, raz babcią, prababcią, a raz tylko, Bogu dzięki, błogostawionej pamięci.

To przez tę sierocą przeszłość wydaje mi się, że mogę je zawsze zawołać. Jak pisałam w swojej autobiografii: „Przecież jesteśmy we mnie wszystkie. W każdym wieku i w każdej sytuacji. Jak taka rosyjska babuszka. Jedna tkwi w drugiej, a wszystkie we mnie. Żadna nie jest mi obca”³⁷.

Patrzę na moje wnuki urodzone we własnym kraju i choć nie wiem, jakie czeka je życie oczywiście, to mimo wszystko nie jest to samo, jak

w przypadku ich przodków, którzy pochodzą z Krakowa, Siemiatycz czy Częstochowy jak ja. Człowiek identyfikuje się cały czas z nową osobowością czy z nowym wiekiem. Nie jestem już Irką czy Irusią, którą byłam w domu mojego dzieciństwa. Jestem starą Irit, już prawie dziewięćdziesięcioletnią, siwą staruszką, którą nawet lubię! Ale jestem codziennie trochę inna! Jednego dnia zapominam więcej, innego mniej!

Jest pani podwójna?

Obca.

Może jestem dla innych postacią niezrozumiałą. Żyję z moją rodziną całe lata w hebrajskim, przecież to już są dorośli ludzie, pomału obserwuję, jak moje wnuki zaczynają siwieć. Mają swoje rodziny, a ja im majacząc o jakiejś nieludzkiej przeszłości, jakbym była stuknięta, a przecież nie jestem.

No, może trochę.

Oni mnie w ogóle nie rozumieją, nie widzą całej tej rozpiętości historii we mnie. W latach trzydziestych i na początku lat czterdziestych XX wieku w centrum Europy niemieckimi rękoma, bez wstydu, bez zbytecznego usprawiedliwiania się, rabuje się Żydom wszystko, począwszy od szczoteczek do zębów, okularów, włosów, po największe dzieła sztuki międzynarodowej, które do dziś turyści z całego świata, nawet z Chin i Japonii, jeżdżą oglądać. Na polskiej ziemi buduje się niemieckie obozy, a cały świat udaje, że nie widzi, nie słyszy i że dym spalanych milionów wcale do niego nie dochodzi albo mu nie przeszkadza!

A może nawet pachnie?

Jakby mieli o mnie coś opowiedzieć, co by powiedzieli? „Napisała kilka książek”! Czasami mówię jakieś przysłowia w jidysz, które pamiętam od babci Udl, tak jak podczas ostatnich urodzin powiedziałam, że małych radości nie powinno się wypuszczać z domu. Syn mnie rozumie w jidysz, w naszym sekretnym języku, bo on zna niemiecki, ale inni patrzą na mnie, jakbym wskoczyła nagle z innego świata czy spadła z choinki.

Osmaleni są postaciami niezrozumiałymi dla swoich saberskich wnuków i prawnuków, często kochanymi z poczuciem winy, jakby świat był im winny to, że jeszcze się nie urodzili, jeszcze nie byli tą solą ziemi i nie mogli ich bronić swoim Tzahalem³⁸.

A z drugiej strony mam przecież z moimi wnukami świetne relacje, co nie jest wcale samo przez się zrozumiałe. Pomagają mi w nowej kulturze ekranowej, czy to z komputerem, czy tabletem, czy telefonem. Wierni przychodzą co sobotę, z dumą przyprowadzają swoje partnerki i następne pokolenie. Stół jest zawsze pełen jedzenia, a oni po wejściu pierwsze swoje kroki kierują do kuchni i sprawdzają, na co się dzisiaj zanosi.

Wróćmy do pani czujnika. W swojej autobiografii *Życie – tytuł tymczasowy* pisze pani: „W twoim życiu prawie nie ma modelu starości, aż do dnia, kiedy twój mąż przewraca się w korytarzu i w ciągu minuty staje się niedołącznym staruszkiem”³⁹.

Czy uruchomił się wtedy pani czujnik?

Tak, ale on się nie włącza tak od razu.

Leci się szybko do szpitala z nadzieją, że dadzą zastrzyk i wszystko wróci do normy.

Nie byłam już wtedy sama, miałam dzieci, nawet wnuki już były dorosłe, ale to była dla mnie kompletnie nowa sytuacja. Ja pamiętałam tylko jedną śmierć. Stamtąd.

Kiedyś, jeszcze w kibucu koleżanka, która miała wtedy pod swoją opieką starą matkę, powiedziała mi: „Stale opowiadasz o tym swoim sieroctwie, ale nie masz w ogóle pojęcia, co to znaczy opiekować się starzejącym się rodzicem”.

Mnie ta starość w ogóle dopadła tak nagle, niespodziewanie, bez przygotowania, ja w nią tak wskoczyłam, nic o niej nie wiedząc, przecież wszyscy u mnie pomarli młodo. Ojciec mojego męża też nie żył długo, więc nic nie wiem o tym. Jednocześnie nie bałam się nigdy starości, nie robiłam nigdy nic ku temu, żeby się odmłodzić.

Mój czujnik rzeczywiście okazał się przydatny, kiedy mąż chorował, stawał się niedołączny i potrzebował opieki. Nie był to dla mnie łatwy czas... ale ostatecznie i to przeżyłam.

Na początku było mi bardzo ciężko. Leżałam w łóżku, nie chciałam rano wstawać. Jaką my byliśmy parą! Jaka to była miłość! Chuzy i Irit, Irit i Chuzy, wszyscy zawsze mówili z podziwem: „a, idziecie do Chuzy'ego i Irit!”. Dla mnie to wyglądało nagle jak zdrada, przecież plan

był taki, że razem się zestarzejemy, będziemy się nawzajem wspierać, a on mnie nagle zostawia samą?!

Tak jak tatuś przy czarnej dziurze?

To pani robi tę analogię... ale może rzeczywiście coś w tym jest, bo kiedy mąż zachorował, po raz pierwszy w życiu poszłam do psychologa. Jest nawet nagranie z jednej z wizyt, opowiadam tam swoje życie. To oczywiście moja inicjatywa, jak zwykle...

„Psuje nam wspólną, piękną starość”, myślałam sobie wtedy. Byłam na niego na początku wściekła.

Bardzo możliwe, że to analogia do zdrady, do pozostawienia, ale to przecież niczyja wina...

Przed kilkoma laty znalazła się pani w szpitalu z ciężką grypą. Już po wszystkim powitała mnie pani ze śmiechem: „Z przyzwyczajenia zmartwychwstałam!”.

Ja jestem raczej pozbieraczka, ze wszystkiego się pozbieram.

Gdyby jednak mojemu synowi coś stało się w wojsku wtedy, kiedy jego helikopter się rozbił, a on przez przypadek był w domu, bo mąż świętował urodziny, to wiem, że z tego bym się już nie pozbierała.

W końcu też przekonałam siebie samą, że zaopiekuję się mężem tak, jak zrobiłabym to, gdybym miała starego ojca. Nie mogłam przecież zająć się moim tatą zamordowanym w Treblince w wieku czterdziestu trzech lat.

I byłam z nim do ostatniej chwili, do ostatniego tchu trzymałam go za rękę. Mój mąż odszedł otoczony całą swoją rodziną, we własnym łóżku, we własnym domu. Wtedy po raz pierwszy świadomie przeżyłam żałobę: najpierw złość, potem żal i smutek, na końcu akceptację.

Ale myślę, że każdy, czy prawie każdy, człowiek ma w sobie taki czujnik, który znajdzie w czasie niespodziewanych kłopotów. Arnon, mój fizjoterapeuta, mówi, że wielu ludzi ma taką zdolność, zwłaszcza ci, którzy służyli w armii. Potwierdzenie tego znalazłam też ostatnio w książce Borisa Cyrulnika *Ratuj się, życie wzywa*⁴⁰. Cyrulnik, francusko-żydowski neuropsychiatra, twierdzi, że po traumatycznych przeżyciach w mózgu

powstaje nowy obwód pamięci i odtąd stajemy się wrażliwsi na określony typ informacji.

W zeszłym roku cały kraj mówił o śmierci siedemnastoletniego chłopca, syna znanego reżysera, który zginął potrącony przez samochód podczas jazdy na elektrycznym rowerze. Piękny, wysoki, zdolny, młody i inteligentny chłopiec. Wypadek! Tragedia! Ojciec chłopca opowiadał w telewizji, płacząc, że jego matka, a babka zabitego, *nota bene* ocalała z Holokaustu, po zakończeniu pokuty, czyli żałobnego tygodnia, krótko i zwięźle powiedziała: „Trzeba teraz wstać i wrócić do normalnego życia. Jak nie, to zatoniemy w tym czarnym bagnie rozpaczyl”. I tak zrobili!

Myślę, że tak samo, choć zupełnie instynktownie, zrobili osmaleni zaraz po drugiej wojnie światowej. My po prostu któregoś dnia wstaliśmy z szuwy i wyruszyliśmy w świat, we wszystkie strony. Byleby uciec z Polski, od pięknych pól, lasów i rzek, które tak obojętnie patrzyły na naszą zagładę.

Ale są i tacy, których dorosłe dziś dzieci pamiętają nocne krzyki rodziców.

Napisała pani: „Więc w dzień jest milczenie, a w nocy koszmar. [...] I tak twoja sąsiadka, pani Struks, nocą wali głową w ścianę, a rano z promiennym uśmiechem odprowadza do szkoły swoje nowe dzieci, uzbrojona w pakę kanapek – bo głód to wróg dziecka”⁴¹.

Nocą płakało się, a w dzień budowało. Nocą tęskniło się do starych, a w dzień szukało nowych partnerów na nowe życie. Gdybyśmy wtedy zaczęli zajmować się stanem naszych dusz u psychologów i psychiatrów, już byśmy nie wstali. Choć byli ludzie, którzy nie dali rady i wylądowali w szpitalach psychiatrycznych.

„Linka bardzo wczesnie zrozumie, że po tym, co się dzieje, nie będzie można dalej żyć. Zrozumie to dużo wcześniej niż inni, mądrzejsi i starsi od niej (Borowski, Celan, Primo Levi, Wojdowski, Kosiński) i bez zwłoki popełni samobójstwo”⁴² – napisała pani w jednym z opowiadań.

Dzisiaj, gdy to czytam, myślę: „ale głupstwo”. Wszyscy żyjemy, jesteśmy starzy, umieramy naturalnie, oprócz niej nikt się nie zabił. Dostało się życie w prezencie, to trzeba było żyć! Ale wtedy mi zaimponowało, że jej się udało, przecież ona próbowała kilka razy, to jest prawdziwa historia.

Zaimponowało mi na wiele lat i zawsze, kiedy działo się w moim życiu coś trudnego, myślałam o tym, że można się zabić.

Mój syn przyniósł mi kiedyś na urodziny książkę *Final Exit*⁴³ ze słowami: „prawda, że mówisz, że śmierć jest częścią życia?”.

Ale i ta książka już nie jest na czasie, są lepsze sposoby. Podczas wojny był cyjanek, ale bardzo drogi, niektórzy go mieli, ale mimo to nie wiedzieli do końca, czy jest prawdziwy... Większość zginęła zagazowana, przecież nie można było uwierzyć w to, co się mówiło, że człowiek buduje człowiekowi krematoria.

A Fania z *Podwójnego krajobrazu*? Dziś wiemy, że to pani alter ego, dlaczego jednak akurat Fania?

Fania to imię matki Amosa Oza, naszego najśłynniejszego na świecie pisarza, o którym za jego życia myślałam, że był o krok od Nagrody Nobla, no ale niestety umarł, nie otrzymując jej w końcu.

Jego matka popełniła samobójstwo, kiedy Amos miał dwanaście lat.

Myśl o tym miałam w sobie długi czas. Od wtedy. Tak ją hołubiłam. Przez jakiś czas nosiłam przy sobie zawsze buteleczkę z tabletkami, w końcu mąż mi ją zabrał i wyrzucił.

Kiedyś też myślałam sentymentalnie o śmierci, że podróżowanie po świecie... że im więcej człowiek podróżuje, zobaczy, porówna i piękne widoki będzie miał przed oczami, które będzie przywoływał... to pomoże mu to kiedyś umierać. A jak go będzie bolał brzuch, bo ma raka, to te wspomnienia mu wszystko ułatwią. Ale dziś wiem, że to jest bujda na resorach, jak mówiło się za moich czasów w Częstochowie.

Powiedziała pani: „Gdybyśmy wtedy zaczęli zajmować się stanem naszych dusz u psychologów i psychiatrów, już byśmy nie wstali”. Uważa pani, że to lepiej, że ocaleni nie otrzymali zaraz po zakończeniu wojny należytej opieki psychologicznej?

Przez długi czas byłam zdania, że to niedobrze, byłam przekonana, że powinni się nami, dziećmi, zająć, bo przecież jesteśmy książkowym modelem posttraumy!

Ale teraz uważam, że tylko ta chęć zmienienia świata – ten żydowski przymus wędrówki Żyda wiecznego tułacza i wskrzeszania pełnego życia po niemieckiej gehennie – utrzymywała nas we względnej normalności. Poza tym przecież ci, którzy nie byli stamtąd, nic nie wiedzieli, oni nie mieli pojęcia, co się tam naprawdę działo w późnych latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku, nie mieli pojęcia, czym była ta Szoa!

Człowiek wszystko zniesie, żeby żyć. A życie ma się tylko jedno. Młodość nie powraca, ma się bardzo ograniczony czas, w którym można zdobyć wykształcenie, naukę zawodu, założyć rodzinę, zbudować dom, stosunki towarzyskie, profesjonalne i intymne, poznać nowy kraj, nowy klimat, język... Na to wszystko potrzebna jest ogromna ilość energii i samozaparcia na co dzień.

Z biegiem czasu okazało się, że trzeba po prostu żyć. Skoczyć do wody i pływać między wojnami.

Teraz, u kresu, myślę, że ktoś powinien napisać powojenną historię od podszewki. O skutkach szoku, o psychicznej polaryzacji, o zupełnym braku empatii... Horror uczula na zło albo prowadzi do znieczulicy. Od czego to zależy? Od predyspozycji? Poglądu na świat? Wiary? Moralności? Od miejsca, gdzie rzucił nas los? Nie wiem.

Z tego gnoju, jakim była sześćioletnia druga wojna światowa, nikt nie mógł wyjść żywy i czysty jak łąza. Nikt nie mógł wyjść aniołem, anioły poszły do gazu. I nikt nie wyszedł normalny po tej wojnie.

Jak wygląda pani powojenna nienormalność?

Lubię, żeby w domu było dużo jedzenia. Wojna nie wojna, lodówka musi być pełna. Kupuję i upycham. Koleżanka z Holandii skomentowała kiedyś wizytę kogoś z rodziny: wpadła do kuchni, zrobiła zakupy i poleciała dalej! A wiele lat później zaczęłam zapraszać wnuki do mojej spiżarni, żeby wybierali coś z dobrych, zagranicznych zapasów. Jestem przekonana, że mojej córki też to nie ominie... Bo to nie może ominąć! A żeby się usprawiedliwić, to się mówi: a, bo tanio, tanio, a, bo promocja. Lepiej wyrzucić, niż być głodnym.

A czy stos pani zegarków ma jakiś związek z tym, który został w mieszkaniu zabranym przez gestapowców w Częstochowie?

To był mały zegarek, nic szczególnego, ale dostałam go od rodziców. Jest święty w mej pamięci, bo zabrało mi go Gestapo. Już w dzieciństwie lubiłam zegarki i czas, to było dla mnie coś fascynującego. Wiele lat później zakochałam się w swatchu, bo mogłam w nim pływać i nic mu się nigdy nie stało. Tak, mam dużo zegarków, daję je też w prezencie. Kiedyś je zbierałam, kupowałam zegarki swatch przyjaciółom, nie zastanawiałam się, dlaczego akurat zegarki – może dlatego, że pokazują, jak szybko mija czas. Chociaż teraz myślę, może ze względu na wiek, że to nie czas mija, a my. Może to znaczy, że czas jest po prostu zawsze ten sam, leży sobie spokojnie jak jakiś dywan, a my jesteśmy tymi, którzy zjawiamy się na nim od czasu do czasu i natychmiast zaczynamy po nim biec, z niemowląt stając się dorosłymi ludźmi. Czas stoi, bo czas ma swój czas, a to my mijamy! Nieraz zjawiamy się, wychodzimy z tego dywanu w dobrym czasie i kiedy jest dość jedzenia, nie ma wojny ani rewolucji, co zdarza się rzadko, kiedy nie jest zimno i nie brakuje jedzenia, a czasem zjawiamy się akurat pięć minut przed Hitlerem i wtenczas kto leci? Czas czy my? Czasu nie obchodzi, co my robimy i gdzie jesteśmy.

Mam za to pełno butów, których nie zdążę nawet raz w roku założyć, bo tu większość czasu chodzi się w sandałach. Buty podczas wojny to życie i to akurat na pewno mam stamtąd. Nie mogłam wyjść z małego getta i uciec, bo nie miałam butów, a na dworze była zima, śnieg. Dopiero kiedy ciotka zafasowała mi wysokie sznurowane buty w moim rozmiarze w dużym getcie, w którym pracowała, pakując wagony z żydowskimi rzeczami – obrazami, porcelaną, srebrem, futrami i właśnie butami – do Niemiec, mogłam uciec przez dom Frankego, by na ulicy Celnej spotkać się z obcą kobietą, która była służącą u żydowskiego milionera. On miał to szczęście i zdążył uciec do Ameryki. Zostawił jej klucze do mieszkania, które zostało przejęte przez rodzinę gestapowców. Ona zabrała mnie tam do swojego pokoju. Ta kobieta była naprawdę święta, brała mnie do swojego łóżka, zawszoną i z ropiejącymi ranami do samych kości na rękach i nogach, do dziś mam po tym blizny. A tam mieszkała przecież niemiecka rodzina! Przynosiła mi raz dziennie po pracy jedzenie z restauracji i wynosiła nocnik; na końcu umarła na gruźlicę.

Pamięta pani, jak się nazywała ta kobieta?

Miała na imię Julia. Tylko służące mi pomagały! Wtedy zaczęłam się bać, kiedy zaczęłam życie na „aryjskich papierach”. Strachem byli

szmalcownicy. Ale ja chcę powiedzieć, że mimo że Polacy byli tacy obojętni na nasze cierpienie i tak niewiele osób naprawdę pomagało w czasie tej wojny, wiadomo ile... to nie chcę nikogo osądzać, bo sama nie jestem przekonana, czy wzięłabym arabskie dziecko do domu, gdyby groziło to śmiercią mnie i mojej dużej rodzinie.

A pani porostawiane na półkach, powieszzone na ścianach w kuchni, w pracowni, a nawet w łazience ceramiczne domki też mają związek z wojenną częścią pani życia?

No, moje domki... przecież nie trzeba być doktorem psychologii, żeby zrozumieć, dlaczego cały mój dom jest pełen domków. Są z całego świata, mam nawet całą Pragę, którą przywiózł mi mąż.

Pierwsze, najstarsze są te greckie wiszące na ścianie w kuchni, zobaczyłam je w Grecji i serce zaczęło mi wtedy mocno bić. W kuchni są też domki z Portugalii i Holandii. Potem te stojące na półkach w pracowni, malutkie. Każdy z rodziny, kto podróżuje, przywozi mi z różnych części świata domki, moja wnuczka na przykład z Argentyny. Swego czasu na ich widok wpadałam po prostu w jakiś amok, a mąż wtedy patrzył tylko na mnie i mówił: „Znowu? Ile już ich masz!”. Teraz nie mam już ich gdzie stawiać, tyle ich jest.

Ma pani jakiś ulubiony?

Tak. Mój prawdziwy, z pachnącym ogródkiem. Nie trzeba mi nic więcej.

Czy w takim razie przestało kiedyś być aktualne stwierdzenie: „[...] i od tej chwili nie czuję się już w życiu jak w domu”⁴⁴?

Chyba tak... Nie mogę powiedzieć, że w Izraelu nie jestem w domu. Czasem jest gorzej, czasem lepiej, ale to jest dom. Słońce przez większość roku, piękna natura, morze, migracje ptaków... Tu znalazłam swoje miejsce. A tamto to był dom dzieciństwa. Każdy wychodzi ze swojego domu dzieciństwa i nie ma potrzeby filozofować. To jest mój dom.

Na początku w ogóle o tym nie mówiłam. Musiałam to sama przetrwać, tę wojnę, te sześć lat, moje miejsce w życiu, w drodze, w krajach... Jak można komuś opowiedzieć, że „mój tatuś mnie uratował”? Leżę sobie z mężczyzną w łóżku i nagle mam mu opowiadać, że tatuś mnie podał ze strony śmierci na stronę życia?



Zdjęcia 11 i 12. Kolekcja domków ceramicznych Irit, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

A małe domki są z tego okresu, kiedy objeżdżaliśmy z mężem świat.

To były najlepsze lata mojego życia: moje małżeństwo, życie rodzinne w Izraelu między wojnami, wychowywanie dzieci, nasze życie towarzyskie i wyjazdy, wycieczki po świecie. Dzięki jego pracy w biurze podróży mieliśmy masę przyjaciół na całym świecie, do których jeździliśmy i którzy przyjeżdżali do nas.

Kiedyś tatuś zabrał mnie, żeby pokazać zabalsamowanego Piłsudskiego, a wiele lat później Chuzy pokazał mi Lenina, Stalina i Mao Zedonga. Miałam okazję zobaczyć pół świata w ciągu naszych zdrowych lat. Tylko do Indii nigdy nie chciałam jechać.

Dlaczego?

Bałam się, że ta bieda tam, ci żebracy, że to będzie mi przypominać getto... I oni tam spalają ludzi, ten dym...

Powiedziała pani, że nikt nie wyszedł normalny z tej wojny. Czy jednak pani zdolności szybkiej adaptacji, podejmowania decyzji w nagłych wypadkach i opanowywania emocji nie są wynikiem tamtych przeżyć?

Myślę, że tak. Przede wszystkim nauczyłam się nie tęsknić. Była wojna, cały czas działo się coś nowego, stale trzeba było się przyzwyczajać do nowych ludzi, miejsc, warunków. Żeby żyć, trzeba było zdusić w sobie tęsknotę. Do tej pory umiem szybko się zaadaptować do nowych warunków. Mój wyjazd to był akt syjonistyczny, ale i feministyczny.

Jak wyjeżdżam za granicę, zamykam za sobą wszystko i jestem tam, nie tęsknię. To nie tak, że mi tego czegoś czy kogoś nie brakuje... Brakuje, ale umiem wyłączyć tęsknotę.

Zaraz po wojnie wprowadzono w Izraelu kartki na żywność. Jedzenie można było również kupować na czarnym rynku. Ja nie kupowałam, nie miałam na to pieniędzy. W kibucu to mnie nie dotyczyło, a po wyjściu trwało to krótko. Wszyscy żyli wtedy skromnie. W święta spotykaliśmy się z przyjaciółmi z kibucu Megiddo, wszyscy już mieliśmy dzieci. Osmaleni, którzy zostali bez rodzin, spotykali się z przyjaciółmi, jeśli służyło się w wojsku, to można było przyprowadzić rodzinę na przykład na seder⁴⁵ albo, tak jak ja, zaadoptować rodzinę męża.

Czy rodzina męża w jakimś stopniu wypełniła pustkę po pani straconych bliskich?

Byli mi rodziną w święta religijne i świeckie, pięknie przyjęli i kochali moje dzieci, ale nie byli w stanie, po prostu fizycznie, dać nawet namiastki tamtej spalonej rodziny. Przychodzili, zabierali dzieci nad morze, zapraszali do siebie, robili sedery, kolacje szabatowe... Ale nikt nie mógł wypełnić tej pustki po tamtych, nikt nie mógł wypełnić roli mojej prawdziwej rodziny.

Matka mojego męża umarła, zanim jeszcze się pobraliśmy. Teść przyjechał do nas do kibucu i na początku był zaskoczony, zmieszany, widząc, że mieszkamy razem, śpimy razem, a formalnie nie byliśmy nawet zaręczeni. Na dzień dobry powiedziałam mu, że jestem tu sama, nie mam rodziców, nie mam domu, dlatego jestem w kibucu, na co on odpowiedział: „masz dom u nas, a we mnie masz ojca”.

Zawsze mieliśmy bardzo dobre relacje, ale znowu proszę nie wyobrażać sobie, że on to tak naprawdę zrozumiał. Człowiek, który walczył w czasie pierwszej wojny światowej w armii brytyjskiej przeciwko Turkom, a tam była naprawdę rzeź, który zawsze miał przy sobie broń czy sztylet, jak on mógł myśleć inaczej, niż że „szliśmy na śmierć jak barany”?

Czy „czujnik Szoa”, o którym rozmawialiśmy wcześniej, przekazała pani kolejnym pokoleniom?

Możliwe, że w genach... Ale może można się też tego nauczyć? Reżyser, o którym mówiliśmy, na projekcji swojego filmu, płacząc, wyznał: „Nie dziwicie się, że ja tu jestem, stoi za tym moja matka, ocalała z Szoa”.

Ja cenię mężczyzn, których matki ocalały z Zagłady. Podobno synowie dziedziczą około sześćdziesięciu procent genów po matce właśnie, to mnie z nimi łączy.

Pani dzieci mają takie czujniki? Czy uczulała je pani, jak mają zachowywać się w konkretnych sytuacjach?

Nie.

Najważniejsze było dla mnie, żeby umieli pływać i jeździć na rowerze. To słynne wykształcenie było o wiele mniej istotne. Nie zależało mi też, żeby

mieli prawo jazdy. Mieli umieć to, czego ja nie umiałam. Przecież musiałam wejść na statek z łódki, po drabince, w środku nocy, a nie umiałam pływać. Gdybym wpadła wtenczas do morza, to by mnie tu dziś nie było... Potrzebne jest wszystko, co konieczne, żeby się ocalić.

Ale jeśli chodzi o edukację dzieci, wierzę w przykład, nie w słowa. Tylko swoim przykładem można uczyć dzieci, wychowywać. Dzieci obserwują, jak się zachowujemy, kiedy coś się dzieje, i zapamiętują. Można opowiadać im różne rzeczy, ale one widzą od wczesnych lat, jak jemy, jak dzielimy jedzenie, czy codziennie się myjemy, i tak samo jak my reagują w trudnych sytuacjach, kiedy właściwie nie ma się nad tym kontroli, bo robi się to instynktownie.

Natomiast sam fakt, że mój tata przygotował „aryjskie papiery” i w dniu akcji przepchnął mnie na „aryjską stronę” z getta, o czymś świadczy. Przetawiał mnie ze strony śmierci na stronę życia. To postanowienie było przecież niezwykle odważne – wziąć jedenastoletnią rozpieszczoną jedynaczkę, która w ogóle nie jest przygotowana na samodzielne życie, to bohaterski akt!

Ja znam tylko okruchy i z tych okruchów buduję.

Rodzice przystosowywali się do nowych realiów, ale jakie mieli wyjście? Wszystko było zagrożone karą śmierci! Nawet nienoszenie opaski z gwiazdą Dawida!

Nagle nie ma mieszkania, bo rekwirują je Niemcy, nagle robi się ciasno, potem zaczynają się akcje i mój tatuś buduje schron w nowym domu...

Wojna, getta i sieroctwo to zdecydowanie czas wzięcia za siebie odpowiedzialności, ale jednocześnie w czasie wojny czułam się mniej samotna, między innymi dlatego, że chodziłam na komplety.

Przypomni pani, gdzie się odbywały?

Latem na Krótkiej 42, w ogródku. Nauka nie była dla żydowskich dzieci, było niebezpiecznie, bo nie wolno było się uczyć przecież, więc kiedy przychodzili Niemcy, szybko przenosiliśmy się do ogródka i udawaliśmy, że pracujemy. Zimą zmienialiśmy mieszkania i za każdym razem spotykaliśmy się w innych miejscach. Całe tajne nauczanie nie trwało długo, wojna wybuchła, jak miałam osiem lat, a trzy lata później już byłam sama na wsi.

Nauczycielki zaadaptowały metodę Montessori, o której tak dużo się teraz mówi. Bala Lifszyc, która prowadziła tajne komplety, była bardzo mądrą kobietą. Kiedy widziała, że ktoś nie lubi na przykład matematyki, tak jak ja, dawała mu dużo historii i literatury. Może dzięki temu znam tak dużo do dziś na pamięć...

Na Przemysłowej, dla mnie bardzo ważnej ulicy, odbywają się obecnie kursy języka angielskiego i pewna miła pani Wiola ze wzruszeniem napisała mi o tym na Facebooku: „Pozwoliłam sobie napisać do pani, ponieważ pani osoba stała się ostatnio tematem rozmów w gronie moich koleżanek z kursu angielskiego, który odbywa się na ulicy Przemysłowej w Częstochowie. Ja mieszkam na obrzeżu Częstochowy w Rędzinach, ale praktycznie całe moje życie związane jest z tym miastem i jego historią; jest mi bardzo przyjemnie, że taka pozytywna osoba pochodzi z naszego miasta”.

A mój dziadziuś Hassenfeld miał w Rędzinach młyn!

To jest życie! Są te same miasta i ulice, a na nich dzieją się rozmaite sprawy w różnych czasach!

Czego nauczyliście się na kompletach?

Mieliśmy książkę do historii *Mówią wieki*, zeszyty, czytaliśmy i pisaliśmy. To są chyba najlepsze wspomnienia, jakie mam z tego częstochowskiego, niemieckiego czyścica. Piszę szeroko o tym wszystkim, o Górskiej i jej książce *Nad czarną wodą* w mojej autobiografii⁴⁶. Założyliśmy z innymi dziećmi taki Hufiec Błękitnych Rycerzy i oddawaliśmy połowę z naszych śniadań głodnym z innych wsi, którzy nie mieli domów.

Co jeszcze czytaliście?

Serce Amicisa, gdzie też przecież jest dużo poświęcenia i ideałów niemożliwych prawie do wykonania; Słowackiego, Mickiewicza, *Przedwiośnie* Żeromskiego... Do tej pory, jak jadę przez Tel Awiw i widzę tamtejsze wieżowce, zawsze przypomina mi się ta książka i przewidywania, że kiedyś będą szklane domy. I proszę, są, w Tel Awiwie.

W dużym getcie Żydzi byli sami ze sobą. Nie musieli się bać polskich gojów, że ktoś ich pobije albo wyda.

Mój kuzyn ze strony mamy, Janek Kremski, ożenił się tam z siostrą mojego ojca, ciocią Gutą z Librowiczów.

Co zapamiętała pani ze ślubu?

Jechaliśmy dorożką do rabina! Patrzyłam urzeczona na konie. Miałam bukiet i byłam odpowiedzialna za kwiaty.

Skąd kwiaty w getcie?

Wszystko było. Tylko pieniądze trzeba było mieć, tak jak zwykle. Bardzo byłam wzruszona, najbardziej chyba tym, że mój kuzyn żeni się z moją ciocią.

W częstochowskim getcie nie było muru, może jedynie drut, a na granicy dużego getta stali granatowi policjanci. Tak ja to pamiętam. Getto się zaczynało za domem Frankego i ciągnęło aż do Meksyku, a w Drugiej i Trzeciej Alei, gdzie nie było ani śladu po Żydzie, i w części Pierwszej Alei płynęło normalne życie, jak gdyby nigdy nic.

To był bardzo ostrożny ślub, była już wojna, łapanki. Wszędzie dookoła żandarmi. Polaków niby nie było, bo teoretycznie mogli wchodzić, ale przychodzili robić interesy. Wymieniali na jedzenie albo płacili grosze za biżuterię, materiały, pościel, garnki... Wszystko, co mogło się im przydać.

Żydom nie wolno było wyjść poza getto, więc w ten sposób prowadziło się handel, kupowało się dostępny prowiant, sprzedawało się, co się da – od pościeli po najszlachetniejszą biżuterię, wszystko sprzedawało się za życie! Cały czas trzymało się coś na czarną godzinę i nigdy nie wiadomo było, czy to już jest ta czarna godzina, czy jeszcze nie, bo czarna godzina stawała się coraz czarniejsza, aż na końcu sprzedawało się brylanty za szklankę wody w wagonie.

Między dużym i małym gettem a ostatecznym rozwiązaniem krążyła między ludźmi opowiadka o jednym z niemieckich komendantów, tym bardziej okrutnym, z Lipska, zakochanym ponoć w pięknej Żydówce Ewuni D., którą wieczorami kazał przywozić szoferowi do swej kwatery. Pewnego dnia dostał z Lipska depezę, że kochająca go bardzo żona martwi się stanem jego zdrowia i chce zobaczyć go przy pracy. Natychmiast wystosował rozkaz do szofera, że trzeba szybko usunąć z tego pięknego

świata kochankę, co szofer zrobił z wielką przyjemnością, bo od początku Ewa bardzo mu się podobała, więc zanim ją zastrzelił, zdążył ją jeszcze zgwałcić.

Co wiadomo było wówczas Żydom w getcie?

Pamiętam pewną sytuację – to musiało się dziać podczas pierwszych akcji w getcie, może nawet podczas pierwszej z nich – że złapali brata znajomego mojego taty, Michała Lejzerowicza, i wywieźli go transportem. To się działo, jeszcze zanim przerwali mnie na „aryjską stronę”. Z czasem dowiedziałam się od niego samego i od innych, że Michałowi, bardzo wysokiemu, przystojnemu i muskularnemu mężczyźnie, udało się uciec z Treblinki i wrócić do Częstochowy – rzecz niemożliwa do wykonania! Kiedy Michał zobaczył, co się tam dzieje, postanowił, że za wszelką cenę musi wrócić, by ostrzec rodzinę i częstochowskich Żydów. Możliwe, że uciekł się wagonu i tak dojechał pod pociągami. Kiedy wrócił, zaczął się wielki lament: „Żydzi, tam jest tylko śmierć! Ludzi się rozbiera do naga, kobietom się strzyże włosy do samej skóry... zabiera się ludziom, cokolwiek mają, nawet dzieciom zabawki, w wielkim pośpiechu, żeby się nie zorientowały, i popycha do komory, gdzie ponoć mają wziąć prysznic po długiej i ciężkiej podróży. Komora się zamyka, z pryszniców zamiast wody leci gaz, to trwa dwadzieścia pięć minut, nie więcej, aż wszyscy konają w męczarniach nie do opisania!”. On spotkał tam częstochowskich fryzjerów zmuszonych do golenia głów kobietom przed zagazowaniem. Może uniknął tego mąż cioci Heli, siostry mamy, który wraz z rodziną wyemigrował do Ameryki przed wojną, oficjalnie z powodu braku pracy dla fryzjerów.

Niemcy potrzebowali przecież także miękkich włosów żydowskich kobiet na wygodne materace dla swoich lotników, co chcieli zdobyć cały świat.

Nikt nie był w stanie mu uwierzyć. Mówiło się: Michał oszalał w Treblince, zwariował. Przecież to niemożliwe, coś takiego nigdy nie może się zdarzyć na świecie, kto mógłby uwierzyć w takie bzdury?!

Potem okazało się jednak, że wszystko jest możliwe, i dlatego po wojnie postanowiłam wyjechać z Europy, żeby zmieniać świat i budować kraj dla Żydów.

Jak chciała pani zmieniać świat?

Przede wszystkim, żeby nie było na świecie w jakimkolwiek kraju takiej dziewczynki, która nie ma się gdzie schronić i dokąd uciec przed Treblinką, wśród ludzi, którzy nienawidzą Żydów.

Udało się pani zrealizować ten plan?

Nie do końca, ale coś się udało... Wsunęłam cegiełkę w możliwość istnienia miejsca dla Żydów, którzy chcą tu razem z nami być i dzielić nasz los. To państwo nie jest takie idealne, jakbyśmy chcieli, ale jesteśmy właściwie tacy, jak wszyscy, kiedy jesteśmy państwem, ani lepsi, ani szlachetniejsi niż inni. Jak powiedział kiedyś Ben Gurion: Izrael będzie państwem, jak będzie miał swoich złodziejów i prostytutki. Dzięki Bogu się sprawdziło!

Fakt, że mi się udało, to to, że żyję, mam prawie 89 lat, mam wnuki i prawnuki, i żyję w żydowskim kraju.

Polacy nie pokochali Żydów, Żydzi natomiast nie pokochali Arabów, ale żyją razem na tej samej ziemi. A Polacy chyba przyjęli to, że są Polacy, którzy są Żydami – może nie wszyscy, ale część to przyjęła. I jednak żyją tam, tam chodzą do szkoły. Oni nie są Izraelczykami, są Polakami. Żydowskimi Polakami czy polskimi Żydami.

Jak potoczyły się dalej losy Michała Lejzerowicza?

Przeżył na HASAGU wraz z bratem Mietkiem i siostrą Różyczką, w niemieckim obozie pracy przymusowej w polskiej Częstochowie.

Z Różyczką i Michałem spotkałam się po wojnie w Częstochowie razem z moimi prawie rówieśnikami, ocalonymi z mojego pokolenia, i postanowiliśmy zmienić świat, wybierając syjonizm i spędzając życie na budowaniu państwa dla Żydów. To nie była prosta sprawa, od samego początku. W zorganizowanych grupach zaczęliśmy nielegalnie opuszczać Europę z pomocą organizacji Bricha, czyli Ucieczka⁴⁷. Opisuję to w moich książkach⁴⁸. Rok siedzieliśmy w Niemczech w obozach dipisów, stamtąd brytyjskimi ciężarówkami żydowskiej brygady wojska angielskiego podwieźli nas do przełęczy Brenner, granicy między Austrią a Włochami, bo chcieliśmy jak najszybciej przedostać się do brzegów Morza Śródziemnego. Po nocy, w czasie której przekradaliśmy się w śniegu przez granicę, już we Włoszech, w pociągach siedzieliśmy z Michałem i Różyczką, i całą naszą kibucową organizacją, a wiatr rozwiewał nam włosy. Młodzi



Bella Ciao



Hewenu szalom
aleichem

Włosi uczyli nas śpiewać swój partyzancki hymn *O bella ciao: Una mattina mi son svegliato, o bella ciao, bella ciao, bella ciao, ciao, ciao...*, który śpiewany jest do dzisiaj we Włoszech w rocznicę zakończenia wojny, a my uczyliśmy ich po hebrajsku: *Hewenu szalom aleichem*. Rozpierała nas radość życia, radość istnienia, radość ocalenia, mimo głębokiej żałoby po rodzinie i narodzie, których opłakiwaliśmy po nocach... W nocy był płacz, a w dzień śpiewanie... Byliśmy w stanie śpiewać, bo byliśmy daleko, coraz dalej od Treblinki. Po drodze te piosenki były nam ojczyzną...

Nasz obóz uchodźców we Włoszech, w Torino, był pozostałością po obozie wojskowym Mussoliniego. My, tzn. nasz kibuc, podzieliliśmy swoją salę na trzy części: sypialnię – prycza przy pryczy, jadalnię – stół z taboretami, i łazienkę z klozetami. Na zebrania kibucowe rozstawiało się taboretki naokoło, a stoły przesuwano pod ścianę.

Michał i Różyczka, jak i moja Marysia, to część grupy z organizacji syjonistycznej Kibuc Yosef Kaplan, która zbudowała kibuc Megiddo nieopodal Nazaretu. A ja, jak już mówiłam, zakochałam się w hebrajskim, w Palmachu, w morzu i w czarującym Chuzym.

Mietek został w Częstochowie – miał tam jakiś warsztat tekstylny – i przyjechał do Izraela dopiero wiele lat po nas. Tu też zajmował się materiałami, do tej pory mam podarowany przez niego obrus.

W kilku relacjach ocalonych z Częstochowy pojawia się wspomnienie pogromu z 1937 roku⁴⁹. Czy pamięta pani jakies szczegóły z tym związane?

W 1937 roku miałam sześć lat, działo się tak wiele rzeczy! Mam takie wspomnienie tatusia wracającego do domu we krwi i w podartym ubraniu. Kiedy zamykał sklep, pobili go Polacy, którzy chcieli tam wtargnąć. Udało mi się podsłuchać, jak rodzice naradzali się, czy trzeba jechać do szpitala, ale ostatecznie zdecydowali, że sami sobie dadzą radę. Strach zaczął podnosić głowę: co będzie? Nie wiem, czy to o ten pogrom chodzi...

Pamiętam natomiast pikietę. Pewnego dnia poszliśmy z mamą do taty, do sklepu, ale nie mogliśmy wejść do środka, bo stali tam Polacy, łobuzy, i wołali chórem: „Nie kupuj u Żyda, najlepsza to rada, kto kupuje u Żyda, sam siebie okrada!”. Obie z mamusią miałyśmy tzw. dobry wygląd, wyglądałyśmy jak Polki, więc oni myśleli, że przyszłyśmy na zakupy.

Mama powiedziała wtedy: „ale to jest mój sklep! Tam jest mój mąż!”. Kiedy zrozumieli, kim jesteśmy, wepchnęli mamę do środka ze słowami: „wchodź, żydowo!”. W środku byliśmy już razem z tatą i jego siostrą, ale pamiętam ten strach.

Strach przed Polakami?

Tak! Strach przed nienawiścią, przed gniewem, nie umiałam wtedy tego określić. Strach niezrozumiały dla mnie, bo dlaczego miałibyśmy bać się Polaków? Ale bałam się wtedy tych ludzi, którzy patrzyli na nas z nienawiścią, z zawiścią, z ogromną niechęcią. Nie wiem, czy wcześniej się ich bałam, ale podczas wojny tak, bardzo! Patrzyłam na nich jak na szmalcowników, bo oni zawsze wiedzieli, kto jest Żydem, a kto nie. Nie wiem, jak by się farbowało włosy na blond, jak niebieskie miałyby się oczy, oni zawsze wiedzieli. Czasem dawali do zrozumienia swoim spojrzeniem, że wiedzą.

Czy istniały w przedwojennej Częstochowie miejsca, do których Żydzi nie mogli się udawać?

Proszę nie zapominać, że ja wtedy byłam dzieckiem, wielu rzeczy nie mogłam wiedzieć. Rodzice starali się zaoszczędzić mi tego typu wiedzy. Pamiętam, że w Pierwszej i Drugiej Alei były sklepy żydowskie: skład apteczny Praskiewiczów, kawiarnia Błaszczynskiego, sklep obuwniczy Rappaporta, w Plutosie najlepsze czekoladki Wedla i turecka chałwa. W Trzeciej Alei już nie było Żydów, to było miejsce całkowicie chrześcijańskie. W pobliżu obecnego Ratusza była wtedy kawiarnia Ziemiańska, do której chodziliśmy z rodzicami z jakichś wyjątkowych okazji, jak urodziny mamy. Czasem w niedzielę. Można też tam było potańczyć.

Wspomina pani bojkoty i pikiety. Czy w Częstochowie przed wojną istniał antysemityzm, który odczuwała pani nawet jako małe, chronione przez rodziców dziecko?

Wiem dziś, z perspektywy czasu, że przedwojenna Częstochowa była bardzo antysemicka. Ale ja na początku byłam tylko małą dziewczynką, która siedziała sobie w swoim pokoju w miękkim łóżeczku dziecięcym i czasami słyszała jakieś urywki rozmów rodziców z drugiego pokoju o tym, jak kogoś pobito czy zabrano i jak poważna staje się sytuacja. Do czasu wojny byłam tak naprawdę odgradzona od tego wszystkiego, żyłam sobie ze swoimi dwunastoma lalkami i to, co na zewnątrz, nie dotyczyło

mniej bezpośrednio. Powiedziałybym nawet, że żyłam trochę jak w szklanej bańce. Poza tym miałam tzw. dobry wygląd, nawet na ulicy nie wyglądałam jak Żydówka, miałam jasne oczy i włosy. Mimo wszystko nie było chyba aż tak źle, skoro mój tato nie zdecydował się na wyjazd, choć wyjechać nie było wcale łatwo, zwłaszcza z całą rodziną, albo tę rodzinę zostawić. Interes szedł dobrze, sklep rodzinny uznawany był za jeden z najlepszych, tato miał dobry smak, sam zmieniał wystawy w oknie. Żydzi wyjeżdżali, bo bieda, bo antysemityzm, bo konkurencja. W jakimś stopniu każde dziecko żydowskie miało poczucie zagrożenia, chociaż nie do końca rozumiejąc dlaczego.

Ja zaczęłam się bać dopiero, kiedy w radio codziennie wrzeszczał Hitler, wykrzykując pełne nienawiści zdania, co trzeba zrobić z nami, Żydami. Ale od zawsze przecież wiadomo, że wszystkiemu są winni Żydzi i cykliści!

Wtedy byłam tym bardzo zaskoczona i zastanawiałam się, czemu ten pan Hitler się tak gniewa na nas, Żydów.

Udało się pani znaleźć odpowiedź na to pytanie?

Mam zbiór gazet „Stürmer” z 1938 roku⁵⁰ i wydaje mi się, że człowiek, który codziennie rano budzi się, widząc takie zdjęcia, codziennie ogląda gazetę z tymi zakazanymi żydowskimi mordami zrównanymi ze szczurami i z karaluchami, nie ma potem problemu z wrzuceniem ich do pieca i gazu. Trzeba najpierw odczłowieczyć. Tak można innych przygotować do zabijania ludzi, dorosłych i dzieci: pokazując ich jako szczury, karaluchy, wszy. Tylko trzeba odpowiedniej ilości czasu. Okazuje się, że kłamstwo, obrzydzanie wroga, jego dzieci i kobiet, systematycznie dawkiwane wszelkimi możliwymi drogami informacji, może skłonić całkiem normalnych, przyzwoitych ludzi do mordowania innych.

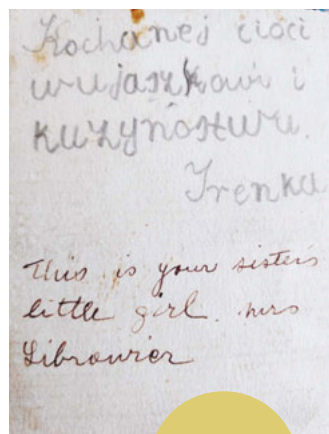
I powiem coś jeszcze... Ilekroć ja zabijam karaluchy w moim domu, psikam na nie specjalnym gazem i one tak leżą na plecach, machają nogami, i już wiem, że nie muszę nic robić więcej, bo zaraz umrą... od razu mam skojarzenia z wojną i Niemcami... Dla nich my wtedy byliśmy obrzydliwymi karaluchami. I ja też to widziałam wtedy, że w oczach Niemców i polskich antysemitów nie byłam tą dziewczynką, którą byłam w oczach mojego taty.



Zdjęcie 13. Irenka Librowicz (pierwsza z lewej, stoi obok matki) z rodziną (ojciec pierwszy od prawej) w Polsce przed wojną, Częstochowa, ok. 1938 roku.
Fotograf nieznan



Zdjęcie 14. Dita Amiel, *Ulica*



Zdjęcie 15. Dedykacja dla siostry Natalii Hassenfeld i jej rodziny, mieszkających w Stanach Zjednoczonych, napisana przez kilkuletnią Irit na jednym ze zdjęć

Ale z kolei jeden z Niemców na Umschlagplatz w Warszawie zobaczył w mojej znajomej i jej córeczce ludzkie twarze, a nie karaluchy, i pozwolił im uciec. Dlatego ona do dziś mówi: „mnie uratował Niemiec”, a ja się pytam: „ilu innych posłał do gazu?”. Przecież on na tej rampie był dokładnie świadom, że oni wszyscy tam pójdą!

Gdybym żyła nawet jeszcze sto lat, nie nauczyłabym się po tej wojnie niczego nowego o człowieku. Ludzie są różni w różnych partiach swojego życia. Człowiek jest zdolny do wszystkiego, do dobrego i do złego. Granica między jednym a drugim jest bardzo cienka i łatwa do przekroczenia. I to się stało też z niektórymi Polakami w czasie wojny: oni przekroczyli granicę. Wojna wydobywa najgorsze cechy z byle jakich charakterów i najlepsze z dobrych. A dobry charakter to mało strachu i dużo empatii, wiara w siebie. Rzadka kombinacja, rarytas.

A tymczasem dziś, pod koniec października 2018 roku, siedzę godzinami i staram się opisać dawną Częstochowę, ale to jest beznadziejne, bo nic się nie zmienia. Czytam „Gazetę Wyborczą” i widzę przesłanie: „Raków to nie jest przytulisko dla byłych Żydów”. Jakby tego nie przeczytać, to to jest antysemityczne. To znaczy, że nawet jak się wychrzcić czy przeprowadzić z Łodzi, to nie ma się widoków u częstochowian.

Pseudokibice w Polsce słyną z antysemitycznych haseł...

Jak oni mówią „Żydzi”, to mają na myśli coś złego, niekoniecznie kogoś obrzezanego. „Żydzi, Żydzi, cała Polska się was wstydzi”. Znam to hasło, chórem krzyżane, bo słyszałam je na własne uszy podczas przyjazdu do Polski z moją nową książką. Do dziś nie mogę w to uwierzyć.

Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem matki?

Myślę, że nie. W mleku matki są witaminy i przeciwciała. A reszta to wychowanie. Przykład. Jak ktoś zachowuje się wobec sąsiada Żyda, co słyszy się o nich od najmłodszych lat. Ale z drugiej strony, żyjąc w tych domach pożydowskich, używając tych wszystkich pożydowskich filiżanek, srebrnych łyżeczek, kołder, może ma się jakieś poczucie winy? Myślę, że ciągle istnieje w jakimś stopniu strach przed Żydami, przed porwaniem na macę, chociaż jest też większe porozumienie między naszymi narodami, jest mnóstwo ludzi inteligentnych...

Jak dawała sobie radę ta odświętna dziewczynka, jak nazwała siebie pani w swojej autobiografii, po „aryjskiej stronie” w czasie wojny?

Cudem. Gdyby nie brat mojej matki, wuj Marian, który zawsze wiedział, co się ze mną dzieje, pewnie bym nie przeżyła. Dzięki Marianowi przeżyło siedem osób.

Była odświętna dziewczynka, a potem były wszy, głód i dziury głębokości palca w nogach i w ramionach, z brudu i niedożywienia. Kiedy wróciłam do getta, w szpitalu był jedynie papier toaletowy. Ukochany doktor Dobrzyński uratował mnie prawdopodobnie transfuzjami krwi, pobierając mi ją z jednego miejsca i wstrzykując w inne.

Na wsi, na „aryjskich papierach”, bardzo szybko okazało się, że nie umiem nic. Wydoić krowy, paść zwierząt na pastwisku, sprzątać, gotować... nic. Gdyby tam, na wsi, po wyjściu z getta były inne dziewczynki z kokardą we włosach, takie, jaką ja byłam, byłoby mi na pewno smutno, ale te dzieci, które tam spotkałam... takie dzieci to ja w życiu pierwszy raz na oczy widziałam. Z trudem rozumiałam ich język, a mówiły przecież po polsku. Zaraz pierwszego dnia już miałam od nich wszy i wszystkie choroby. Bardzo starałam się być jak one, zachowywać tak samo, żeby się nie zdradzić. Chyba przez cały czas tam byłam w traumie! Z jednej strony wiedziałam, że trzeba nauczyć się na pamięć modlitw, starałam się naśladować dzieci przy jedzeniu, być jak one, ale wszystko to w okropnym strachu przed śmiercią. Bałam się, że się zorientują, że nie znam pacierza, a miałam przy sobie modlitewnik przecież – dostałam go razem z medalem od tej kobiety, która przywiozła mnie z getta. Chodziłam więc na cały dzień do lasu i uczyłam się na pamięć wszystkich modlitw, całej tej książeczki. To dla mnie nic trudnego dzięki tym wszystkim wierszykom z dzieciństwa. Ale cały czas był strach! To był najstraszniejszy i najgorszy dla mnie czas, ale instynkt przetrwania był silniejszy i pchał do naśladowania okolicznych dzieci.

Opowie pani o nich?

Proszę zrozumieć, nie bez powodu ich nie pamiętam... To było dla mnie coś strasznego... Jedną dziewczynkę zapamiętałam bardziej, córkę młynarza, dzięki niej też ocalałam, bo zabrała mnie do siebie na jedną noc, kiedy wyrzucili mnie ci, do których zawiozła mnie wcześniej służąca Julia.

Skończyły się pieniądze, które tatuś włożył mi do skarpetki, pracować nie umiałam, a jeść tak. Za darmo karmić parszywej żydowsy nie chcieli. Opisuję to w swojej autobiograficznej książce⁵¹.

Chodziła pani do kościoła?

Trzeba było chodzić do kościoła, żeby dobrze udawać. Zawsze mówiło się, że to, co się dzieje Żydom, jest usprawiedliwione, bo to Żydzi zabili Pana Jezusa Mesjasza. Wtedy w ogóle nie wiedziałam, kim jest Jezus. Jego mama to Czarna Madonna, znajoma z Częstochowy, ale my mamy innego Mesjasza! Byłam wtedy zajęta myśleniem, jak ukryć to, że jestem Żydówką; co zrobić, żeby mnie nie zabili za niepopelnione grzechy. Dopiero zaczynałam to rozumieć, od czasu getta – kiedy oddzielono nas od Polaków. Kiedy Wikcia przed wojną zabierała mnie na Jasną Górę, nie czułam jeszcze tej rozpiętości historii, ale rozumiałam, że to jest inna religia, że Wikcia jest inna. To było jak wizyta w innym świecie. Widziałam, jak Wikcia rano i wieczorem klęka i się żegna. To było mi obce i inne niż synagoga, do której tatuś zabierał mnie w święta. Pachniało inaczej, oddychało się inaczej, pamiętam zapach kadzideł. Podobało mi się tam, jak śpiewa się chórem: „Chwalcie łąki umajone, góry i gaje zielone, chwalcie cieniste gaiki, źródła i kręte strumyki”, albo to: „Kiedy ranne wstają zorze, tobie ziemia, tobie morze, wszystkie nasze dzienne sprawy” ... bardzo mi się podobały te teksty, już wtedy! Ja jestem tekściara. To były te przyjemne rzeczy, można było się nauczyć tych pieśni kościelnych czy kolęd i popisywać się ich znajomością!

Czy pani rodzice wiedzieli, że Wikcia zabierała panią na Jasną Górę?

Oficjalnie Wikcia zabierała mnie do parku, na przykład jesienią, żeby zbierać kasztany. Śpiewano tam: „Był Menelajus strasznie bogaty, miał piękną żonę Helenę, jej nie żałował ciastków, herbaty, ona wciąż miała migrenę” ...

Rodzice nie wiedzieli o tym, myślę, że nie pozwoliliby jej zabierać mnie tam ze względów bezpieczeństwa.

Kiedy się ukrywałam na „aryjskich papierach”, modliłam się, bo wtedy wierzyłam w Boga i byłam przekonana, że robię wielki grzech w stosunku do żydostwa, kiedy mówię katolickie modlitwy. Nadal je pamiętam. Tyle lat już, a nadal pamiętam. Ale w nocy zawsze wtenczas mówiłam w sercu:

„teraz modlę się do Boga Żydów, nie do Jezusa, nie do Matki Boskiej, przepraszam za te modlitwy w dzień: *Shma Israel Ad-nai Elokeinu Ad-nai Ehad*”. Tak mnie nauczyli w domu, tak to zapamiętałam, mimo że pochodzę przecież z domu świeckiego.

Robiła wszystko co w jej mocy
Za dnia godzinami klęczała na grochu
naprzeciw ciała Ukrzyżowanego
Wargami szeptała Ojczy Nasz,
a broczącym sercem mówiła
do jego kamiennego
– Przecież Ty wiesz że oni nie zrobili ci tego
a ja jestem tylko smutną głodną dziewczynką

Ale wszystko było nadaremno

A nocą kradnąc obierki zgniłych kartofli
spod ryjów polskich tłustych różowych wieprzy,
powtarzała z wielką powagą
– *Szma Israel Adonai Elohenu Melech Haolam*
Słuchaj Izraelu Panie nasz Królu Świata
Błagam Cię, niech wróć
niech się pochylą nade mną
i będę grzeczna na zawsze –

Ale wszystko było nadaremno⁵²

Wspomina pani w swojej autobiografii, jak babcia Udl, zapalając i błogosławiąc świece szabatowe, patrzyła na panią ze wzruszeniem, mówiąc: *Irka iz a jidysz kind*. Mogłaby pani wyobrazić sobie siebie jako kobietę religijną?

Ja płakałam, a moja kuzynka się wyśmiewała z tych wszystkich obrzędów, zakrywania oczu, zasłaniania głowy.

Ale jak można być religijnym po Zagładzie? W ogóle tego nie rozumiem. W Częstochowie na peronie, kiedy czekałam na rodziców, a oni nie przyjechali, po miesiącu takiego czekania, kiedy pojęłam wreszcie, że oni nigdy nie wrócą, powiedziałam sobie stanowczo: nie ma żadnego

Boga, musisz sobie radzić sama. Adoptowaną, biedną krewną też nie będziesz!

Zdaje mi się, że i tak w którymś momencie bym uznała, że nawet jeśli On istnieje, w jakiegokolwiek formie, to na pewno jesteśmy mu obojętni i nie trzeba niczego od Niego oczekiwać. Ja nie oczekuję niczego. Może On naprawdę jest, ale to nie ma nic wspólnego ze mną. Jak moją matkę prawie odarli ze skóry, to ja mam wierzyć w Boga?!

Mówi się o świecie przed wojną i po niej, ale to jest świat przed tym i po tym, jak wrzucono Korczaka z dziećmi i moją kuzynkę Sylwijkę do wagonu do Treblinki. Po tym, jak zabrali ich do gazu – dla mnie tam na górze nie ma nic, tylko chmury, słońce, księżyc, gwiazdy i planety.

Jak zatem rozumieć w tym kontekście powiedzenie: „A jak trwoga, to do Boga”?

Kiedy przed rokiem potrącił mnie samochód, łamiąc mi kolano, myślałam tylko o karetce. Szukałam telefonu w torebce, żeby wezwać karetkę i zadzwonić do dzieci, żeby dać im znać. Nawet na myśl mi nie przyszło! Sądzę, że wszystko jest dziełem przypadku. Gdyby ten samochód wtedy mnie mocniej uderzył, nie siedzielibyśmy tutaj, ale to nie dlatego, że Pan Bóg tak szepnął temu kierowcy. Zbieg okoliczności!

Jedyny w całym roku czas, kiedy zdarza mi się pomyśleć: może i faktycznie Bóg istnieje, to wiosna. Ten moment, kiedy drzewa puszczają pączki, z nich szybko wykluwają się liście, kwiaty, zieleni się trawa, pada deszcz... Ale to pod warunkiem, że uznamy: Bóg i Natura to to samo.

Dlatego ja się nie boję, bo niczego nie oczekuję. Albo raczej: wszystkiego oczekuję, przecież znowu może być wojna, znowu może być Szoa.

Czy cały czas się o tym myśli?

Nie. Ale to cały czas jest z tyłu głowy. Ja mogę kochać mojego arabskiego ogrodnika, ale mam tę świadomość, że to może być, że znowu może się to stać.

Myśli pani, że Szoa może się powtórzyć?

Powtarza się co dzień. Ciągłe. Proszę tylko pomyśleć, ile takich „Szoa” dzieje się codziennie na świecie – w Jemenie, w Syrii, w jezydzkich

wsiach... Turcy, którzy wymordowali Ormian... Tylko Żydzi ze swoją długotrwałą pamięcią potrafią robić szum wokół tego, co im zrobiono.

Nie wyciągnęliśmy wniosków z tego strasznego rozdziału naszej historii?

Chyba jedyna lekcja płynąca z Zagłady jest taka, że Żydzi muszą mieć swój własny kraj dla siebie, nawet jeśli większość z nich nie będzie w nim mieszkać. Wystarczy sam fakt, że mogą tu przyjechać w każdej chwili, że mają gdzie się schronić. Nieważne, czy są to Żydzi z Turcji, Pakistanu, Polski, czy Iraku. Żeby już nigdy nie było takiej chwili, że żydowskie dziecko nie ma dokąd się zwrócić, tak jak ja nie miałam dokąd pójść, bo nikt mnie nie chciał...

I może w tym żydowskim kraju nie będzie im bardzo dobrze, może będzie im nawet źle, ale przynajmniej będą u siebie!

Dopóki nie nauczymy się wszyscy, że krew u wszystkich jest czerwona i tylko skóra, którą noszą według nakazanych genetyką warunków klimatycznych, jest innego koloru, będzie istniało to zagrożenie, będą ginąć ludzie i będą wojny.

Często powtarza pani: „Siwy się na mnie mści i dlatego tak długo żyję. A ja mam rachunek z wieloma!”.

Mam rachunki z całym światem – z Europą, z Bogiem, z Polakami. Niemcy bez pomocy Polaków nie byliby w stanie wyłapać nas tak dokładnie, zwłaszcza tych zasymilowanych, z dobrym wyglądem, bo wiadomo, że tych Żydów w chałatach i z brodami widać jak na dłoni. Mnie to zaskoczyło i bardzo bolało, że nasi sąsiedzi, ludzie, wśród których żyliśmy przez setki lat, nagle stali się naszymi wrogami.

Moja przyjaciółka, dziennikarka z Krakowa, błogosławionej pamięci Maria Mariańska⁵³ przetłumaczyła zaraz po wojnie te słowa z jidysz:

To boli,
to tak strasznie boli...
nie szła nienawiści, którą płonie wróg,
nie bezmiar niedoli
i nie razów stuk –
nie gwiazda Syjonu

na Żyda ramieniu
nie znak, że to Żyd,
bo to będzie dla nich –
dla nich aż do zgonu –
poprzez pokolenia –
tylko dla nich
wstyd.

To boli,
to tak strasznie boli,
gdy nie obcy – wróg –
lecz ten – co w niewoli
tak samo – jak my
młody polski chłopiec i polska dziewczyna
z męki naszej drwi....

Mordche Gebirtig, „*To boli*”, tłum. M. Hochberg-Mariańska⁵⁴

Z drugiej strony, gdyby ten granatowy policjant nie wpuścił mnie do domu, gdyby ta służąca gojka nie zabrała mnie na wieś i ze wsi...

Na każde żydowskie dziecko na „aryjskich papierach” potrzeba było co najmniej pięcioro, a może i dziesięcioro osób do pomocy, jak i takich, którzy umieli trzymać język za zębami. Mój dziewięćdziesięciokilkuletni przyjaciel uratowany przez polskich sąsiadów powtarza: „najpierw trzeba było zabić tych, co wiedzieli, a potem Żydów”. Trzeba było przecież kupić więcej jedzenia, więcej chleba i nie zapominajmy, że wszystko było bardzo ograniczone albo kupowane na czarnym rynku.

O człowieku wiem na pewno, że mieszka w nim i dobro, i zło. Od czynników zewnętrznych i wewnętrznych zależy, co się w nim uruchomi. Jasne, że jak człowiek jest syty, umyty, ma zaspokojone wszystkie potrzeby, to jest mu dobrze i zdarza mu się, że jest dobry...

Pamiętam, jak w któryś niedzielny poranek zobaczyłam u pani dwie wypalone świece i byłam przekonana, że stoją tam po szabacie, ale szybko wyprowadziła mnie pani z błędu, machając ręką: „zawsze zapalam, jak smażyć ryby, nie chcę, żeby śmierdziało w domu”.

Moje dzieci, dorastając, pytały mnie oczywiście o Boga, a ja zawsze odpowiadałam im: „Bóg? Ja nie wiem, nie spotkałam. Mogę wam opowiedzieć o seksie, bo to robię, ale Bóg? Nie miałam okazji”.

A teraz mój syn w piątkowe wieczory, kiedy zbiera się cała rodzina, wznosi kielich z winem i odmawia kidusz. W piątki właśnie zazwyczaj idę do Onika, tam przychodzą jego dzieci i pięcioro wnuków, a moich prawnuków. Dzieci są rozpieszczane i dokazują, bombardowane zabawkami i książkami. Oni zawsze mówią: „Wszystko zaczyna się od ciebie, mamo”. A w sobotę przychodzi do mnie córka ze swoją rodziną, jej synowie ze swoimi partnerkami, i choć na chwilę wskoczy syn z żoną, czasem też jego dzieci. Całe lata gotowałam na weekend, jak wszyscy Izraelczycy. Wnuki wtedy pierwsze kroki kierowały do kuchni: „*Safta*, co jest do jedzenia?”⁵⁵. Zawsze im smakowały moje pieczone kartofle i ryż z soczewicą.

Jestem pewna, że gdyby Chuzy miał wierzącą żonę, to i może dom byłby bardziej religijny. A my jesteśmy teraz tacy, jak ci zasymilowani Żydzi w Polsce, nie ci w chałatach, lecz ci mówiący po polsku, ale związani z tradycją.

Chuzy też dorastał w domu niereligijnym, ale takim, w którym szanowało się i obchodziło święta. Jego wujek był rabinem, a z kolei ojciec *enfant terrible*. Nie chodził do synagogi, nie modlił się trzy razy dziennie. W Jom Kippur, kiedy dziadek Chuzy'ego pościł i modlił się, on z bratem wchodzili na drzewo gujawy, które rosło obok synagogi, i zjadali owoce o bardzo intensywnym przeciw zapachu. Po modlitwach ojciec miał w zwyczaju ich obwąchiwać i zawsze przy tym krzyczał zdenerwowany: „Łamiecie post! Ja wam pokażę!”.

Chuzy przez pierwsze lata naszego małżeństwa zawsze postanawiał pościć w Jom Kippur, ale bolała go głowa z głodu, jak większość ludzi, i kładł się do łóżka, zamiast iść do synagogi, gdzie może dzięki modlitwie byłoby mu łatwiej znieść ten post. W końcu zrobiłam z tym porządek. Bo co, dlatego że mój tatuś nie jadł koszernie, to poszedł do Treblinki? Do gazu? Takiego Boga ja nie potrzebuję.

W religii jest tak, że każdy stawia sobie jakąś granicę, wybiera sobie, czego przestrzega, czego nie. Ja robię seder i zapalam świece chanukowe co wieczór, nawet jak jestem sama, i stawiam świecznik w oknie w kuchni,

tak jak robili to Żydzi w Częstochowie. Nadal robię pączki, których nikt inny nie umie robić w rodzinie. Do niedawna smażyłam chrust, latkes, czyli placki ziemniaczane, albo bulbenik⁵⁶, czyli tarte kartofle pieczone w brytfance, który wniosła w posagu z kibucu Noemi, moja synowa. Mąż mojej wnuczki i ojciec moich trojga prawnuków ma nowoczesną kuczkę i co roku zaprasza nas do siebie na Sukkot. Gotuje nam wtedy kuskus.

Lubię tradycyjne żydowskie święta: Pesach, Rosz ha-Szana, kiedy Żydzi z całego świata życzą sobie Shana Tova, czyli dobrego Nowego Roku, Gmar Chatima Tova, czyli zapieczętowania w Księdze Życia. Zapalam świeczki w Jom ha-Szoa. Ale to nie ma nic wspólnego z Bogiem, to jest nasza tradycja!

Czy w podobny sposób obchodziła pani święta z rodziną w Częstochowie?

Rzeczywiście, teraz tutaj, w Kraju, jesteśmy bardzo do nich podobni naszym stylem życia, chodzi mi o ten przekrój społeczny sekularnego żydostwa w Częstochowie. Moi rodzice byli świeckimi Żydami, dorastałam w środowisku świeckim, to nie były rodziny religijne czy chasydzkie. To były rodziny, które już rozumiały, że jeśli nie zdejną z siebie chałatów i sztrajmlów, i nie będą mówiły dobrze po polsku, to nawet następne pokolenie nie dostanie się na uniwersytety, nie będą adwokatami, lekarzami czy inżynierami. Nie zrobią europejskiej kariery. Pamiętam, że rodzice wychodzili na przykład na Sylwestra.

Na pewno obchodziliśmy Wielkie Święta⁵⁷, choć te pamiętam bardziej z getta, bo Niemcy zawsze na żydowskie święta robili na złość jakąś katastrofę i tragedię. Nie było już wtedy ani miodu, ani jabłek. Przed wojną tatuś zabierał mnie w Wielkie Święta do nowej synagogi. Na pewno pościł w Jom Kippur, ja po raz pierwszy pościłam w 1942 roku, dzień po wielkiej akcji w dużym getcie. Byłam już duża, jedenaście lat, to można było pościć. Wtedy już nosiłam też opaskę z gwiazdą Dawida, nakaz noszenia obowiązywał od dziesiątego roku życia. Przed Jom Kippur chodziłyśmy z mamą przeproszać się z różnymi ludźmi. Nawet nie wiem za co, ale chodziłyśmy i przeproszałyśmy. Byłam wtedy ładnie ubrana, mama również. Piło się herbatę, jadło domowe ciasta. Tak robili Żydzi, jak się pokłócili o pieniądze, o długi, nawet o modę, czasem o głupstwa, trzeba było zrobić przed Jom Kippur *sulches*⁵⁸.

Podczas sederu cała rodzina spotykała się w domu cioci Bali, siostry taty. Tatuś siedział u szczytu stołu, bo dziadek nie żył już wtedy, a babcia obok niego pilnowała, żeby prowadził seder tak, jak trzeba. Potem ja tak pilnowałam Chuzy'ego podczas naszych sederów.

Na czym polegało to pilnowanie?

Na poprawnym czytaniu Hagady, na tym, żeby siedzieć odpowiednio, czyli inaczej, opierając się na boku, i żeby we właściwym czasie wypić kielichy wina. Kto umiał czytać po hebrajsku, ten czytał po kolei fragmenty. Ze wszystkimi dziećmi śpiewałam chórem z pamięci *Ma Nishtana*⁵⁹ i czekaliśmy niecierpliwie na afikoman⁶⁰, żeby go znaleźć i dostać prezent.

W domu na co dzień nie było koszernie, ale w Pesach rzeczywiście jedliśmy macę, nie chleb, robiło się porządki, mieliśmy nawet osobne naczynia. Babcia Udl, mama taty, która była bardzo pobożna, mówiła: „wy róbcie, co wam się podoba, i ja też będę robić, co mi się podoba”. Ale nie chciała, żebym ja jadła na przykład szynkę, więc szeptała mi na boku: „nie jedz tego, co oni, to jest mięso szczura!”. Babcia przychodziła do nas często, zostawała na cały szabat. Przynosiła ze sobą swoje koszerne jedzenie, miała u nas tzw. koszerne kąci babci Udl, sama myła swoje naczynia. Zapalała świece, zakrywała twarz rękoma i zawsze przy tym płakała. Robiła też na zakończenie szabat hawdałę.

Nie pamiętam, żeby nie można było gasić światła na noc, wszystko odbywało się normalnie. A goście przychodzili, ale grać w karty. Jadło się wtedy w salonie. Dzwoniło się dzwonkiem i przychodziła pani Helena z tacą, dwa kroki z kuchni, i przynosiła do jadalni dania.

Najważniejsze było, żeby być razem.

Hagada, opowieść o wyjściu na wolność z Egiptu, którą czyta się w Pesach, to obowiązkowa lekcja, którą ojciec ma przekazać synom.

Dzisiaj najistotniejsza jest właśnie ta świadomość, że Żydzi na całym świecie mniej więcej o tej samej porze, w zależności od kraju, powtarzają te same stare słowa w języku hebrajskim, czasem dla nich niezrozumiałe. To mnie zawsze wzrusza. Ja w rodzinie mam obowiązek czytać zawsze to samo zdanie:

„W każdym pokoleniu człowiek powinien postrzegać siebie, jak gdyby to on sam wyszedł z Egiptu”. No i trzeba uważać, żeby to nie stało się jeszcze raz!

Dlaczego akurat to zdanie przypada pani?

Bo ja! Ja przy stole jestem jedyna, która wyszła z Egiptu: europejskiego, polskiego Egiptu, a pozostali urodzili się tutaj. Każdy Żyd powinien widzieć siebie samego jako kogoś, kto szuka wyjścia z niewoli. A niewola może być bardzo wygodna, niby bardzo słodka – obłudna, aż do mdłości.

Czy teraz czuje się pani wolna?

Nikt nie jest wolny, wszystko ma swoją cenę. Przynajmniej jestem wolna od tamtego niemieckiego antysemityzmu. Albo mi się tak zdaje.

To, co się dzieje teraz w Europie, we Francji, na Węgrzech, w Polsce, nie wpływa na panią?

Pewnie, że tak! Chodzi pani na przykład o spalenie kukły Żyda w ostatnim czasie? Ja to pamiętam sprzed lat! Najlepiej podsumował to jeden z moich przyjaciół: „kto jest tym zaskoczony, ten nie wie, gdzie mieszka”. Cały świat idzie na prawo, w kierunku kapitalizmu, bo spróbowano komunizmu i też szczęście nigdzie nie zapanowało.

To mi bardzo przypomina lata trzydzieste w Europie, tuż przed wojną. Martwię się o moich braci i moje siostry w Polsce – o polskich Żydów, to wszystko ma teraz ten sam smród. Martwię się, co będzie, a jednocześnie nie rozumiem, co oni tam jeszcze robią. Historia i zapatrywania, polityka – to wszystko zatacza koło. Człowiek teraz dłużej żyje, łatwiej się komunikować z innymi, ale Żydzi nie są wcale przez to bardziej kochani przez innych. Nic nowego się nie dzieje, wracamy kołem do tego, co było.

Czy dlatego, że nie odrabiamy lekcji? Czy myśli pani, że to dlatego na przykład wraca wciąż temat Jedwabnego?

Im więcej Polak naszabrował, tym większego miał stracha i tym bardziej nas, Żydów, nienawidził. Po milionach Żydów został w Europie potężny, niewyobrażalny majątek. Kamienice, wille, sklepy, działki, sady, place, perskie dywany, Rembrandty i inne, jaśki, kołdry, nocne koszule,

świeczniki, kielichy, biżuteria, złoty pierścionek i złoty ząb – przecież to nie ma końca! Państwo zabralo fabryki, miasto kamienice. Gdyby raz powiedziano: taka była atmosfera, tak robili Niemcy, my też tak zrobiliśmy... Mówili, że Żydzi ukrzyżowali Chrystusa... ale to i tak by nie pomogło, bo chrześcijaństwo nienawidzi judaizmu, bo od niego pochodzi, przecież Jezus także był Żydem!

Myślę sobie dziś, że jakbym była taką żydowską dziewczynką z religijnego domu, to nie przeżyłabym tej wojny na „aryjskich papierach”.

Świeckość pani pomogła?



*Miłość ci
wszystko
wybaczy*

Tak. Mogłam z łatwością udawać Polkę, polską dziewczynkę, chrześcijankę i nie przyciągać kapusiów i szmalcowników, od których roilo się dosłownie wszędzie, przez całą wojnę. Ten język mnie uratował, ta moja dobra polszczyzna. W domu oprócz radia był też patefon, nabytek tatusia, i dzięki temu do dziś pamiętam wiele polskich piosenek, zwłaszcza te wszystkie tanga: *Miłość ci wszystko wybaczy*, *Chryzantemy złociste*, *Tango notturno*. To były czasy, kiedy żelazka i tanga miały dusze, nie człowiek. Na tym wyrosłam. Kiedy rodzice mieli urodziny, odsuwało się na bok stoły i meble, jadło i piło oczywiście, a potem tańczyło się tanga z przyjaciółmi. Ja miałam już wtedy spać, ale podglądałam zza uchylonych drzwi. Oni nie grali tam *Jidysze mame*, tylko *Miłość ci wszystko wybaczy*, rozumie pani?



*Chryzantemy
złociste*



*Tango
notturno*

Gdyby mówiono do mnie w jidysz, to nie znałabym tak dobrze polskiego.

A u mnie było: „Aaa, kotki dwa”. *Nota bene*, jest to chyba jedyne zdanie w języku polskim, które zna cały mój ród, nawet trzecie i teraz czwarte pokolenie. Wszystkie moje dzieci i wnuki potrafią to zaśpiewać.

Nawet prawnukom śpiewa pani tę kołysankę?

Tak. Moje ręce już nie sięgają tak daleko, to jest już czwarte pokolenie, oni mają swoich dziadków, ale tak, ciągle jeszcze tak.

Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein:

Mam jeszcze dużo pytań.

Irit Amiel:

To dobrze, bo ja mam jeszcze dużo do powiedzenia.

Rozlatana między językami

Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein: „Opuściłam wprawdzie Polskę dla Izraela, ale język poszedł za mną, bo człowiek emigruje z kraju, ale trudno mu wyemigrować z języka” – powtarza pani często.

Irit Amiel: Był czas, zwłaszcza podczas pierwszych lat w Kraju, kiedy chciałam od tej mojej polskości uciec, chciałam ukryć ją głęboko, intymnie, bo jednocześnie bardzo ją kochałam, ale to mi też przeszkadzało. Przecież byłam nową imigrantką po drugiej wojnie światowej, dipiską⁶¹, i starałam się wtenczas zakorzenić, żeby choć wyglądać jak rdzenna saperka i Izraelka. Udało mi się nauczyć hebrajskiego tak, by pisać w tym języku i przekładać z niego i na niego, ale polszczyzna na zawsze pozostanie w moich trzewiach, na zawsze będę rozbiegana – czy rozlatana – między polskim a hebrajskim.

Języki międzynarodowe należą do tej skrzynki z narzędziami na życie, które dzieci chłoną, dorastając w kraju, gdzie rodzice postanowili żyć czy też od zawsze żyli. Im jestem starsza, tym lepiej rozumiem, że hebrajski, mój obecny język, to jest ten nowy, ten nabyty. W polskim jestem urodzona, on jest wrodzony. Moje oczy pozostaną na zawsze wierne literom łańskim.

Języki to klucz, to wytrych do świata. Można czytać Goethego po niemiecku, Szekspira po angielsku, Hanocha Levina i Torę po hebrajsku, Szymborską i Tokarczuk po polsku.

Wytrychem do czego jest dla pani język polski?

Polski mam wszędzie w sobie, to jest mój pierwszy język. Jest w moim krwiobiegu, jak to język ojczysty. Nie łączę polskiego z Polską czy Polakami, nie łączę języków z krajami. Ja mieszkam w Izraelu, a polski mieszka we mnie. Hebrajski i jidysz łączą się z żydostwem, to zdecydowanie tak. Im starsza się robię, tym polski staje się mi bliższy, znowu, jak

dawniej. Nie tylko polski, ale też kultura polska, nowości, ale i klasyka, na przykład Mickiewicz. Mam taką koleżankę, która, jak tylko mówię do niej przez telefon: „Halo, Władeczka!” to ona już płacze, bo tylko jej rodzice tak ją nazywali swego czasu. Prosi mnie o „Tato nie wraca” i ja z pamięci deklamuję jej to cudo przez telefon: „Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem, za miasto, pod słupek na wzgórek, tam przed cudownym klęknięciem obrazem, pobożnie zmówcie paciórek. Tato nie wraca; ranki i wieczory, we łzach go czekam i trwodzę; rozlały rzeki, pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze...”⁶², i ona już zalewa się gorzkimi łzami do słuchawki. W dzieciństwie ojciec czytał jej to przed spaniem, to jest jej „Aaa, kotki dwa”. A ja mam ten wiersz w głowie, od kiedy jeszcze czekałam na rodziców w czasie wojny i wierzyłam, że znów ich zobaczę.

W ilu językach żyje pani na co dzień?

W trzech, może czterech. Przede wszystkim w hebrajskim, który łączy mnie z moją rodziną i życiem w Izraelu. Oczywiście w polskim, w którym nadal dużo czytam i piszę, i rozmawiam z panią. Trochę w angielskim, którym posługuję się na co dzień w kontakcie z moją gospożą pochodzącą ze Sri Lanki. Angielski jest tak przyjaznym językiem, że można sobie zawsze dać radę. Dzięki też temu właśnie, że jest tak przyjazny, zostanie współczesnym *lingua franca*.

Przekładać mogę z angielskiego, z niemieckiego jest mi już trudniej.

Lubię mówić w trzech językach, z dodatkiem jidysz, mianowicie: po polsku, po hebrajsku i po angielsku. Poziom opanowania języka umożliwiający pisanie to tylko hebrajski i polski. To, że rozumiem po angielsku, ma ogromne znaczenie dla mojej twórczości, bo otwiera możliwości podążania za tłumaczeniem, co czasem może być tak naprawdę problemem – mogę kłócić się o każde słowo! Henryk Grynberg zawsze mi mówi: „zostaw to, po co tak sprawdzasz te tłumaczenia, węgierskiego nie znasz, włoskiego nie znasz, chińskiego i japońskiego na pewno nie, nie wiesz, jak to przełożyli, tak samo zostaw ten angielski”.

Przed laty, jadąc do Polski, miałam ze sobą zapisaną kartkę po hebrajsku. Wtedy jeszcze żył Chuzy, dzieci były w domu, mój hebrajski żył pełnią życia. Teraz wracam do polskiego i wydaje mi się, że tak jest mi najłatwiej. Wracam do wygody, można powiedzieć.

Czasem pokazuję Dicie jakieś magazyny z Polski z pięknymi zdjęciami, chcę jej je dać, a ona tak patrzy zawsze na mnie: „Mamo, przecież to jest po polsku, co ja mam z tym zrobić?”.

Na co dzień muszę decydować, który język wybrać. Na przykład, w jakim języku będę liczyć, kiedy robię ćwiczenia na nogę albo kiedy ogarniam rachunki do opłacenia.

Po hebrajsku zapisuję sobie tylko codzienne sprawy do załatwienia.

Dlaczego po hebrajsku?

Bo one będą działać się po hebrajsku. Przyjdzie Eitan na przykład naprawić dach, a on nie mówi po polsku.

To się dzieje automatycznie... Raz tak, raz tak. Zależy od tego, w jakim języku i wokół kogo dzieje się sprawa. Telewizja na przykład jest po hebrajsku, więc komentuję, oglądając, po hebrajsku. Hebrajski jest dla mnie kijem, z którym chodzę po Izraelu. Cała reszta języków jest podporą.

Jak się pani zdenerwuje, co się pierwsze ciśnie na język?

A cholera! Cholera jasna! To zawsze mówię... Ale wszystko zależy od ciężkości i w jakim języku się coś dzieje, i wokół kogo.

A w jakim języku pani śni?

Nigdy nie ma mieszanki języków. Zależy od snu. Albo dzieje się po polsku, albo po hebrajsku.

Teraz nie śnię w ogóle, bo śpię na tabletkach, a jak czasem mi się przyśni, to jest to koszmar. Zawsze jest tam ten mój strach, że stanie się coś dzieciom. To jest taki ciemny cień na tle tego, co było, a ja żyję pod nim. Podobno jestem klasycznym przykładem posttraumy.

[...] W kurzu i błocie walają się
czapki bez głów, beznogi buty
poszczerbione bezdzielne nocniki

Na wznak leżą siekierą porąbane
bezdome drzwi
do nieistniejących domów
[...]

Nagle dostrzegam czarną
futrzaną mufkę mojej mamy
z dłonią sterczącą w skórzanej
Beżowej rękawicze.

Rzucam się do ucieczki.
Słyszę znany mi wrzask JUDE! JUDE!
Biegnę potykam się upadam i budzę
zlana zimnym potem
w izraelski parny poranek⁶³.

Oba te języki, hermetyczne przecież, są mi wyjątkowo drogie. Hebrajski to twardy, wskrzeszony język modlitw praojców. A polski to język mojego dzieciństwa. Każdy ma inną muzykę, inny rytm. Trzeba się w tę muzykę wsłuchać i wchłonąć ją w siebie. To jest chyba tajemnica każdego języka. Mój patent na naukę języków to czytanie – biorę książkę, którą już znam po polsku, wiem, co w niej jest, i czytam ją w obcym języku. Kiedyś tak zaczynałam czytać też po hebrajsku. Teraz jestem bardzo wrośnięta w ten język. Codziennie słyszę, jakie błędy robią ludzie na ulicy, i niezmiennie doprowadza mnie to do szału.

Jedna z nauczycielek w trakcie mojej nauki na Ulpanie⁶⁴ za błędy w języku hebrajskim winiła nowych imigrantów. Twierdziła, że ponieważ Izrael jest tygłem, w którym mieszają się języki z całego świata, nowi imigranci robią kalki językowe i tym samym dokładają do hebrajskiego błędy.

Nie, ja tak nie myślę. To jest po prostu nowomowa! Ułatwianie, upraszczanie, skracanie języka. Język się zmienia, jak wszystko wokół. Jest jak duch czasu. *Zeitgeist!*

A propos Ulpanu, pierwszy z nich powstał już w 1949 roku w Jerozolimie. Dziś istnieje ich kilkaset w mniejszych i większych miejscowościach, nawet w kibucach. Czy pani też uczyła się na Ulpanie?

Pamiętam, że w kibucu organizowało się dwie godziny nauki języka dla nowych imigrantów. Tylko dwie, bo najważniejsza była przecież praca. Godzinę dawał kibuc, a druga godzina była z naszego prywatnego czasu, ale nie sprawdzali, czy rzeczywiście chodziliśmy. To były prostsze lekcje hebrajskiego niż dzisiejsze Ulpany, ale wszyscy mówili przecież po

hebrajsku, więc człowiek się uczył więcej na stołówce, przy pracy niż na lekcjach.

W pani rodzinnym domu mówiło się po polsku. Postępowała się pani również żydowskim?

Żydowski nie jest mi obcy, ale to nie mój język. Moi rodzice byli postępowi, byliśmy rodziną w miarę zasymilowaną, ale zawsze wiedziałam, że jestem Żydówką, że jesteśmy Żydami, którzy mieszkają w Polsce, nie udawaliśmy gojów. Polscy Żydzi! Goje nie przychodzili do nas do domu, jedynie do sklepu. Pamiętam, jak tatuś tłumaczył mi, dlaczego nie wolno mi chodzić na cmentarz, tak jak i jemu, bo jesteśmy z rodziny Kohenów. Pokazywał mi, jak rozkłada się dłonie do błogosławieństwa, układając po dwa palce razem, i mówił: „widzisz, dlatego ci łatwo to zrobić, bo jesteś z Kohenów”.

Jidysz jest od babci Udl i od mojej koleżanki Lucy, której wiersze przekładałam swojego czasu z polskiego na hebrajski. Nie znam go naprawdę dobrze, chociaż mogłabym się nauczyć, bo to jest alfabet hebrajski. Znam różne powiedzonka, które wtrącam przy okazji. Jidysz jest bardzo bogaty i ciekawy, taka mieszanka hebrajskiego z niemieckim i polskim, i innymi europejskimi językami. Najlepsze są wice w jidysz, ale to nie jest moja pamięć, może opowiadali między sobą, jak byłam mała, ale do mnie wtedy to nie dochodziło.

Co lubi pani w swoich językach?

Przede wszystkim cieszę się, że mam nadal język i mogę mówić, bo to cud po przygodzie, jaka przytrafiła mi się w wieku kilku lat. Nie opowiadałam o tym nigdy? Bawiłam się swoim krzeselkiem, opierając na nim ręce, a nogami ślizgając się po podłodze. W którymś momencie krzeselko gwałtownie ruszyło z miejsca, a ja uderzyłam o nie brodą, odgryzając sobie połowę języka. Ile było krwi i strachu! Lekarz powiedział, że nie zszywa się języka, zrósł się sam, może tylko smarowali go czymś. Długo jadłam tylko przez słomkę. Do dziś mam bliznę i śmieję się, że to dlatego jestem gaduła. I to w każdym ze znanych mi języków.

Angielski jest mi najobojętniejszy, ale lubię go, bo jest bogaty i łatwy. To jedyny język, którego nauczyłam się podczas nauki w college'u, reszty nauczyłam się sama, czytając książki w oryginale. Hebrajski jest bardzo

oszczędny, z każdego rdzenia, trzy- lub czteroliterowego, wyrasta kilka stron w słowniku. Na przykład z trzech liter: Chaf, Tav i Bet, wyrastają takie słowa, jak: *michtaw* – list, *lichtow* – pisać, *hachtava* – dyktando, *ktuba* – ketuba itd. W ogóle to jest coś nadzwyczajnego, to jest starożytny język! To jest przecież niebywałe, to, co się tutaj stało – proszę sobie wyobrazić, że jakiś kraj na świecie postanawia nagle wskrzesić prawie martwy język i wprowadzić ni stąd, ni zowąd język łaciński jako język urzędowy i codzienny! „*Unus facetus* amore przejęty *pulchram puellam* prawi komplementy” – jak mawiał przed wojną mój wuj Marian. A hebrajski to starożytny język liturgiczny. Dlaczego ludzie tu przeklinają po arabsku? Bo przecież w świętym języku nie ma przekleństw. Teraz może i jakieś są, ale słabe.

Co pani lubi w języku polskim?

Lubię budowanie wyrazów z „nie”, które dużo daje, na przykład: nieobjęty, nieznośny, niepojęty. Lubię wyrazy zakończone na „-ąc”, na przykład: „słuchając muzyki, myślę o naszym spotkaniu”. Już jest romantycznie! To daje nowy kąt w zdaniu, inne spojrzenie. Bardzo lubię przysłowia, różne powiedzonka. Jak nie mogę na przykład znaleźć swoich zapisków, gderam: „Oj Boże, Boże, dałeś temu, co nie może, a ten, co by mógł, temu nie dał Bóg”. Zawsze, gdy wchodzę do kuchni i ktoś się już tam krząta, ciśnię mi się na usta: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”! To przysłowie znają wszyscy w mojej rodzinie. Albo: „Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera!”. Ostatnio powiedziałam to do mojej córki: zamieniłyśmy się na portfele, potem ona chciała z powrotem się zamienić, ale jak usłyszała, co mówię, i kazała sobie przetłumaczyć, od razu zmieniła zdanie. „Ja nie chcę się w piekle poniewierać!”, powiedziała.

Zapisuję sobie czasem wyrażenia, które mi się podobają. Na przykład: „leżała na płask”; „kipnąć na krążenie”; „odlotowe sny”. Albo: „siódma woda po kisielu”.

Nie lubię zdrobnień. Zamiast iść do domu – do domku, albo: daj rączkę, załóż buciki... To jest obłudne, jest w tym jakby jakieś oszustwo, upiększanie czegoś, co jest normalne! Są ręce, buty i dom.

Nie lubię też słów typu: „posłuchawszy”, „zakończywszy”, bo brzmią raczej nienaturalnie.

Nie lubię słowa „Holokaust”. Jest Szoa albo Zagłada.

A czy i pojęcie Szoa się nie zdewaluowało? Ostatnio coraz częściej w mediach wraca się do tematu jemeńskich dzieci, z których wiele zabrano matkom w czasie, kiedy Jemeńczycy po przybyciu do Izraela mieszkali w obozie przejściowym. Niektórzy jemeńscy Żydzi mówią: „To jest jemeńska Szoa”, czy: „Czas teraz zająć się naszą Szoa”.

No to mówią! Ale i im było niesłuchanie trudno, ja pamiętam, jak wyglądała *maabara*, obóz przejściowy dla imigrantów. A sprawa jemeńskich dzieci zdecydowanie wymaga poważnego zbadania. Dla nich to była Szoa! Słowo jest w słowniku, każdy może sobie powiedzieć: „dzisiaj w autobusie do Jerozolimy była Szoa, nie dało się wejść do toalety”. Pojęcie „Szoa” w jakiś niepojęty sposób stało się w Izraelu zwykłą codziennością. Jest nadużywane. Na przykład: „Po co tyle kupujesz, co, będzie Szoa?”; „Są plany na Szoa?”. Słowo to weszło do codziennego języka, nawet się z tego żartuje, co może być formą radzenia sobie z tym tematem.

Ja często mówię: „to jest sytuacja zagładowa”.

Co ma pani wtedy na myśli?

Na przykład: młoda para Izraelczyków z dzieckiem uznaje, że muszą spróbować życia w Kalifornii. Cudowny dom, cudowne warunki, piękne drzewa wokół, las, zielono dookoła w oczach. Przychodzi pożar i spala siedem tysięcy domów!

Albo Żydzi modlą się w synagodze w Pittsburghu, ktoś wchodzi i strzela, zabijając bez żadnego powodu, czy zapalają świece chanukowe i ktoś wdziera się, i dźga ich nożem. To są sytuacje zagładowe! Śmiertelne sytuacje nie do wyobrażenia, bez powodu, w jednej chwili wszystko, co ludzie budują w spokoju ducha, licząc się nawet z huraganami i tsunami, wszystkie nocne koszmary stają się nagle rzeczywistością naszego życia.

Tak jak w pani wierszu *Planetka*?

Tańczymy walczymy
Jeździmy szalejemy
kupujemy obzeramy się
jak gdyby nigdy nic

Rodzimy dzieci zdradzamy
żony mężów i przyjaciół
jak gdybyśmy nie żyli na
cienkiej kruchej powierzchni
tej niewielkiej planetki

Aż pewnego pięknego poranka
wdziera się w naszą codzienność
we wszystkie nasze ludzkie sprawy
jakaś Rita albo Katarzyna
I dzikie fale morskie

Uciekamy na drugie piętro
A tu nagle w naszym salonie
między telewizorem a komputerem
pływa sobie prawdziwy krokodyl

Ziemia otwiera paszczę
i w jej szczeliny zapadają się
miasta wsie drapacze chmur
sale koncertowe domy ulice
pełne ludzi młodych starych
dzieci i niemowląt

Wieczorami smarujemy kremem twarze
Żeby nam się nie marszczyły
Starannie szorujemy zęby żeby się nie psuły
Jak gdyby nigdy nic

Jak gdyby pod naszymi nogami nie wrzała lawa
Nie szykowało się trzęsienie ziemi
I nie szalały oceany

Może ta ziemia nie chce nas wcale?
Może wprost nie znosi na swej powierzchni
naszej obecności? Może woli huragany?⁶⁵

Tak! Pamiętam z Cypru, kiedy Norbert dawał nam, dziewczynom z Czę-
stochowy, „wykłady filozoficzne” w namiocie, a temperatura na zewnątrz
wynosiła co najmniej 35 stopni Celsjusza. Przychodził bardzo wcześnie,

kiedy jeszcze nie było tak gorąco, ubrany zawsze na biało, a Lucy, moja przyjaciółka, a jego żona, prąta mu te białe ubrania, a potem spała na nich, żeby się wyprasowały. Kiedy mówił o Spinozie, że Bóg i Natura są tym samym, coś we mnie się otworzyło. I myślę, że potop w takim razie musiał się zdarzyć, bo takie są prawa natury, natomiast Szoa nie, bo to jest działanie człowieka.

Agnieszka Holland wypowiadała się wielokrotnie z zainteresowaniem o pani opowiadaniu *Długi*, w którym osmalony traci dwóch synów w wyniku niezwykłego splotu okoliczności.

Do dziś myślę, że to jest opowiadanie wyjątkowo nadające się na scenariusz filmowy, które się ciągnie niby baśń, niby od ucha do ucha, we wszystkich kibucach. W Szoa nie ma rzeczy, spraw czy sytuacji niemożliwych. Wszystko mogło się zdarzyć, nic się nie może skończyć, zamknąć.

I wszystko przez przypadek?

Nie przez przypadek, tylko właśnie przez splot okoliczności. Jeśli tak się wierzy, to wszystko jest łżejsze, bo to, co się zdarza, jest nie do uniknięcia. Nie mamy na to wpływu.

Ale czy nie tak samo jest z wiarą w przeznaczenie? Też może nam być łżej, bo tak zdecydowało przeznaczenie, nie mamy na to wpływu.

Ale kto decyduje o tym przeznaczeniu? Kto przeznaczca człowieka na śmierć czy życie? Splot wydarzeń robi się sam, nie trzeba do tego Boga. Przypadkowo akurat ktoś schyla głowę, a kula przelatuje nad nią. Nikt tego splotu wydarzeń nie reżyseruje. Wszystko jest w nas, ta radość życia i ta śmierć.

Kiedy rosły pani dzieci, zdarzało się pani pomyśleć, że mówią lepiej od pani po hebrajsku?

Oczywiście! Do tej pory to zauważam. Nie mogę tak bawić się językiem jak na przykład Dita, nie urodziłam się w tym języku jak ona. Wielu ocalałych nie nauczyło się nigdy hebrajskiego, żyli w tym polskim z polskimi znajomymi i budowali zdania między sobą, typu: „Żeby pójść do *makolet* [sklepu – A.P.B.], musisz przejść przez *kwisz* [ulicę – A.P.B.] i po lewej stronie zobaczysz aptekę, a tam już przystojny facet będzie mówił po polsku”.

Czytała pani dzieciom książki?

Wyłącznie po hebrajsku. To były głównie wierszyki i krótkie historyjki, które znają wszystkie dzieci w całym kraju, wszyscy znają te same wierszyki i piosenki.

Jakie książki z pani dzieciństwa zostały w pani?

Wiersze Tuwima i Brzechwy, Leśmiana... widzi pani? Sami Żydzi! A potem na przykład *Ania z Zielonego Wzgórza*.

Rodzice czytali mi przed spaniem. Potem były radio i płyty winylowe, i olbrzymi patefon. „Biega, krzyczy pan Hilary: »Gdzie są moje okulary?«”^{66!}

„Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa...”.

Tatuś stawiał mnie na krzeselku, kiedy przychodzili goście, a ja z kokardą we włosach, jak wszystkie moje koleżanki, zamiast jakiejś modlitwy z Tanachu, recytuję od A do Z: „Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to. Gładko tak, lekko tak toczy się w dal, Jak gdyby to była piłeczka, nie stal, Nie ciężka maszyna, zziajana, zdyszana, Lecz fraszka, igraszka, zabawka blaszana...”⁶⁷. To jest cudne! Jeszcze do niedawna, kiedy budziłam się w nocy i nie mogłam spać, recytowałam sobie sama *Lokomotywę*.

A to przecież lokomotywa zabrała tych ludzi... moją mamę i tatę, i babcię Udl, kuzynów i wszystkich członków rodziny do Treblinki...

Co jeszcze? „Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku. I przyszedł pan doktor: jak się masz koteczku?”⁶⁸.

A *Żuraw i czapla*? „Przykro było żurawiowi, że samotnie ryby łowi, patrzy, czapla na wysepce wdzięcznie z błota wodę chłepce”⁶⁹... Tego nie znam całego na pamięć... Albo *Chrząszcz* – to tylko Polacy mogą powiedzieć: „W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie i Szczebrzeszyn z tego słynie...”⁷⁰. Czy to nie jest piękny język? Chociaż tutaj jest dużo żartów na przykład ze słowa „prześcieradło”. Po hebrajsku to *sadin* – kto z Izraelczyków mógłby powiedzieć „prześcieradło”? Dla niezających języka to jest nie do wymówienia.

Nie żałowała pani, że dzieci nie będą dzieliły pani odbicia rodzimego krajobrazu? Że nie będą znały pani ukochanych wierszyków?

Nie przyszło mi to wtedy w ogóle na myśl. To był ich świat i do niego należały inne wiersze, które znali wszyscy z tego świata. Wtenczas polski był jak niemiecki, trzeba było przystosować się do nowego kraju.

Dlaczego nie mówiła pani do swoich dzieci po polsku?

To było wtenczas niemożliwe! Niemożliwe, żebym dała im ojczysty język polski, jeżeli ojczystym językiem ich ojca był hebrajski! Po to przyjechałam do Izraela, żeby to z siebie zrzucić przecież, mówić po polsku wtedy to było, jak znowu wracać do Szoa. Tutaj stoczyła się bitwa językowa pomiędzy jidysz a hebrajskim. Pamiętam napisy w autobusach: *Daber iwrit*⁷¹! Bardzo tego pilnowano, zwracano ludziom uwagę w miejscach publicznych. To była ideologia, a ja przecież byłam wówczas przepełniona chęcią zmieniania świata, żeby Żydzi mieli swój kraj, swoje granice, swój język, raz na zawsze, dlatego chciałam mówić w języku Żydów Nowego Kraju, po hebrajsku.

Hebrajski łączy mnie z moją rodziną, z moim mężem, z izraelskimi przyjaciółmi, z moimi dziećmi, z moimi wnukami, z nimi rozmawiam po hebrajsku, a dla siebie i swojej przeszłości mam swój sekretny język...

A jak to wyglądało u pani polskich przyjaciół, z którymi przyjechała pani do Kraju?

Zaraz po przyjeździe zdecydowali, że więcej nie będą ze sobą rozmawiać po polsku, a to były pary polskie, oboje małżonkowie z Polski. Taki wtedy był klimat. Między sobą i z dziećmi rozmawiali tylko i wyłącznie po hebrajsku. Jedynie, kiedy chcieli, żeby dzieci nie zrozumiały, przechodzili na swój sekretny polski, albo kiedy dzieci spały. Kiedy się spotykaliśmy, wracał polski, bo mi brakowało tego języka. Polskie koleżanki komentowały wtedy: „Jak to jest, że jak przychodzi Irka, to się zaraz mówi po polsku?”.

I jak to rzeczywiście było?

To bardzo proste, ja nie miałam z kim w domu rozmawiać po polsku. Moja rodzina, moi nowi przyjaciele mówili tylko po hebrajsku, a że od zawsze lubiałam ten język, chociaż wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, jak bardzo jestem do niego przywiązana, to wykorzystywałam z nimi tę szansę.

Znajoma opowiadała mi, że w dzieciństwie, słysząc mamę mówiącą po rumuńsku na ulicy, rozglądała się ze wstydem, czy nikt nie słyszy, i zawsze zwracała jej uwagę: „mamo, mów po hebrajsku”.

To trzeba zrozumieć, przecież ten hebrajski miał wtedy wielu przeciwników, a najważniejszym był chyba jidysz. Żeby on mógł się odrodzić, trzeba było mówić do nowego pokolenia po hebrajsku. W szkołach uczuła się dzieci, żeby w domu rozmawiały z rodzicami tylko po hebrajsku. Całe nasze pokolenie z dumą mówiło więc do swoich dzieci po hebrajsku, a jak nie umiało, to dzieci ich uczyły! Mówiło się wtedy: „Gdzie jeszcze jest taki kraj, w którym to dzieci uczą matki języka ojczystego!”. Ale przecież tak jest w każdym kraju, w którym jest emigracja i są emigranci, przecież to samo jest w Ameryce. Moja ciocia Hela, która przyjechała do Ameryki, czekała całą noc po tym, jak sąsiadka odwiedziła ją z chlebem i solą, witając w nowym kraju, i pożegnała zwrotem *see you later*. Nie położyła się spać, bo była pewna, że sąsiadka zaraz wróci.

Czy za tą decyzją o porzuceniu języka polskiego, czy ogólnie: europejskiego, w relacjach z dziećmi stało też uczucie pewnego rodzaju wstydu? Jakiś ciężar, że „jestem inny”, „jestem stamtąd”, zwłaszcza w zderzeniu z mitem doskonałego sabry władającego piękną hebrajszczyzną?

Tak, oczywiście, że było i w tym lekkie poczucie wstydu i inności.

Wtedy trzeba było być tzw. sabrą, czyli kłującym z zewnątrz owocem, słodkim i delikatnym w środku. Pierwsze tu urodzone pokolenie, to znaczy dzieci przedwojennych syjonistów, kibucników i pierwszych ocalonych z Zagłady, określane było jako „sól ziemi” – i tak też się czuło! A inni, nowi emigranci posługujący się innymi językami i jękający się po hebrajsku, i ubierający po europejsku, cierpieli, aż się dopasowali. Nawet ubiór był wtenczas wizytówką. Na ulicy widziało się od razu, kto był sabrą, kto nowym imigrantem, a kto turystą.

Wszystko wtedy było koloru khaki, do tego białe rosyjskie rubaszki, latem nosiło się krótkie spodenki z podwiniętymi nogawkami, żeby było widać kieszeń. Dziewczęta nosiły krótkie spodenki zakończone gumką, w piątki obowiązkowo zakładało się białe koszulki, a na to czarne tzw. sarafany⁷², wszystkie jednakowe.

Ja wkładam moim synom koszule w spodnie, a mój mąż im wyciąga i rozpina dwa guziki pod szyją, bo inaczej to jest galuti⁷³.

My tu nie chcemy galutu! Przecież przyjechaliśmy zmienić świat! Galut to wtedy było biadolenie, bycie ofiarą, „pójdźcie jak barany na rzeź” – kto chce, żeby go z tym identyfikowano?

Chociaż coraz więcej emigrantów mówi obecnie do swoich dzieci w swoich ojczystych językach, ciągle zdarza się wstyd z tym związany. Syn mojej koleżanki z Kazachstanu zamyka okno, kiedy rozmawiają po rosyjsku, żeby sąsiedzi nie usłyszeli. Nadal żywy kompleks sabry?

Bo z języka można być dumnym, ale języka można też się wstydić. Dzisiaj to nie jest plama, przeciwnie! Teraz są do tego warunki. Myślę, że najbardziej właśnie spowodowała to alija rosyjska. Rosjanie się uparli i powiedzieli: „wy się przecież nauczycie tego hebrajskiego sami, a rosyjski to jest piękny, bogaty język, trzeba go utrzymać!”. I teraz ich dorosłe dzieci są im za to wdzięczne.

Napisała pani, że w języku polskim rozwinął się, ale i o mało nie zamknął pani świat. Jak teraz brzmi dla pani język polski?

Nic tak mojego ucha nie pieści, nic w nim tak nie szmerze i nie szeleści jak muzyka ojczystego języka. Człowiek emigruje z kraju, ale nie z języka, zawsze to powtarzam. Język ojczysty jest trochę jak chodzenie, to jest w człowieku na całe życie i uczy się tego raz. To znowu to „odbicie ojczystego krajobrazu”. Wiele lat polski spał ze mną w łóżku, aż któregoś dnia obudził się i powiedział: „a co ze mną?”. Tak znalazłam pod poduszką skarb, którego nie zabronili mi wywieźć z Polski. I na starość wróciłam do niego z przyjemnością, i umiła mi on życie. Rodzina zawsze przysyłała mi książki, nawet zza żelaznej kurtyny.

Teraz pani mi przywozi świeże książki, jeszcze pachnące drukarnią, przysyłają też przyjaciele. Dzięki temu mogłam wtedy, mimo żelaznej kurtyny, być na bieżąco, jak i teraz jestem.

Na Allenby w Tel Awiwie była swego czasu polska księgarnia Neusteina, tam było wszystko, można było kupić książki po polsku, były także polskie gazety. Znajdowało się tam centrum polskiego życia. Mój sąsiad w wieku moich dzieci kupował tam książki dla swojego ojca, czasem go

spotykałam, kiedy kupowałam dla siebie, a kupowałam sporo, w zależności od sytuacji finansowej.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zbliżyłam się do grupy mówiących i piszących po polsku w Izraelu – to byli między innymi: Ryszard Loew⁷⁴, Łucja Gliksman⁷⁵, Miriam Akavia⁷⁶, Marysia Lewińska⁷⁷, Henio Szafir⁷⁸, Elżbieta i Roman Fristerowie⁷⁹, i wielu innych. Dołączyłam do ich spotkań w piątki do południa, w kawiarni u Persa na Allenby, dwa kroki od księgarni Neusteina, gdzie zawsze każdy miał coś do załatwienia.

Chyba wszyscy z nich przyjechali do Kraju kilka lat później niż ja; wtedy to było bardzo ważne, ile lat tu już się było i co już się wiedziało. Przy mierzyłam⁸⁰ sobie to towarzystwo i zaczęłam przyjeżdżać na piątkowe spotkania na kawę, skąd potem udawałam się do Dity, która mieszka niedaleko stamtąd. I tak powoli mnie to wciągnęło. Szczególnie dlatego, że już się zabierałam do różnych tłumaczeń z hebrajskiego na polski. Bardzo szybko stałam się jedną z nich, szczególnie kiedy zaczęli publikować w „kurwinkach”, jak nazywaliśmy gazetę „Nowiny-Kurier”, moje tłumaczenia wierszy poetów izraelskich.

To był czas, kiedy zaczęłam przynosić nieśmiało moje pierwsze fragmenty *Osmalonych*.

Co mówili o pani pisaniu?

Nic szczególnego, po prostu: „o, czytam właśnie twoje opowiadanie w gazecie, niezłe!”. Jeden z tych siedzących zwykle komentował: „ona jest jak małe dziecko, tak się cieszy, jak się ją chwali!”.

Część tych osób już nie żyje – czy spotykają się państwo nadal, już w okrojonym składzie?

Wielu z nich już nie żyje. Łucja, Miriam, Roman... Elżbieta wróciła do Polski. Tymczasem spotykamy się z Ryszardem Loewem i Marysią Lewińską, mówimy o książkach, ich autorach, i nie zostawiamy na nikim ze znajomych suchej nitki.

„Dzisiaj w Izraelu, gdzie żyją jeszcze ostatni autorzy piszący po polsku, jest tradycja spotykania się co dwa tygodnie w kawiarni w Tel Awiwie. Przy jednym stoliku, jak niegdyś Skamandryci w warszawskiej kawiarni Ziemiańska, siadają: Irit Amiel, Ryszard Loew oraz Maria Lewińska,

i rozmawiają oczywiście po polsku”, pisze Sławomir Jacek Żurek⁸¹.

Co dają pani te spotkania, wtedy i dziś?

To wtedy zaczął się mój powolny powrót do polskiego. Wtenczas byłam jeszcze saperką, uczyłam się tłumaczyć, żyłam w hebrajskim. A ci wszyscy niby Skamandryci to też ocaleni z Szoa, część z Rosji. Teraz zostało nas troje, ale swojego czasu była to spora grupa. Nawet nieznajomi byli mi bliscy, bo mówiło się o książkach i gazetach, czegoś się dowiadywałam. Przyjeżdżali tu tacy ludzie, jak na przykład Piotr Sommer z „Literatury na Świecie”, Zbyszek Pakuła z Poznania, Remigiusz Grzela z Warszawy, Agata Tuszyńska, Agata Patalas, Sławomira Łozińska, Sławomir Żurek. Ja nie chodziłam do freblówki, to się cieszę, że profesorzy przychodzą do mnie.

Mieliśmy kilka grup przyjaciół z Chuzym, moje towarzystwo z Częstochowy go zaadoptowało, a to nie byle co! Dali Chuzy'emu, wschodniemu Żydowi, obywatelstwo Częstochowy! Ale tam go nigdy nie przyprowadzałam, to nie było miejsce dla niego. Mówiliśmy po polsku, o polskiej literaturze, o Polsce, źle by się przecież tam czuł.

To były zawsze krótkie spotkania: kawa, książki, gazety, a potem większość szła do Neusteina, a ja do Dity na obiad.

A teraz omawia się nowe książki, nowe sytuacje antysemickie i zawsze pada to zdanie: „my nie żałujemy, że tu przyjechaliśmy, tu nam dobrze i bezpiecznie”. Chyba bardziej niż o książkach rozmawiamy o pisarzach i pisarkach. Ostatnio przyniosłam Marysi *Wymazane* Michała Witkowskiego, gdzie rozpisuje się o Ciechocinku, do którego ona jeździ co roku. Zachwyciła się tą książką jak i ja! A jeśli ktoś mnie pyta, co przeczytać, mówię krótko: przede wszystkim Twardocha! Wszystko! *Dracha*, *Króla* i *Królestwo*.

O Ryszardzie muszę powiedzieć, że zawsze bywał wszędzie, gdzie działo się coś polskiego. W ciągu szesnastu lat zbierał od nas, piszących po polsku w Izraelu, prace, sam je edytował, zanosił do drukarni, pakował, zanosił na pocztę, wysyłał nam i sprawiał wiele radości tym nieszczęsnym, polskim słowem.

Dlaczego nieszczęsnym?

Bo właściwie powinniśmy już wtedy byli tworzyć po hebrajsku, a zostaliśmy na zawsze emigrantami z Polski.

Czy dzień waszych spotkań pozostał ten sam?

Nie. Umawiamy się raz na dwa tygodnie, jak nie ma katastrofy, czyli nikt nie jest w szpitalu, nikt nie łamie nogi, nie pada rześisty deszcz ani śnieg. Wybieramy dzień, który wszystkim pasuje, i nie dopuszczamy tam nikogo. Miejsce też już jest inne, bo Neusteina już nie ma; umawiamy się na ulicy Weizmanna w kawiarni Aroma.

W latach sześćdziesiątych półtora roku przebywał w Izraelu Marek Hłasko. Czy udało się pani poznać go osobiście?

Na szczęście nie!

Dlaczego na szczęście?

Bo na pewno bym się w nim zakochała! I co by było z Chuzym? Usłyszałam o nim od koleżanki, której rodzice przyjmowali go w domu. Na pytanie: „Czego się pan napije, panie Marku?”, odpowiadał zawsze bardzo poważnie: „Szklankę mleka”. Przeczytałam wszystkie jego książki, bardzo słynny był tutaj wtedy *Ósmy dzień tygodnia*, ale też inne. Zachwycał się Ejlatem, wtedy jeszcze pustym i romantycznym, i przepowiadał, że za kilka lat zrobi się gwarny i tłoczny. I tak się stało! Ejlat to było wtedy miejsce zesłania dla różnych kryminalistów, odległe, mało zamieszkane, bardzo gorące – ponad czterdzieści stopni upału.

U rodziców tej samej koleżanki z tamtych czasów poznałam też pana Leosia Lipskiego. Tak go zwali tutaj: pan Leos.

Istniała wtenczas wspólnota żydowskiej krakowskiej inteligencji, gdzie nawzajem służyło się sobie wsparciem w trudnych chwilach. Płacili na przykład za dentystę, jeśli komuś psuły się zęby. Był swego czasu sklep z ubraniami dla dzieci na ulicy Dizingoff, gdzie wyżej wymienieni krakowianie zostawiali buty i ubrania dla pana Leosia, który był ubogi ze względu na swój paraliż. Gościło się go po domach na podwieczorkach, co nie było łatwe, bo bardzo się jąkał i był przez to małowówny. Nigdy nie nauczył się hebrajskiego. Pamiętam, jak przechadzał się po Sderot Rotshild⁸², młody, wychudzony, kulejący i z ręką na temblaku – a jego temblak był zawsze kolorowym krawatem. Jedynej wtedy krążącej tu

książki pana Leosia *Piotrus*⁸³ nie pozwalał nam przeczytać wspomniany ojciec przyjaciółki ze względu na jej treść erotyczną. Uparcie powtarzał, że nie jest dla nas, że jeszcze jest czas, choć obie już miałyśmy wtedy w domu po dwojce dzieci.

Przeczytała pani ostatecznie tego *Piotrusia*?

Co za pytanie!

I?

Trochę na granicy pornografii. Tak to dziś pamiętam. Później, kiedy czytałam Hanocha Levina, przypominał mi się *Piotruś*.

Przekładała pani Lipskiego na hebrajski?

Tylko jedno opowiadanie, oczywiście o Szoa. *Sarni braciszek*. Przeczytali to publicznie na jednym z wieczorów literackich tu w Izraelu. Ja sobie zawsze przekładałam sama dla siebie to, co mi się podoba, co uważam, że musi istnieć też w hebrajskim.

Poznała pani bliżej Łucję Gliksman i Miriam Akavię?

Z Łucją przyjaźniłyśmy się do końca jej życia. Poznałam ją tą samą drogą, Łucja się we mnie natychmiast zakochała i oznajmiła wszem i wobec, że gdyby miała córkę, chciałaby, żeby była jak ja, czyli ładna, dowcipna, oczytana i kochająca język polski.

Z nią były inne relacje niż z panem Leosiem. Jego spotykałam przypadkowo przy różnych okazjach, a z nią było towarzysko. Uczyła mnie przez jakiś czas angielskiego, co się nie udało, bo miałam zawsze problem z czasami. A ja, raz czy dwa – zanim nie zamieszkała z panem Leosiem – kiedy była chora, gotowałam w domu rosół, makaron, kartofle, jeszcze wtedy prowadziłam samochód, więc zawoziłam jej to, żeby miała na kilka dni, aż wyzdrowieje. Łucja Gliksman to była starsza *madame Polonia*, zawsze w czarnej sukni na jakieś wyjścia, we fryzurze upiętej w taki sposób, by wydawała się wyższa.

Miriam Akavia była natomiast wiecznie zajęta. Należała do rady decydującej o przyznawaniu Polakom medali Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jad Waszem. W domu nieustannie miała gości, przyjmowała

Polaków i nazywało się jej dom „hotel Akavia”. Nigdy nie miała czasu, nie siadywała z nami w związku z tym u Persa.

Jak wybiera pani swoje lektury?

W każdy piątek jest dodatek o książkach w „Ha'aretz”, który prenumeruję, więc kiedy przynoszą mi rano pod drzwi, od tego zaczynam lekturę. Ale muszę szczerze wyznać, że zazdroszczę Polakom ich magazynu „Książki”, który wydaje „Gazeta Wyborcza”. Kolorowy, czasem wesoły, pięknie wydany, o wiele obszerniejszy!

Czasem czytam taki dodatek o książkach po angielsku w Internecie.

Poza tym w każdy piątek wieczorem oglądam programy kulturalne poświęcone nowej literaturze światowej, czasem kupuję książki pod ich wpływem. Całe życie sama wyszukuję sobie lektury.

Czyta pani jeszcze jakieś inne polskie gazety?

To, co mi pani przyniesie. „Tygodnik Powszechny”, znany w naszych kręgach jako „Żydownik”, „Zwierciadło”, „Sens”, „Pismo” i „Przekrój”. Swojego czasu „Midrasz” i „Chidusz”.

Ma pani ulubionych pisarzy?

Skaczę od jednego do drugiego. Był czas, kiedy lubiłam Alice Munro, Natalię Ginzburg, czytałam dużo Josepha Rotha. Oczywiście Henryka Grynberga na zawsze. Zwłaszcza *Ekipę „Antygoną”*. Jak można pisać o tym tak właśnie! „Nie ma rady, jesteś najlepszy”, powiedziała mi niedawno.

Z polskich młodych pisarzy najbardziej lubię Twardocha i Wichę, Witkowskiego, Masłowską. Z izraelskich Eszkola Nawo, Zeruyę Shalev⁸⁴, Yorama Kaniuka⁸⁵, Amosa Oza i Etgara Kereta oczywiście, i wielu, wielu poetów, których nie będę wyliczała. To są ulubieni autorzy mojej starości, przecież to nie nazwiska z całego mojego życia – tych jest mnóstwo.

Chodzi o to, jak oni piszą, przecież ja ich nie znam, chodzi o zakochanie się w ich twórczości. Naprawdę lubię książki, ale mam okresy, że interesuje mnie ten czy inna, a do niektórych już nigdy potem nie wracam. Nie jestem wierną czytelniczką, raz jestem zakochana w tym, a raz w innym pisarzu czy pisarce, ciągle zachwycam się kimś nowym. Pozostaję wierna

jedynie autorom, którzy pisali zaraz po Zagładzie: Strykowskiemu, Rudnickiemu, Frenklowi, Iwaszkiewiczowi, Nałkowskiej... Właściwie do dziś dnia się tym zajmuję! Ostatnio był tydzień polskich filmów, poszliśmy razem z Onikiem i jego przyjacielem na film o Auschwitz.

Wszystko, o czym myślę, to na ekranie świadomości Zagłady, ona zawsze jest tuż obok.

Najbardziej dotknął mnie *Chleb rzucony umarłym* Wojdowskiego, choć mam wszystko, co ważne w tym temacie: Améry, Levi, Borowski...

Kosiński?

Jak przeczytałam pierwszy raz *Malowanego ptaka*, stwierdziłam, że ja widocznie byłam w raju, że ta moja wiocha to był raj. Potem pojawiły się głosy, że sobie to wszystko wymyślił, ale kto wie? Może tak odnosili się do chłopca, który był ciemny i obrzezany... nie wiem.

Dziś mówi się, że nie do końca to była prawda. Ale czy pani wie, ile wychodziło wtedy takich książek? Pisał jakiś chłopak, że się urodził w Auschwitz, ale to wszystko było dla sławy, potem okazywało się nieprawdą. Gdzieś te kłamstwa zepsuły siłę tej prawdy.

Czyta pani biografie?

Niespecjalnie. Chyba, że wyjątkowo napisane. Ale lubię bardzo googlować o ludziach, żeby wiedzieć, z czym do gościa. Moje zainteresowania są różnorodne. Interesują mnie ludzie, stosunki międzyludzkie w różnych czasach i w różnych wiekach.

Nieraz wywiady z mądrymi ludźmi.

Z izraelskich chętnie czytałam wywiady z Amosem Ozem, zawsze miał coś mądrego do powiedzenia.

Yoel Hoffmann⁸⁶ – och, to coś nadzwyczajnego, swojego czasu szalałam po prostu i za nim, i za jego książkami. Kiedy miało wyjść coś nowego spod jego pióra, stałam pod drzwiami księgarni, zanim ją jeszcze otworzyli. Ostatnio wyzbywam się wszystkich książek po hebrajsku, oddaję je do biblioteki, ale Hoffmanna sobie zostawiam w całości. To jest taki pisarz, jakim ja sama bym chciała być.

Czyli?

Inny!

Pani też jest inna!

Ale on z nauki, a ja z szalonej głowy, z rękawa... On sobie to wszystko ułożył i przemyślał w tych japońskich klasztorach zen, a mnie to ułożył i przemyślał Hitler!

Proszę opowiedzieć coś więcej o Yoelu Hoffmannie, w Polsce jest mało znany.

Kiedy mówię, że jest inny i wyjątkowy, mam na myśli to, że u niego można płakać i śmiać się, czytając tę samą książkę. Coś, co lubię najbardziej u pisarzy. Yoel Hoffmann także należy do drugiego pokolenia. Urodził się jeszcze w Rumunii, rodzice uciekli z nim do Palestyny pod koniec lat trzydziestych, kiedy miał dwa lata może, jego matka umarła wkrótce potem, a on zaliczył dom dziecka, aż do powtórnego ożenku ojca. Wyjechał potem do Indii i Japonii, przebywał w klasztorze zen z mnichami. Teraz jest profesorem filozofii na Uniwersytecie w Hajfie. Wszystkie jego książki drukowane są tylko na jednej stronie, druga pozostaje czysta. Powieści mają formę wiersza, a nawet haiku, ale po hebrajsku, z numerami obok każdego paragrafu. Pisze o Europie i o nas, ale jakby po japońsku. Pamiętam na przykład *Katschen* – o życiu owdowiałego żydowskiego krawca w Berlinie, *Księżę Józefa* – o osieroconym chłopcu w nowym kraju, Izraelu, i *Serce to Katmandu* – o nowej miłości porzuconego przez żonę mieszkańca Hajfy. Dużo więc autobiograficznych wątków, ale jest przy tym awangardowy, inny, jest też śmieszny, a to wyjątkowe połączenie. Wszystko zupełnie inaczej – kto widział taką książkę? Ale muszę przyznać, że nie znajduję w nim dziś już tego, co zachwycało mnie wtedy.

Co to wówczas było?

Sama nie wiem już dziś, co to jest, ale ci pisarze tutejsi wtedy to byli albo zarozumiali sabrzy, albo naśladowujący sabrów, albo bardzo polscy, pozostający mentalnie w Polsce. Pamiętam, jak wyszła książka Szamira⁸⁷ *Elik urodził się z morza*, kwintesencja sabry. No doprawdy, Elik nie urodził się z mamy i taty, tylko z morza! Tak jakby tu niczego wcześniej nie było! I wszyscy wtedy tu mówili o tej książce. To było oklepane, a Hoffmann był kompletnie inny, świeży, prawdziwy, szczery, z dużą dozą humoru i sarkazmu.

W jakich językach pani czyta?

Lubię czytać po polsku, po hebrajsku i po angielsku. Na moim stoliku nocnym są zawsze książki w tych trzech językach, bo to trzyma mój stary mózg. W tych trzech językach czytam swobodnie, mogę też czytać po francusku, niemiecku i żydowsku. Czytając literaturę w obcym języku, można nauczyć się języka, tak nauczyłam się hebrajskiego przecież – czytałam książki, które znałam już wcześniej.

Zaraz po wojnie, w obozach dla dipisów w Niemczech czytałam po niemiecku.

Skąd wzięły się tam książki?

Jaki to był problem załatwić wtedy książki? Rosjanie wchodzili do domów niemieckich, zabierali ubrania, nie książki. Książki leżały gęsto na ulicy. Przychodzili nas odwiedzać różni wysłannicy z Palestyny, mówili frazesy, w które wierzyli tylko oni, a może nawet nie. Pamiętam, że z radością nam oznajmili, że mają dla nas budżet na buty, których będziemy potrzebować do pracy w Nowym Kraju. Mieliśmy wtedy na sobie jakieś stare, zniszczone buty, ja przecież jeden zgubiłam, ale zrobiliśmy bunt, całym kibucem, że nie kupujemy butów! Woleliśmy zobaczyć La Scala di Milano, niż kupić buty. Tacy byliśmy potem wzruszeni, staliśmy na najwyższym piętrze.

Aż któregoś razu przyjechał bojownik z powstania w getcie warszawskim, Israel Gutman⁸⁸, i kiedy zobaczył naszą grupę panien z Częstochowy i kilku chłopców, którzy przeżyli obóz na HASAGU, szybko zrozumiał, na jakim poziomie jesteśmy, i zorganizował nam kilka skrzyń z książkami – zabrał i przyniósł nam. Zawsze powtarzał: „Gdybyś wiedziała, co ja wtedy w was zobaczyłem!”.

Leżałyśmy na pryczy i podawałyśmy sobie kartki, czasem pytałyśmy: „Masz stronę szesnastą? Kto ma osiemnastą?”. Większość była po niemiecku, więc nauczyłyśmy się czytać po niemiecku. Był tam Rilke, Heine – zakochałam się w nich wtedy, *Jesienny dzień* Rilkego to mój ulubiony wiersz.

Kto z najbliższych dzieli z panią miłość do literatury? Czy wszystkie książki poukładane na półkach w pokojach należą do pani?

Pewnie, że do mnie! Chuzy znał świetnie Tanach⁸⁹, a *Pieśń Debory*⁹⁰ nawet na pamięć, ale książek nie czytał jak ja. Na rocznicę jego śmierci napisałam list, który przeczytałam rodzinie przy jego grobie, i znalazło się tam między innymi takie zdanie: „Na twojej połowie łóżka znajdują się gazety i książki w języku polskim”.

Teraz dopiero widzę, że jestem intelektualistką, a Chuzy zauważył to natychmiast. Jeszcze przed ślubem podarował mi *Fausta* w oryginale. Kiedyś powiedział mi zmartwiony: „Ja ci nie wystarczę”. Od razu odpowiedziałam: „Jak mi dasz długi sznur, to mi wystarczysz”. I wystarczył! Myślę, że nasz związek był tak udany do samego końca właśnie dzięki temu, że każde z nas miało przez cały czas jego trwania swój własny balon. Chuzy swoją miłość do Kraju przekuł na budowanie firmy turystycznej. Nie interesowało go organizowanie wycieczek Izraelczykom wyjeżdżającym do innych krajów. Chciał sprowadzać turystów z innych krajów do Izraela. A ja miałam swoje pisanie i mój sekretny polski świat. Z nim mówiłam o wielu sprawach, ale doszłam do wniosku, że Szoa on nie jest w stanie pojąć, jak wszyscy, co byli w Palmachu czy wojsku. Jak oni mogli zrozumieć, że się idzie na śmierć tak bezradnie. Przecież to byli wojacy z bronią w ręku!

Przez całe życie nie miałam partnera do Szoa, może właśnie dzięki temu to małżeństwo się tak udało.

Czy fakt, że Chuzy pochodził z rodziny Żydów bliskowschodnich, od kilku pokoleń w Izraelu, pomógł oddalić też pani bagaż z Polski, może nawet pani traumę? Czy ten temat byłby mocniejszy, bardziej obecny, gdyby pani mąż był Żydem aszkenazyjskim?

Nie miałabym aszkenazyjskiego męża. Mnie się podobali ciemni chłopcy i charakter saberski. Ale ja też nigdy nie potrzebowałam tego zrozumienia... Może gdybym była ocalałą z obozu, to bym miała taką potrzebę mówienia o tym codziennie. Sabra to była przede wszystkim asymilacja. Nie wiedziałam, o czym będziemy mówić.

Chuzy jeździł ze mną wszędzie, wszystko zdążyłam mu pokazać, wszystkich przedstawić. Zabrałam go do Polski wiele razy, do Częstochowy, do Warszawy, Auschwitz... Ale mimo wszystko on, Palmachnik, nie był nigdy w stanie tego pojąć.



Zdjęcie 16. Pracownia Irit Amiel, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Zawsze za to miałam przyjaciół, z którymi mogłam mówić o literaturze.

Oni, mój syn, bardzo dużo czyta. Przed każdą podróżą przychodzi do mnie i pyta: „mamo, jest coś dobrego? Co polecasz?”.

Wycina z gazet informacje o książkach, zwłaszcza dotyczących Szoa, i mi przynosi.

Kiedyś dzieliłam moje książki językowo, w jednym miejscu po polsku, w jednym po angielsku, a w innym po hebrajsku. Teraz już nie. Gdzie je wykładam, tam będą. Mam książki w całym domu, na biurku, w pracowni, przy łóżku, na półkach w sypialni... dlatego mówię „narożny dom”, a nie „rogowy dom”. Często wracam do książek już przeczytanych, bo mi się zdaje, że może coś mi umknęło. Z nieczystym sumieniem robię zakładki w książkach – zaginam rogi u góry kartki, w miejscu, gdzie jest coś, co trzeba przeczytać jeszcze raz albo zrozumieć, albo zapamiętać. Ośle uszy, o proszę, zażydam książkę!

Książce nie wolno być nudną! Lubię książki, w których nagle się zaśmieję podczas czytania. Chciałabym, żeby ktoś się uśmiechnął albo i nawet wybuchł śmiechem, czytając tę naszą rozmowę.

Czytała pani w getcie, czytała w obozie dipisów, a w kibucu?

Była biblioteka w kibucu, choć prawie wszystko tam było po hebrajsku, ale gdzie w kibucu był czas czytać? Trochę czasem mi się udało.

Czego pani nie czyta?

Książek futurystycznych na przykład, ale przede wszystkim nie znoszę i nie czytam książek detektywistycznych czy kryminalnych. Tak samo nie oglądam filmów kryminalnych, bo mnie rzucają osiemdziesiąt lat wstecz. Budzą mój lekko uśpiony strach. Utożsamiam się z bohaterami i wracają bardzo stare lęki i sny.

Jest taki program telewizyjny o dwóch klanach mafijnych, w którym jeden mafioso morduje całą rodzinę drugiego, oprócz jednego kilkuletniego dziecka, które zostaje samo. On jest tak samotny, płacze, jak go widzę. Jedyne świadek, który widzi wszystko! On już rozumie, że jest celem. Tak jak ja wtenczas widziałam, że jestem celem dla Niemców i dla polskich szmalcowników, a minęło już przecież ponad osiemdziesiąt lat! Ale on

nie jest Szoa, on ma się bronić. Wszywają mu broń w misia i on tak chodzi z tym misiem...

Któregoś razu w czasie oglądania tego programu nagle poczułam, że muszę to wyłączyć – nie to, że chcę, po prostu wiem, że nie wolno mi tego oglądać. Wyłączyłam i zrozumiałam wtedy moje utożsamianie się, jak długo i głęboko to wszystko trwa.

Przerażone śmiercią dziecko na filmie i w książce spędza mi sen z powiek na długi czas. Mogę nawet zemdleć, zanim zdążę wyłączyć telewizor! Nie trzeba być wielkim psychologiem, żeby to zrozumieć.

Nie trzeba.

Czego jeszcze nie lubi pani czytać?

Nie czytam komiksów, bo ich nie rozumiem. Oprócz *Mausa* Arta Spiegelmana, którego tata pochodzi z Częstochowy i przeżył na HASAGU. On jest tak dokładny!

Jako pisarka i ocalona, jak postrzega pani ten styl, pomysł opowiedzenia Szoa poprzez komiks?

Bardzo pozytywnie. Żeby uczyć o tym, co stało się Żydom podczas drugiej wojny światowej, nie ma jednej właściwej formy. Film Benigniego *Życie jest piękne* jest tego dobrym przykładem. Najważniejsze, żeby pamiętać. Pamiętać o Szoa i o tym, że w żadnym wypadku nie wolno dehumanizować drugiego człowieka – innej rasy, innej narodowości, innego koloru skóry.

Trzeba dodawać nowe formy, ruszyć to wszystko z tego miejsca, gdzie jest. Trzeba tym wspomnieniom nadać jakichś skrzydeł, żeby mogły jeszcze pognać te popioły przez kilka pokoleń, nie dać im utknąć. To musi być nowoczesne, dopasowane do rytmu współczesności, inaczej to utknie i zniknie. Trzeba innego podejścia, nie ciągłego biadania nad swoim losem. Pół świata morduje się nawzajem – to co w tym oryginalnego? Nawet i trochę humoru trzeba dodać do tego.

Humor i Szoa. Jak nie przekroczyć granicy dobrego smaku?

Jakbym wiedziała, jak to zrobić, to bym napisała o tym pięć tomów. Szoa jest już wyciśnięta i obrabowana do cna. Dlatego trzeba zrobić ten temat lżejszym, żeby faszystowsko-niemiecki udany plan wykończenia ludzi

niczym karaluchy przenieść dalej, w przyszłość, na skrzydłach wędrownych ptaków. Nie tyle może i humoru trzeba, co mniej krwawego pisania, tej krwi jest już dużo. Ona pociąga, ale potrzeba teraz dystansu. Budzenie humoru poprawia nastrój i pozwala ciężkiej informacji przejść lżej. Mnie to nie obraża – ani Polacy jako świnie, ani Żydzi jako myszy. Jakbyśmy mieli być karaluchami, też bym to przyjęła, bo przecież do tego doprowadzili swojego czasu Niemcy, by tak na nas patrzeć. Myślę, że dzięki tej formie komiks *Maus* przetrwa inne książki, bo jest napisany w języku czytany i lubiany przez młodzież. Powinno się mówić prawdę, na ile się jest zdolnym ją pamiętać. Tak uczyć właśnie o Zagładzie. Używać każdej formy, nowych form, iść z duchem czasu, tak jak napisano: „trzeba z żywymi naprzód iść” ... Tak to robić, żeby to trafiało do młodego pokolenia.

Kto potrzebuje tej ironii czy poczucia humoru – pisarz czy czytelnik?

Może obaj? Choć chyba jednak to jest tylko dla czytelnika, żeby mógł przebrnąć przez bagno historii. Kiedy ja zaczęłam pisanie, to już było wtedy na samym brzegu, teraz już nie można pisać w ten sposób, w jaki pisało się na początku... Tak jak mówił już dużo wcześniej Asnyk, w *Daremnych żalach*: „Trzeba z żywymi naprzód iść, / po życie sięgać nowe, / a nie w uwiędłych laurów liść / z uporem stroić głowę”⁹¹... Dobrze, panie Asnyk, już sięgamy! Kupujemy najnowsze samochody, żyjemy do stu lat, latamy do Aten... Ale to nie znaczy, że wolno zapomnieć stare tragedie. Trzeba się uczyć od Greków, oni cały czas popychają naprzód swoje mity. Wyjątkowo się ten wiersz Asnykowi udał.

„Pieśń ujdzie cało...”⁹² to jeden z pani ukochanych cytatów.

Tak! Jeden z tych, które znam na pamięć:

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umięją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy;
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:

Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I brzęcą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby⁹³.

Muszę podkreślić, że antologię wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką pod tytułem *Pieśń ujdzie cało...* wydał zaraz po wojnie Michał M. Borwicz.

Po wydaniu *Osmalonych w Polsce* Tadeusz Nyczek napisał: „Jeśli szukam różnic między jej pisaniem a pokrewną literaturą Holocaustu, widzę je przede wszystkim w rzadko gdzie indziej spotykanym poczuciu humoru, ironii i autoironii. I, przy całym ciężarze treści, w finezyjnej, wspaniałej lekkości stylu”⁹⁴. Może jednak w takim razie wie pani, jak sobie poradzić z humorem, pisząc o Szoa? Ja, czytając pani opowiadania, bardzo często się uśmiecham, ale za chwilę, jeśli nie jednocześnie, dostaję obuchem w głowę.

Przecież nie robiłam tego z premedytacją, to mi tak wychodziło, a po napisaniu dopiero to dostrzegłam. Przede wszystkim chyba dlatego, że zaczęłam pisać późno, nie pisałam zaraz po wojnie, bo, pominiawszy genialnych literatów, z pisania ogólnie wychodził jeden wielki lament. Ale teraz nie wolno już czekać, bo to staje się temat polityczny. Teraz nagle okazuje się, że w czasie wojny ten pomagał, tamten pomagał – wszyscy pomagali; to dlaczego tak mało ocalało? Czytałam wywiad z profesorem Pawłem Śpiewakiem z Żydowskiego Instytutu Historycznego i on powoływał się na badania, z których wynika, że żaden naród na świecie tak bardzo siebie nie lubi jak Polacy. Dlaczego tak może być?

Kiedy Niemcy weszli do Polski i zdobywali miasta i wsie, na początku nie potrafili odróżnić Polaka od świeckiego Żyda. Polacy bardzo chętnie im w tym pomagali i wskazywali nas – tego byłam świadkiem! Była w tym wykorzystywana obojętność, niechęć, wrogość, nienawiść i obsesja. Antysemityzm! Żydzi byli w Polsce niechciani, zniechęceni. Polacy, którzy byli gotowi z narażeniem życia, w wielkim niebezpieczeństwie ratować nie lubianych Żydów, bali się to robić głównie ze względu na swoich sąsiadów, którzy uważali ratowanie Żydów za zdradę Polski. Byli porządni Polacy tu i ówdzie, większość jednak ratowała nie z miłosierdzia, lecz za pieniądze. A dlaczego? Bo Żydzi od zawsze byli w Polsce

niechciani. Choć trzeba zrozumieć też, że za ratowanie Żyda groziła kara śmierci! A ja, gdyby nie Żegota, nie siedziałabym tu z panią teraz.

Śpiewak mówi bardzo ważną rzecz: w czasie wojny zabrakło Polakom zwykłej empatii wobec ginących. Nie umieli poczuć się Żydami skazanymi na rzeź, getto, pociąg, gaz, krematorium, na samotność śmierci wymyślonej przez psychopatów, którą ostatecznie Niemcy przygotowali i dla Polaków, po Żydach. I ja się z nim w pełni zgadzam: nie było dla Żydów po prostu żadnej empatii. Śpiewak mówi prawdę, ale w Polsce nie chcą znać prawdy. Jak to się nie nazywa antysemityzm, to ja już nie wiem, co to jest antysemityzm!

Mnie niechętnie uratował dobrze opłacony przez mojego ojca granatowy policjant, który z gettem handlował za duże pieniądze. Przetawił mnie na inną stronę getta i zgodził się przez kilka godzin mnie przechować. Nie z miłości przecież. Jego synek, który siedział w domu naprzeciwko mnie, nie odezwał się do mnie ani słowem. Miał może tyle lat, co ja, a patrzył na mnie z obojętnością.

Proszę posłuchać, co pisze w swojej autobiografii Jerzy Einhorn: „Może ty, czytelniku, który będziesz czytał tę książkę, możesz sobie wyobrazić, co czuję ja i wszyscy inni, którzy się tym zdarzeniom przyglądają i widzą wszystko, czekając na swoją kolej i wiedząc, że ona nadejdzie. Możliwe też jest, że wtedy, we wrześniu 1942 roku nie znam jeszcze tego strachu, jaki odczuwam dziś. Może jestem otumaniony, zamknięty powszechnie znanym mechanizmem psychologicznym – negacją rzeczywistości. Mechanizm ten powoduje, że zjawiska dziejącego się wokół nie odnosimy do własnej osoby. Ten wspaniałomyślny mechanizm już teraz po latach nie działa. Dziś wiem, że strach dotyczył również mnie i bardzo się boję”⁹⁵.

Pani się dziś boi?

Ja się pocieszam, że niedługo umrę. Śmierci się nie boję. Boję się tylko, że stanie się coś dzieciom, zanim umrę. Chcę umrzeć, wiedząc, że u dzieci i wnuków, i w państwie wszystko jest dobrze.

Co obecnie jeszcze pani czyta ze współczesnej polskiej literatury?

Zachwycam się za każdym razem Szczepanem Twardochem, najpierw *Drachem* (proszę zwrócić uwagę, jakie to wszystko twarde: Twardoch, Szczepan, Drach!), potem *Królem*, a teraz *Królestwem*. Trzeba się od

niego uczyć. Już pani zazdrościsz, że ta książka jest jeszcze przed panią, zazdrościsz wszystkim, którzy dotąd jej nie przeczytali... Łzy same zaczną mi lecieć i płacząc nad tym okropnie, a przecież nie jestem beksa...

Nad czym pani płacze?

Oj, te ostatnie strony zwłaszcza... przeczytać pani?

Proszę.

[...]

Wiem, że wszyscy krzyczą, kotku mój, wiem, ale to nic, wszyscy się trochę boją, lecz my się wcale nie boimy, nie ma czego. Czego tu się bać? Jestem z tobą, kochanie, mama jest z tobą. Chodź, mama cię przytuli, kochanie, weźmie cię na ręce, jeszcze dam radę, chociaż już taki duży urosłeś, taki duży chłopak, mój synek, taki duży, chwyć mnie za szyję, otocz moją szyję tymi chudymi rączkami i trzymaj mocno, główkę połóż, o, tutaj i nie patrz w ogóle, tu nie ma na co patrzeć.

Tu się schowaj, kotku mój, tutaj, wewnątrz mnie, w moich ramionach, schowaj się pod moją skórą, wejdź w moje ciało, mam tu dla ciebie w środku miejsce, skurcz się we mnie, zwiń, schowaj w moim brzuchu, w mojej macicy, bądź jak najmniejszy, kotku mój, malutki, i tak schowany pozostań, moje ciało będzie twoim bunkrem, kotku mój, twoją osłoną przed wszystkim, we mnie się schowasz i nic ci się nie stanie, schowany we mnie będziesz sobie żył, kotku mój, nawet kiedy ja nie będę żyła. Wszystko inne to tylko cienie, długie cienie, długie cienie zaraz przed zachodem słońca. Było jakieś miasto, jacyś ludzie, mężczyzna, którego kochałam i który mnie zdradził, były inne kobiety, były wojny i spadały bomby, miałeś brata, dom, lotnisko, samoloty, był ciepły kraj za morzem, nasz kraj, ale to tylko długie cienie, od których odwracam wzrok, jesteś teraz tylko ty, kotku mój, nagi, w moich ramionach, we mnie, ukryty, bezpieczny, dookoła dzieją się straszne rzeczy, ale ty jesteś bezpieczny, bo jesteś ze mną, do końca jesteś ze mną, kotku mój, i już na zawsze pozostaniesz ze mną, bezpieczny i spokojny, nic ci się nie stanie, bo jesteś z mamą, mama jest przy tobie, kotku mój.

Wteraz, kotku mój, na zawsze zostaniemy już razem⁹⁶.

Tak byłoby ze mną, gdyby tatuś nie przerzucił mnie na „aryjską stronę”...

Skąd taki polski pisarz, młody, Ślązak... skąd on wie, co by moja mama mówiła do mnie? A on to wie! Tak by mówiła! Ale ona była wtedy sama! Nie było z nią ani mnie, ani mojego taty...

Pocieszam się tylko, że się urodziła w 1903 roku, to i tak już by jej teraz nie było naturalną drogą...

Drugi raz to czytam i drugi raz płacę... Śmierć tego chłopca będzie szła ze mną aż do mojej śmierci...

Dobrze.

Wystarczy.

Przejdźmy teraz do czegoś innego.

Czytała też pani ostatnio kilka książek nawiązujących do sytuacji polskich Żydów w roku 1968. Jak pani, która wyjechała z Polski w 1946 roku, patrzy na te wydarzenia?

Trudno przyjąć to, że było się niechcianym w rodzinnym kraju, ale to nie było nic nowego! Z drugiej strony, poturlali się tu i ówdzie, często aż do Stanów, zrobili kariery i są zadowoleni ze swojego życia. Nikt im nie wypomina, że są Żydami. Może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? A czy by było im też dobrze w Polsce? Tego nawet Pan Bóg nie może wiedzieć.

Ja wiem, że to boli, bo mimo że w naszym przypadku każdy sam podjął decyzję o wyjeździe, niemal całe moje pokolenie, niemniej i to też była forma wygnania. Bo dlaczego wyjechaliśmy? Byliśmy po wojnie dosłownie zmuszeni do ucieczki! Wielu może wołałoby żyć w Polsce, mimo Kielc i mimo wszystkiego. Przecież komunista miał być szczęśliwy w swoim kraju, nawet jak miał grube nogi czy był obrzezany! Mój znajomy mówi, że nasz przyjazd tutaj to był akt bohaterstwa. Ja bym tak nie powiedziała, mimo że szłam po tej wojennej gehennie po ośnieżonych górach między Austrią a Włochami, przekradałam się przez granice i płynęłam nielegalnym, połamanym statkiem, do którego trzeba było dotrzeć łodzią rybacką, i to wszystko w wieku szesnastu lat.

Ale dlaczego tylko te dwa wydarzenia? Dlaczego tylko Szoa i 1968 rok? A teraz nie chcą, żeby Żydzi wyjechali?! Mój przyjaciel Henryk Grynberg

twierdzi, że wydarzenia roku 1968 to kontynuacja procesu, który rozpoczął się już w średniowieczu.

Czyli że tak naprawdę nigdy w Polsce Żydów nie chciano?

O! Widzi pani? Polacy są tak dumni z tego króla Kazimierza i zawsze go dobrze wspominają przy okazji mowy o polskiej gościnności w stosunku do Żydów. A jest to tak, że wpuszcza się tych Żydów do Polski czy Rosji na pewnych warunkach, żeby wspomóc ekonomię, handel, żeby państwo rozkwitało, ale stawia się im trudne wymagania i uwarunkowania, nie pozwala się im kupować ziemi, nie ma równości od samego początku. Nie wolno im mieszkać wszędzie, wyznacza się im konkretne miejsca, tzw. strefy osiedlania się, nie pozwala się budować synagog wyższych od kościołów, mogą jedynie otwierać sklepy, oberże i zajmować się lichwą. Zawsze ktoś komuś z naszych jest winien pieniądze, bo Żyd daje na kredyt i pożyczka, więc już zawsze związany jest z pieniędzmi. Żydzi zarabiają, więc i odkładają na piątkową chałę i na naukę dla dziecka w chederze. Nie przepijają pieniędzy, to jak można do kogoś takiego mieć zaufanie? Jak można kogoś takiego lubić? To od razu budzi niechęć, a z czasem zazdrość, zawiść i w końcu nienawiść. To nie przypadek, że ich nie chcą!

Tylko około dwadzieścia pięć procent wygnanych z Polski w 1968 roku wybrało Izrael. Tłumaczyli: „Bo pustynia. Bo wojna. Bo Arabowie. Bo daleko. Bo ten język”. Czy istnieje pośród polskich osmalonych żal czy rozczarowanie z tego powodu?

Tak, na pewno, bo to w koło Macieju, był kraj żydowski, to co, nie mogli nam trochę pomóc z Arabami?

Wówczas jednak Izrael był tak bardzo zajęty wojną i swoim zwycięstwem w wojnie sześciodniowej, że ledwo chyba zwrócono uwagę na te wydarzenia w Polsce. Tutaj wybuchła euforia po zwycięstwie – tylko sześć dni!

Tutaj ginęło pokolenie „sól ziemi”, *Melach HaAretz*! A co tam się działo zaskakującego? Że nienawidzą Żydów? Że chcieli ich wyrzucić? To cena za to, że w ogóle zostali tam aż do 1968 roku. W pewnym sensie naturalna kolej rzeczy.

Tutaj chodziło o istnienie Izraela, a ich wyrzucili jako następstwo naszej wygranej w wojnie sześciodniowej.

Polscy Żydzi nawet nie myśleli o Izraelu! Tylko Europa. W Europie jest podobny klimat, Europa to Europa, to nie dziki wschód! To nie willa na pustyni czy w dżungli! Nawet kiedy się nie zna języka, to chociaż są te same łacińskie litery, a tu są kilkutyсяcletnie biblijne znaki, czytane z prawa do lewa. To nie jest zabawka zacząć tutaj kilkupokoleniowe życie od nowa.

Jak zapamiętała pani wojnę sześciodniową?

Miałam wtedy trzydzieści sześć lat, czterdziestoletniego męża i dwójkę dzieci: dwunastolatka i dziewięciolatkę. Jeszcze zanim dobrze wystygła krew zamordowanych w Szoa, Izrael dzięki Ben Gurionowi zgodził się przyjąć odszkodowanie z rąk pierwszego po wojnie kanclerza Niemiec Konrada Adenauera. On był pierwszym, który rozumiał, że Niemcy tylko dzięki temu, że dają Izraelowi odszkodowania, będą mogły zostać przyjęte w poczet Organizacji Narodów Zjednoczonych. Latałam wtenczas z tłumami i Beginem protestować na demonstracji przeciw tym odszkodowaniom. Samo słowo jest potwornie głupie: *Wiedergutmachung*, czyli jakby ponowne uczynienie dobra; jak się komuś ucięło nogę, to można ją na nowo zrobić dobrze?!

Niemcy to mordercy mojej rodziny! „Jak bierzesz grosz od mordercy twojego ojca, to nie możesz być z nim skłócona”, tak wtedy myślałam. Tak samo prywatnie nigdy nie wzięłam żadnego grosza ani z Niemiec, ani z Polski. Zawsze sobie mówiłam: jak moje dzieci będą umierać z głodu, to wezmę. Ale dzięki Bogu nie musiałam! Straciłam przez to mnóstwo pieniędzy, ale trudno. A Ben Gurion miał na szczęście dość otwartą głowę i potrafił myśleć ponadczasowo, rozumiejąc, że bez tych pieniędzy Izrael nie wygra żadnej wojny. Nie da rady!

W Kraju też ktoś musiał być przytomny! Teraz wiem, że tę wojnę wygraliśmy nie tylko dzięki bohaterstwu naszych żołnierzy, zwanych solą ziemi, ale również dzięki tym odszkodowaniom, bo mogliśmy kupić samoloty, które zbombardowały lotniska wroga.

My tę wojnę wygraliśmy niby w sześć dni, ale dziś myślę, że ta wojna się tak naprawdę nigdy nie skończyła. Był czas, kiedy codziennie drukowano w gazecie nekrologi poległych w walkach czy atakach. Dziś podpalają pola, rzucają rakiety, atakują nożami...

Bojkotowała pani również zakup jakichkolwiek niemieckich produktów, tak jak wielu innych osmalonych? Moja koleżanka, której rodzice są osmalonymi z Polski i Słowacji, postanowiła nigdy nic nie kupić w Ikei, ku rozpaczy swoich dzieci.

Jeden z moich ówczesnych saberskich przyjaciół-sąsiadów kupił wtenczas volkswagena garbusa, a wiedział, że u nas w domu nie było wtedy nic niemieckiego. Mówił mi tak: „Jak ci się nie podoba, to nie musisz nim jeździć!”. A my wtedy w ogóle nie mieliśmy auta.

W 1973 roku wybuchła wojna Jom Kippur. Trwała kilka miesięcy i nastał w Kraju poważny kryzys finansowy. Turyści nie przyjeżdżali, Oni był w wojsku, nie mieliśmy z czego żyć! Żyło się wtenczas niemalże z jego wojskowej, groszowej pensji. Wieczorami mój mąż jeździł do małych wiosek i dawał wykłady syjonistyczne na różne tematy związane z Izraelem. Trzy lata później poznał Icie, przyszełego współnika do interesów. Icie był specjalistą od lotnictwa, a mój mąż od turystyki. I w końcu jakoś odbiliśmy się od dna i dzięki ciężkiej pracy mojego męża mieliśmy dobre życie. Wkrótce po tym zaczęły przyjeżdżać do Izraela wycieczki z Niemiec, a mój mąż poprzez swoją pracę, chcąc nie chcąc, spotykał się z nimi.

Tak naprawdę odbyło się wiele ciekawych spotkań z Niemcami drugiego pokolenia. Na początku tego nie odczułam, bo to się działo w biurze, ale potem oni prosili mojego męża o spotkanie ze mną, kiedy słyszeli, że byłam tam w czasie wojny... Proszę nawet nie pytać, co ja im robiłam, tym Niemcom, w zamian.

Pozwolę sobie mimo wszystko zapytać...

Moje pierwsze pytanie zawsze brzmiało: „gdzie byli twoi rodzice w czasie wojny?”. A oni tłumaczyli się: „Byłem tylko małym dzieckiem...”. Jednemu powiedziałam, że nie mogę mu podać ręki. Nie mogę, bo czuję, jakbym miała dotknąć węża. Inna Niemka mi się tu tłumaczyła, że ona musiała być w SS, bo śpiewała w chórze i jej powiedzieli, że tylko dziewczyny należące do partii będą mogły śpiewać, i ona nie mogła odmówić...

Pewien młody prawnik, którego ojca wysłano na wojnę, opowiadał mi: „Całe życie pamiętam, jak chodzę zrozpaczony, już niegłodny, pomiędzy obcymi dziećmi, zostaliśmy sami z mamą, nie było co jeść... Oddali nas do

domu sierot, jedyne, co miałem, to moją siostrę, do dziś dnia czuję ciężar jej nóżek na moich ramionach...”.

I nagle popatrzyłam na niego i zobaczyłam, że siedzi przede mną ktoś podobny. Spotyka się wroga, ale nagle rozumie się, że on też płacił jakąś cenę... To zmienia wszystko, ta perspektywa, ale na to trzeba mieć otwartą głowę.

A po wojnie sześciodniowej i po naszym zwycięstwie nad Egiptem, Jordanią i Syrią, *Kol HaOlam weIszto*, jak to się mówi po hebrajsku, czyli cały świat żydowski ze swoją żoną, jak to się mówi po hebrajsku, zaczął przyjeżdżać do Izraela, żeby oglądać bohaterów i odzyskane czy zdobyte miejsca. Wówczas przyjechała do Kraju na wycieczkę grupa ornitologów z Holandii. Większość tej grupy stanowiły amsterdamskie Żydówki, feministki, komunistki, które w czasie drugiej wojny światowej działały w ruchu oporu w Holandii. Wśród nich moja ukochana późniejsza przyjaciółka Rose Wiesentrat. Chuzy był wtedy ich przewodnikiem, bo znał każdego ptaszka w Kraju osobiście po imieniu, a te Holenderki jak jeden mąż zakochały się w nim po same uszy. On się złąkł tyłu naraz feministek i zmobilizował mnie na wieczór z nimi. Naturalnie już od pierwszego spotkania cała ich sympatia do niego przelała się na mnie. Wszystkie te holenderskie panie, owdowiałe, cierpiały w czasie Szoa w obozach i gettach. Najbardziej pokochałyśmy się Rose i ja. To, co najbardziej rozpałiło naszą przyjaźń, to wspólny los ocalonych z Szoa, ja i jej córeczka Louis. Rose była prawdziwą globtroterką, przyjeżdżała swoim Citroënem, a ja latałam do niej cztery godziny samolotem i spędzałam cudowne dni na jej holenderskiej działce. Długie lata ciągnęła się nasza przyjaźń, aż Rose, stara komunistka, zdradziła mnie, zakochując się w Arafacie, i to był koniec naszych stosunków.

Zaprzyjaźniła się z Arabami po drodze, kiedy przejeżdżała z Holandii swoim samochodem przez kraje arabskie.

Pokłóciłyśmy się na śmierć i życie, kiedy przeszła na arabską stronę.

Kto wie, czy nie przewoziła czegoś ze sobą jako stara komunistka? I ja mam takie chwile, kiedy zastanawiam się, że może Palestyńczycy płacą jakąś cenę za Szoa.

W każdym razie Rose odgrywała przez jakiś czas ważną rolę w moim życiu. Była dla mnie ratunkiem przed izraelskimi kobietami, bo była Europejką, czytana, czytałyśmy wspólnie książki po angielsku. Otworzyła mnie na europejskość, dała mi więcej niż na przykład Żydówki amerykańskie, które nic nie wiedziały o tym, co miało miejsce „tam”.

Wzbogacała wtenczas moje życie, tak jak teraz pani.

Powtarza pani często, że Niemcy wcześniej zaczęli tę lekcję odrabiać, w przeciwieństwie do Polaków.

Proszę posłuchać, oni choćby nie wiem ile pokoleń się starali i co robili, nie są w stanie wyrównać tych strat i zadośćuczynić za zamordowanie tyłu milionów ludzi. Myśli pani, że ci Niemcy mogą tak naprawdę to odrobić? Pociągi pełne obrazów, świeczników, srebra i złota – co tylko się pomyśli! Tylko z trzech obozów, Treblinki, Bełżca i Sobiboru, wyceniono wartość zrabowanych Żydom rzeczy na 178 milionów marek! A życie? Mimo że najcenniejszej jest najmniej warte?

Ale oni w latach pięćdziesiątych wysyłali tu dzieci do kibuców do pracy, do domów starców, gdzie opiekowali się starszymi osmalonymi z numerami na rękach, i to za darmo, nikt im przecież za to nie płacił. A potem zaczęli wypłacać wiele pieniędzy, które poszły na sprzęt obronny i odszkodowania dla osmalonych.

Wszystko zależy od czasu... Z biegiem lat, dzięki temu odrabianiu lekcji – wypłatom odszkodowań Izraelowi, *Wiedergutmachung*, Niemcy stali się Europejczykami, ludźmi z zagranicy. Polacy cały czas biadolą, licytują się, komu było gorzej.

Nawet nie próbują! Tak jak nie zależało im wtedy, że za murem mordowano Żydów, kiedy oni mogli sobie kupić chleb albo siedzieć w kawiarni i opowiadać kawały o Żydach, tak i teraz im nie zależy. Po wojnie mieli Gomułkę i żelazną kurtynę, i jakoś przeskoczyli ten okres. Jest duch czasu za tym wszystkim. Chociaż przeszkadza mi na przykład fakt, że dla wielu Izraelczyków Polska stała się miejscem zakupów czy Berlin miejscem zamieszkania; to się dla mnie dzieje zdecydowanie za szybko.

Ale czy i Niemcy nie mają więcej do zapłacenia niż Polacy?

Tak, na pewno ich lekcja do odrobienia jest niewspółmiernie większa, ale Polacy się w ogóle nawet nie przyznają, że cokolwiek wzięli. Wszyscy pomagali i ratowali Żydów! Gotowi są zrobić wszystko, żeby czasem nie musieli czegoś oddać.

Czy nie sądzi pani, że właśnie moje pokolenie odrabia tę lekcję za swoich rodziców i dziadków?

Może. Nie orientuję się w tym tak dobrze. Może, jak się dowiadują, chcą poznać, może mają jakieś poczucie winy. Może pani odpowie: jest w tym poczucie winy?

Może często tak, może tak trzeba nazwać to uczucie... Ja dopiero w wieku dwudziestu ośmiu lat odkryłam, że przed wojną w miasteczku, w którym dorastałam, w Szczekocinach, *nota bene* położonych sześćdziesiąt kilometrów od Częstochowy, połowę mieszkańców stanowili Żydzi. I mimo że ciągle mówiło się na magazyn zboża „bożnica”, większość młodszego pokolenia nie zdawała sobie tak naprawdę sprawy z tego, co za tym stało. Nastąpiło zbiorowe wyparcie. Nie uczono nas tej części lokalnej historii.

Myślę, że dopóki nie opłaczemy naszych sąsiadów, nie tylko w naszych miejscowościach, lecz ogólnie, jako naród, jako państwo, dopóty ten temat będzie wracał, w coraz mniej przyjemnych konfiguracjach. A skoro nie zrobiło tego pierwsze ani drugie pokolenie, to obowiązek przeszedł na pokolenie trzecie. Obowiązek czy właśnie nieprzepracowane poczucie winy za obojętność, może za zazdrość, satysfakcję. I za brak szacunku do ich śmierci.

Bo dwa pokolenia nie wiedziały o tym w ogóle. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego, jak się mieszka na ziemi, na której stoi Auschwitz... Kazimierz Wyka kiedyś wyraził to najdosadniej: „Dopóki Polacy, Niemcy i Żydzi będą żyli pod wspólnym niebem, dopóty ten temat będzie istniał”⁹⁷.

Czy fakt, że bada się teraz dokładniej dzieje wojenne i odkłamuje historię, że ukazuje się coraz więcej książek opisujących niejednoznaczną, skomplikowaną rolę Polaków w czasie drugiej wojny światowej, że organizuje się różne festiwale kultury żydowskiej, zaliczy pani do odrabiania lekcji przez Polaków?

No ale kto te książki pisze? Barbara Engelking, Anna Bikont czy Jan Grabowski? Przecież to są Żydzi! Tylko Żydzi się tym zajmują – i wariaci!

Już w dzieciństwie fascynowały panią litery. To wtedy też postanowiła pani zostać pisarką?

Byłam tego świadoma już w wieku kilku lat. Tak jak ludzie mają dobry słuch do muzyki, ja mam dobry słuch do słów. Są dzieci, które są muzykalne od wczesnych lat, ja miałam wrażliwość na słowa. I nie miałam nigdy problemu z uczeniem się jednocześnie tego, co babcia mówiła w kuchni po żydowsku, i tych wierszy po polsku. Choć, proszę mi uwierzyć, wszystkie dziewczynki żydowskie w zasymilowanych domach stawały wtenczas na krzeselku z kokardą we włosach i deklamowały wierszyki. Tak się rodzice chwalili przed swoimi znajomymi: „zobaczcie, jakie polskie są te nasze żydowskie dzieci!”.

Wcześnie nauczyłam się czytać i myślałam, że zostanę pisarką. Interesowali mnie ludzie, ciekawiły mnie ich rozmowy, zapamiętywałam zdania, które dorośli mówili w mojej obecności. Wymyślałam sobie różne historyjki, krótkie wierszyki, wszystkie były smutne. Zapisywałam je i czytałam tylko mojemu tacie. Chodziłam do kina na wszystkie filmy z Shirley Temple, jak wszyscy zresztą, i może przez to moje opowiadania kończyły się tak jak na filmie: słup światła i para idzie w siną dal. Myślę, że to też z obserwacji związku moich rodziców, który był niezwykle zmysłowy.

Pamięta pani jakiś tytuł tych opowiadań z dzieciństwa? Jakiś fragment, historię?

Jedno było o jakimś starym, smutnym zegarmistrzu. Bardzo smutne opowiadanie, on został sam, ale szczegółów nie pamiętam. Byłam zafascynowana zegarkami, czasem, nigdy czas nie był dla mnie zwykły czy zrozumiały sam przez się. Mieliliśmy w domu ogromny, stojący zegar i lubiłam jego dźwięki.

Byłam zafascynowana nie tylko pisarstwem, ale samym pisaniem, piórami i zeszytami. Tatuś zawsze mówił: „Jeśli wychodzisz z mamą albo z Wikcią na miasto, a mnie nie ma w domu, bo jestem w sklepie, możesz zawsze zabrać z mojego portfela, który leży w szufladzie przy łóżku, jakąś kwotę i sobie coś kupić”. Słodcy rodzice przynosili do domu. Ja kupowałam kredki, zeszyty, pióra wieczne.

Kiedy wróciła pani do pisania?

Kiedy nielegalnie przekradaliśmy się przez granicę austriacko-włoską, w środku nocy, w ciemności i w śniegu napisałam opowiadanie o moich, o naszych przeżyciach. Miałam wtedy czternaście lat i przecież nie chodziłam tak naprawdę nigdy do szkoły, ale kiedy po kilku dniach, już w „hotelu nędzy bez pieniędzy”⁹⁸ we Włoszech, przeczytałam im, co napisałam, wszyscy płakali.

Ma pani nadal to opowiadanie?

Nie ma go⁹⁹. Po zejściu z okrętu na Cyprze – właściwie prawie znieśli nas stamtąd brytyjscy żołnierze na siedem miesięcy – Żydzi z Palestyny kazali nam, żebyśmy z wymyślonych względów bezpieczeństwa podarli wszystkie nasze zapiski. Powiedzieli nam, że Anglicy mogą to przeczytać i wykorzystać przeciwko nam, bo te okręty są przecież nielegalne. Na podstawie takich zapisków mogli przecież ustalić fakty, skąd przyjeżdżają Żydzi, na jakich statkach... to była poważna sytuacja!

Miałam też ze sobą zdjęcia mamy, które po wojnie podarowała mi jej koleżanka z gimnazjum z Częstochowy, miałam dziennik, w którym pisałam całą drogę – nie o wszystkim można było przecież rozmawiać z innymi. Zdjęcia zostawiłam, dziennik podałam.

Co zdążyło się wydarzyć w pani życiu, zanim zaczęła pani pisać?

Najpierw był kibuc, przez trzy lata, tam robiłam wszystko, co trzeba było, jak to w kibucu. Większość czasu jednak pracowałam na kutrze rybackim. W kibucu najważniejsze było, jak pracujesz, czy jesteś odpowiedzialnym, pracowitym człowiekiem, o której wychodzisz do domu, jak traktujesz obowiązki.

Potem był kurs jubilerski w Jafie, na który zapisałam się z koleżanką. Uczyłam się lutować, robić biżuterię, wszystko; do dziś mam cały zestaw i sama sobie naprawiam drobne uszkodzenia w biżuterii. Sprzedawałam to głównie u siebie w domu, klientki przychodziły do mnie.

Potem były ikonki – nigdy później nie nauczyłam się tyle o malarstwie. Odbijałyśmy obrazki na drewnie, opalałyśmy na bokach, pokrywałyśmy lakierem, aż ktoś podłapał od nas pomysł i się skończyło. To był prawdziwy hit, bardziej się udało niż jubilerstwo. Potem były tzw. *galabijot*¹⁰⁰,

kupowałyśmy materiały od jednego z Arabów w małej wiosce, czekał na nas zawsze w swoim białym turbanie, wysoki, piękny! Przecież on sobie nie mógł wyobrazić takich pieniędzy, które my mu płaciłyśmy za te materiały. Zakładałyśmy na nie specjalne gumki, farbowałyśmy, suszyłyśmy i farbowałyśmy od nowa. Chusty i suknie. Potem zawoziłyśmy je do najlepszego sklepu na ulicy Dizingoff w Tel Awiwie – właściciel kupił od nas wszystko, kiedy w magazynie ze Stanów Zjednoczonych przysłanym mi przez koleżankę pokazałyśmy mu, że to teraz ostatni krzyk mody. I to trwało bardzo krótko, ale cały Tel Awiw chodził w tych *galabijot*, piosenkarki wiązały sobie te chusty na głowie, pięknie wyglądały!

Potem pracowałam jakiś czas na lotnisku, znałam dobrze polski i hebrajski, angielski i niemiecki, byłam stewardesą naziemną.

I przyszedł rok 1980. Zapisałam się wtedy na czteroletni kurs translatorski. Na świat przysła Noa, moja pierwsza wnuczka.

Moje pisanie o Szoa czekało na swoją właściwą chwilę, kiedy dzieci nie będą mnie już potrzebować i kiedy zbiorę konieczne doświadczenie, by to opisać. Na początku brakowało mi odwagi, więc zajmowałam się tłumaczeniami.

Dostałam na początek kilka książek do przetłumaczenia. Pierwsi byli autorzy albumu o drewnianych synagogach w Polsce, prosili mnie o przekład na hebrajski z polskiego. To było słownictwo dla architekta, nie moja działka. Potem Mariańscy i ich *Wśród przyjaciół i wrogów. Poza gettem w okupowanym Krakowie*, przeżycia wojenne, też z polskiego na hebrajski. Proszę pokazać mi jedną osobę, która to przeczytała po hebrajsku, to zrobię jej zdjęcie! Marysia Mariańska to jedna z autorek antologii poezji o Żydach pod okupacją niemiecką: *Pieśń ujdzie cało...*

Następnie Mieczysława Frenkla *To jest morderstwo*. Swojego czasu przekładałam też z polskiego na hebrajski twórczość mojej ukochanej przyjaciółki Lucy Rozencwajg, która pokazała mi swoje wiersze po polsku i wtedy zrozumiałam, że można już pisać, w jakim się chce języku, nie tylko po hebrajsku. Wydałyśmy później ten przekład z wielkim sukcesem.

Aż któregoś dnia przyszła do mnie moja wnuczka i powiedziała, że w szkole mają przygotować się do sprawdzianu o Szoa, „a ty tam byłaś”. Siedziałyśmy i odpowiadałyśmy na pytania, które przyniosła, a ja cały

czas słyszałam w głowie to „ty tam byłaś”. Coś się wtedy we mnie działo. Przede wszystkim zauważyłam, że życie ucieka. To był dla mnie bodziec, napisałam wtedy wiersze, które ukazały się w tomiku pod tytułem *Egzamin z Zagłady*. Zaprosiłam moich przyjaciół sabrów na wieczór autorski – przyszli i płakali. A potem powiedzieli: „W ogóle się nie spodziewaliśmy, że ty tak tym żyjesz, tak to pamiętasz, przecież zawsze się śmiejesz i opowiadasz żarty!”.

Potem nadarzyła się okazja, by wydrukować te wiersze w gazecie „Nowiny-Kurier” i w „Konturach”. Ale ja widzę to tak, że początek mojego pisania to był czysty przypadek. Gdybym nie trafiła na to grono prze-siadujące w kawiarni u Persa... Z drugiej strony to był czas, kiedy już się przymierzałam, chodziłam do szkoły tłumaczeń i sprawdzałam sobie, co robię lepiej, co mi przychodzi łatwiej i co mi wychodzi lepiej: tłumaczenia na hebrajski z polskiego czy odwrotnie.

Ale zawsze lubiłam słuchać tego, co ludzie mówili. Jako dziecko podsłuchiwałam i obserwowałam czujnie rodziców. Nie zapominam tego, co widzę i słyszę. Jak Ryszard mi opowiadał, że jego ojciec, wychodząc rano po bułki do sklepu w telawiwskim upale, zakładał garnitur i krawat. Albo Marysia, która opowiada, że jej ojciec codziennie do kolacji zasiadał w garniturze. Jak można w to uwierzyć? I ja cały czas o tym pamiętam.

Mam też ciągle w głowie soczyste wspomnienie Jurka Beatusa, który chętnie opowiadał, jak to w młodości w Wadowicach chodził na dziewczynki z samym Karolem Wojtyłą, którego przyjacielem pozostał nawet po tym, jak Karol został papieżem. Mam w głowie opowiadania.

Czy praca tłumaczki pomogła pani w jakiś sposób w pisaniu?

W pewnym sensie była to próba, raczkowanie. Tłumacząc, używa się swojej mocy przekładania z jednego języka na inny. Dało mi to poczucie odwagi koniecznej do pisania.

Czy przypomni pani, czym były „Kontury”?

To było nasze pismo literackie wydawane przez Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu, w którym w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych publikowali izraelscy pisarze polskiego pochodzenia. To była duża radość, jak wychodził taki periodyk. Dzwoniliśmy jedno do drugiego, żeby powiedzieć, że się czytało czyjś wiersz lub opowiadanie.

Wszyscy czekali, żeby usłyszeć opinie. Razem z czytelnikami śmiercią naturalną wymarły także „Kontury”.

Czy pomimo późnego debiutu zdążyła pani nacieszyć się rolą pisarki i tym, co ona ze sobą niesie: spotkaniami z czytelnikami, recenzjami, nowymi znajomościami?

Nie mogłam pisać wcześniej, to było niemożliwe! Wcześniej były dzieci, był dom, nie mogłam sobie na to pozwolić. Zaczęłam pisać w odpowiednim i właściwym dla mnie czasie. Kiedy zaczęłam czuć się silna jako saberka Irit, mogłam sobie pozwolić na sięgnięcie po dawną siebie. Ten powrót nastąpił późno, kiedy mogłam się już wystawić po hebrajsku i przeczytać każdą książkę, a językiem rodzinnym był hebrajski. Moim najbliższym zawsze jedynie mówiłam: po polsku to się mówi tak i tak.

Pisała pani najpierw po polsku?

Wewnętrznie to było we mnie po polsku i po prostu wylało się na papier, ale mimo to najpierw napisałam to po hebrajsku, bo chciałam sobie udowodnić, że potrafię to zrobić w tym języku, i po to, żeby odważyć się wrócić do polskiego. A kiedy już było napisane, poczułam, że dopóki nie ma tego po polsku, nie ma tego wcale. Jest niekompletne. Nie istnieje, nie jest zamknięte. Musi być w obu językach. Najlepszy *feedback* mają moje książki w Polsce. W Polsce żyje około czterdziestu milionów ludzi, a u nas prawie pięć razy mniej. Kiedy powstawało państwo, kiedy tu przyjechałam, mieszkało tu jakieś sześćset tysięcy Żydów, a my zamknęliśmy pierwszy milion.

Pierwszy tomik poezji po hebrajsku i po polsku ukazał się mimo to w tym samym roku, w 1994. Potem jest zbiór opowiadań, mała proza, *Osmaleni*, po polsku w 1999 roku i po hebrajsku w 2002 roku. Po tych wierszach już sobie pozwalałam! One zostały nieźle przyjęte. Przyjechał tu właściciel wydawnictwa Oficyna Bibliofilów z Łodzi i chciał wydać je w Polsce. To są dwa pierwsze tomiki poezji: *Egzamin z Zagłady* i *Nie zdążyłam*. Zebrały dobre recenzje w Polsce.

Gdzie pani pisze?

Zależy kiedy, zależy w jakim wieku. Na początku w małym pokoiku z oknem na ulicę, ręcznie, a potem przepisywałam na komputerze. Kiedy zaczęłam sobie dobrze radzić z komputerem, pisałam od razu na



Zdjęcie 17. Pracownia Irit, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

nim. Kiedy Chuzy zachorował, pisywałam w kawiarni. Wychodziłam z domu, zazwyczaj w piątki, siadywałam w ogródku kawiarni Centrum Handlowego w Giwataim z obowiązkową flaszką wody, nawet nie zawsze kupowałam kawę, a wszyscy zachwycali się kolorem moich srebrnych włosów. A teraz piszę gdziekolwiek, czyli gdzie jest miejsce na moich trzech biurkach i gdzie mnie to złapie! Już niestety nie na komputerze, ale na kartkach porzucanych po moich pracowniach. I głównie po polsku.

Czy pisanie w pani drugim języku, który wchłonęła pani u progu dorosłości, pomogło w zmierzeniu się z przeżyciami z Zagłady, która działa się w pani jednak głównie w języku polskim?

Po hebrajsku to było trochę dalej, trzeba było to jakby przenosić, bo to nie działa się ani tu, ani w tym języku. Wtedy właśnie wrócił do mnie Czernichowski, któremu Chuzy, będąc w przedszkolu, wręczał kwiaty z okazji urodzin: „Człowiek nie jest niczym innym, tylko odbiciem swego rodzimego krajobrazu, swojego miejsca urodzenia”¹⁰¹.

Po hebrajsku bardzo się staram, żeby nie przekroczyć tej granicy litowania się nad sobą. Chcę, żeby to było dowcipne, wręcz ironiczne, żeby sabrzy się nad nami znów nie litowali, nie biadolili. Poza tym, kiedy piszę po polsku, wiem, że to będzie czytane. Po hebrajsku niekoniecznie.

Czy pisała pani i opowiadała o wszystkim?

Nie, oczywiście, że nie! Jakbym chciała opisać wszystko, co przeszłam w całym życiu... Są też sprawy, które wymazałam z pamięci, widocznie w wyniku traumy, a które, co ciekawe, wracają. Na przykład ostatnio znalazłam zapiski cioci Guty, jak mnie ratowała i jak pisała, żeby mnie zabrać z wiochy: „Za wielkie pieniądze udało mi się znaleźć dla niej miejsce i dziecko stało czternaście godzin między dwoma deskami”. Stałam jak kanapka... To jest chyba ten wiersz, w którym napisałam, że się ukrywałam ze starymi ludźmi. To było, kiedy Degenhardt zorganizował akcję na wszystkie dzieci i starców...

Była łapanka na starych na dzieci i psy
Miała jedenaście lat czyraki warkocze i wszy
Nie miała rodziców. Była jedynym dzieckiem
wśród zamaryłych ze strachu na strychu starców

panicznie bała się umierania. Oddychała cicho i płytko
Było strasznie zimno ale jej twarz płonęła
Aby pokonać strach powtarzała
w duchu zapamiętane wiersze:
„Rówienniki litewskie wielkich kniaziów
drzewa Białowieży Świtezi Ponar...”
Nie mogła przecież wiedzieć że w tej samej chwili
na Ponarach w cieniu tych samych drzew:
„Których cień padał niegdyś na koronne głowy...”
ginie inna jedenastoletnia dziewczynka która także
zna na pamięć piękne strofy

PS

A gdy się dowiedziała, nie była w stanie
więcej czytać tej książki, choć Wojski,
Telimena, Wielki Adam i sam Pan Tadeusz
byli bogu ducha winni.
Lecz ona do końca życia śpiewała
Tylko o tych Ponarach skąd nie ma już dróg...¹⁰²

Rozumie pani? To musiało być tak traumatyczne, że ja to wymazałam
z pamięci i nie chciałam pamiętać!

Jak przeczytałam ten list Guty, to mi się przypomniało.

Opowie pani o tym?

Ale po co? Żeby się nade mną litowali?

...

Małe getto było pół kroku od śmierci przecież, a moi rodzice już dawno
byli dymem... Nie wiem, czy pani to rozumie: ja wróciłam do getta, żeby
tam umierać. Sama.

Wrócić do małego getta to było jak samobójstwo!

W końcu pułkownik z Lipska, Degenhardt, postanowił ostatecznie oczy-
ścić getto z tych nielicznych dzieci i starców. Tylko dzieci policjantów
i członków Judenratu mogły zostać przy życiu. Oczywiście tymczasowo,
na końcu spotkał je ten sam los. Jak mnie zobaczył ten Degenhardt

w śniegu, jak szłam do tych z Judenratu... oni mieli dwoje dzieci, no to ze mną troje!

Ci starzy ludzie bardzo się bali... Płakali, nie ukrywali swego strachu, mimo że miało być cicho... Bardzo możliwe, że dlatego nie chcę iść do domu starców... A ja zostałam wepchnięta między dwie deski bez jedzenia i picia na czternaście godzin... Miałam dwanaście lat.

Ci starcy oczywiście przy następnej akcji pojechali do Treblinki...

To proszę powiedzieć: ja nie żyję cudem? I to do takiego wieku! Chyży tego nie wiedział, psycholożka też nie... To ukrywanie się na cmentarzu, z tymi psami, mogę teraz narysować, ale to ze starcami nie... nawet nie pamiętam, czy to była piwnica, czy strych...

„To z tymi psami” – co ma pani na myśli?

Do dziś, jak widzę duże psy czy jak nasze wojsko je szkoli... od razu mi się przypomina, jak mnie obwąchiwały, kiedy leżałam na ziemi między grobami, byłam tak sparaliżowana strachem, że nie mogłam wstać. Byłam przerażona tymi psami i Niemcami. Może dlatego nie mam takiego ciepłego stosunku do psów? Można je naciągnąć, na co się chce.

Dwa razy to wymazałam z pamięci, opowiedziałam to Marysi i znów usunęłam. Wujek Marian przypomniał mi to, jak tu był u mnie. W porównaniu z Auschwitz czy Treblinką to przecież nic, to był pikuś!

Letnia ciemna noc
Szczekanie psów rozrywa ciszę.
Drobne ciało
wtula się
bezgłośnie
w brzuch ziemi.
[...]

Nie, nie, to nie byłam ja.
To była jakaś inna dziewczynka
i ona została na zawsze tam¹⁰³.

Nie zgadzam się. To jest to samo – paraliżujący strach przed śmiercią, nieważne, w jaki sposób ona ma nastąpić. Gdyby te psy ściągnęły Niemców, zastrzeliliby panią.

No, ale to mija.... chwila i był spokój.

W Auschwitz też mogło minąć, gdyby Mengele skinął w stronę życia.

...no, dobrze.

Myślę, że mam silną psychikę.

Która musiała zrodzić się podczas trudnych przeżyć wojennych czy raczej pochodzi z pani dzieciństwa?

Nie wiem, nie jestem psychologiem. Jedno jest pewne: jest we mnie coś mocnego i byle co mnie nie położy, nie kolano po wypadku na przykład. Chuzy się poddawał swoim chorobom, mówił: „nie wiem, z czego ty jesteś zrobiona, ale ja już nie mogę”. A ja ze wszystkim walczę. Zmuszam się do jedzenia, chodzę do parku...

Co było najpierw: wiersze czy opowiadania?

Wiersze. Wiersze jest łatwiej pisać. Każdy wiersz może być opowiadaniem, może zawierać w sobie wszystko. W wierszu łatwiej się schować, ukryć, i w wierszu w kilku słowach można opowiedzieć całą książkę. Wiersz jest skondensowany, tajemniczy i nie odkrywa całego sekretu. Bardzo to nieskromnie brzmi, ale nie było mi trudno pisać, choć napisałam niewiele, to było we mnie, bo to było przeżyte i cały czas we mnie siedziało, i czekało przy wylocie, czekało tylko na odpowiednią chwilę, na wylot właśnie.

Zawsze wiedziałam, że pierwsze musi być o tym, jak tatuś mnie podaje życiu, wyciągając ze szpon śmierci. To opowiadanie¹⁰⁴ to mój poród i moja symboliczna historia, na niej zbudowane jest moje życie. Kto je czyta, wie, że stamtąd jestem. To jest najważniejsze, ale opisanie tego było też najtrudniejsze.

Ten dramatyczny moment opisała pani między innymi wierszem *Próba*, napisanym według jednego z biblijnych rozdziałów i w stylu biblijnej przypowieści:

1. I kusił Bóg Leona i rzekł do niego: Leonie! Leonie!
A on odpowiedział: Owom ja.
2. Rzekł mu: Weźmij córę swoją jednorodzoną, którą miłujesz, Irenkę, a idź na granicę i tam ją ofiarujesz na całopalenie, na jednej ulicy, którą ukażę tobie.
3. Leon tedy wstawszy w nocy wziął ze sobą Irenkę córę swą i szedł gdzie mu Bóg rozkazał.
4. A dnia trzeciego podniósłszy oczy ujrzął miejsce z daleka na ulicy Przemysłowej na granicy getta. A gdy oboje szli pospołu, rzekła Irenka ojcu swemu: A gdzież ofiara całopalenia? A Leon rzekł:
Widać ciebie upatrzył sobie Bóg na ofiarę córko moja, więc my poczołgajmy się jeszcze trochę, żebyś ze ściany wyskoczyła w życie.
5. A Anioł Pański z nieba zawołał, mówiąc: Leonie, Leonie! Który odpowiedział: Owom ja. I rzekł mu: Za to że nie boisz się Boga i sfolgowałeś córce twojej jednorodzonej pójdiesz ty na całopalenie do Treblinki.

[Według rozdziału xxii Biblii w przekładzie Jakuba Wujka, wydanie z 1923 roku]¹⁰⁵

W tym stylu napisała pani kilka wierszy, między innymi najlepszy, moim zdaniem, *Współczesny mit*. Co zainspirowało panią do pisania w ten sposób?

Biblia do mnie przemówiła! Sprawdziłam, że u Wujka też to dobrze brzmi po polsku, nie tylko po hebrajsku. Mimo że na początku nie wszystko zrozumiałam ze starożytnego języka hebrajskiego. Biblia hebrajska jest przepiękna i prastara, i można wszystko to, co się dzieje, opisać zwięźle w hebrajskim, a potem to brzmi dobrze w każdym języku. Podchodzę do Biblii jak do literatury pięknej, arcydzieła literackiego, pięknie napisanej. Zachwyca mnie język. Kohelet na przykład jest nadzwyczajny! A wszystko, co się działo w Purim?

A dlaczego uważa pani, że akurat *Współczesny mit* jest najlepszy?

I ujrzął Enosz Ewę u bram Sodomy gdzie królował konsekwentny szyl:

ARBEIT MACHT FREI

I miał Enosz czterdzieści jeden lat i identyczną wagę

a trzydziestoletnia Ewa ważyła trzydzieści dwa kilo i siedziała na

przydrożnym kamieniu oczekując swych dwojga małych dzieci
rozwianych dawno na cztery wiatry w szarej smudze chmur
I wyciągnął Enosz do Ewy dłoń i rzekł – wstań niewiasto i pójdź
Nikt znikąd nie wróci Kain zabił już Abła I nie patrz wstecz
bo zmienisz się w słup soli
I poszli przez zgliszcza dymy i popioły do Erec Kanaan
I splotzili innych synów i inne córki nadając im nowe imiona
aby zmylić swego Pana
A Pan rzekł – dałem wam wprawdzie ujść cało z Sodomy
ale taryfy ulgowej dla nikogo nie będzie¹⁰⁶

Udało się w pani w kilku linijkach zawrzeć to, czym było Szoa, a styl, o którym rozmawiamy, i nawiązania do biblijnych przypowieści potęgują wrażenie. Przyniosłam go na zajęcia na Ulpanie, kiedy poproszono nas o przyniesienie ważnego tekstu w języku hebrajskim. Przeczytałam przed klasą i Karmela, nauczycielka, rozplakała się. Zaczęła wspominać, jak jej matka, która pochodziła z Łodzi, spotykała się z koleżankami. Paliły papierosy i rozmawiały po polsku, płacząc, a ona poza „tak, tak” nie rozumiała nic. Który wiersz jest dla pani najważniejszy?

Każdy wiersz, który piszę, jest w tej chwili dla mnie najważniejszy. Był czas, że ważny dla mnie był ten o moim synu, zwłaszcza, jak brzmi po hebrajsku.

לבני בכורי קראתי אומנם אוני
אך הוא היה לחולשתי
בכורי ככל תינוק
נולד בשלולית קטנה של דם
אך בשבילי
זה היה ים הסוף

Mego pierwotnego nazwałam Oni – moja moc
Ale stał się on moją piętą Achillesową

Mój syn przyszedł na świat, jak każdy noworodek
W małej kałuży krwi

Lecz dla mnie była ona wielkim Czerwonym Morzem
W którym utonęli wszyscy inni, co nie dali rady¹⁰⁷.

W ilu językach istnieją pani książki?

Moja poezja istnieje po polsku i hebrajsku, a w 2016 roku ukazała się antologia w przekładzie Marka Kaźmierskiego¹⁰⁸, którego poznałam przez Facebooka dzięki Wioli Grzegorzewskiej, częstochowskiej poetce. W tej chwili szykuje się przekład portugalski w Brazylii. Proza to dwa szczupłe tomiki opowiadań, przede wszystkim *Osmaleni*. Po tym, jak ukazały się po polsku i po hebrajsku, na angielski przełożyła je błogosławionej pamięci Riva Rubin, tłumaczka izraelskiego pisarza Yorama Kaniuka, którą poznałam osobiście. Wspaniała, najlepsza tłumaczka, jaką znam. Dzięki angielskiemu te opowiadania wychodzą na świat z dwóch hermetycznych języków, jakimi są i hebrajski, i polski. Poza tym istnieją też po węgiersku, włosku, niemiecku, japońsku i przed wybuchem „korony” zdążyły ukazać się także po chińsku. Moja autobiografia, czasem nazywana moim pamiętnikiem, czyli *Życie – tytuł tymczasowy*, ukazała się również w języku angielskim i istnieje też po hebrajsku, wydrukowana własnym sumptem dla rodziny.

Do wydania w języku hebrajskim dołożyła pani kilka przepisów kulinarnych. Dlaczego?

Mój syn, kiedy zaczął prowadzić rodzinną firmę, zastępując mojego męża, uczył się, jak to robić, na przykładzie pewnej firmy izraelskiej, która również wydała książkę rodzinną, a w niej znalazły się przepisy. Wszyscy się zapalili, że to jest dobry pomysł, więc i u mnie znalazły się przepisy w ostatnim rozdziale: *Przepisy babci*. Jest chrust, bo przecież nikt tego nie umie tu zrobić, tylko Polki; kiedyś robiłyśmy razem z Ditą na Chanukę. Jest bulbenik od mojej synowej z kibucu i jest *quirrat*, potrawa arabska, którą gotował ojciec Chuzy'ego i mnie nauczył.

Jak czuje się pani z myślą, że pani książki czytane są w tylu językach?

Moje książki są rodzajem świadczenia. Świadek już jedną nogą jest na tamtym świecie, a temat jest przenoszony nadal, pomimo czasu, który mija. Dzięki tym przekładom moi bohaterowie otrzymują szansę dotarcia na tych kartkach do przyszłych pokoleń i odległych krajów, z hermetycznego języka polskiego.

A jak się pani czyta *Osmalonych* w innych językach? Zna pani niemiecki i angielski, czyta też literaturę w języku francuskim.



Zdjęcie 18. Irit Amiel z przyjaciółmi podczas wieczoru literackiego Mikołaja Grynberga w Jerozolimie, wrzesień 2019 roku. Od lewej: Karolina Koprowska, Miriam Borenstein (tłumaczka), Irit Amiel, Mikołaj Grynberg, Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein, Yossi Bornstein. Fot. Sapir Bornstein

Najlepiej mi się czyta oczywiście po japońsku i po chińsku.

Nie czytam po niemiecku. Język nie jest nic winien i jest piękny, ale nie czytam.

Nie muszę robić specjalnej gimnastyki językowej, po prostu płynę z tym. Najbliższy jest mi polski, bo to się stało po polsku, po hebrajsku jest to dla mnie już trochę dalej.

Jakie znaczenie ma dla pani fakt, że pani książki ukazały się również w Japonii i w Chinach?

No jak się można tym nie cieszyć? Cieszę się, że przynajmniej będą mieli wiedzę o tym, co było, co działo się z Żydami w czasie wojny, od kogoś, kto był tam i przeżył, i świadczy. Zwłaszcza jeśli chodzi o Japonię i Chiny, bo na Węgrzech i we Włoszech to było.

Jak sprzedają się pani książki za granicą?

Szczerze? Nie wiem. Dostaję raz na rok podsumowanie roczne od niemieckiego wydawcy, Surhkamp Verlag. W zeszłym roku nie sprzedano ani jednej książki, a w tym roku jedną. To pewnie mój wnuk, który teraz tam pojechał z żoną, kupił ją! Jak Niemcy nie czytają, ja też nie czytam.

Najlepiej sprzedają się w Polsce. Myślę, że to dlatego, że Polacy zaczęli odrabiać tę lekcję.

Który przekład był dla pani najważniejszy?

To, co robię w danej chwili, staje się dla mnie najważniejsze.

Dopiero w Nowym Kraju nauczyła się pani hebrajskiego i po raz pierwszy mogła przeczytać Tanach w oryginale. Pamięta pani ten moment?

Czytałam, zachwycałam się i nagle mówię do Chuzy'ego: „Nie rozumiem, dlaczego napisane są cztery litery imienia Bożego, a mnie nie wolno ich przeczytać!”. Pamiętam przede wszystkim to swoje zdumienie! No to proszę powiedzieć, co to za Żydówka ze mnie? Jak się skończyła wojna, powiedziałam wujkowi: „ty się nie wstydzisz, że nie znam jidysz? Że nie umiem czytać Tanachu?”.

I właśnie dlatego, że nas zabijali, zrobiłam się bardzo żydowska. Ale bez wiary w Boga. Muszę przyznać, że na początku nie znałam hebrajskiego

na tyle, żeby zachwycić się językiem biblijnym, to stało się o wiele później, że rozumiałam urodę i poezję tego języka. Teraz, kiedy to czytam, na przykład Koheleta, mam dreszcze. Stale od nowa mnie urzeka. I po hebrajsku jest o wiele ładniej! Cztery i pół linijki za ledwie! A po polsku to są długie zdania: „Pokolenie przemija i pokolenie nadchodzi, a ziemia na wieki stoi. Słońce wschodzi i zachodzi, i wraca się do miejsca swego, i tam znowu wschodzi, krąży na południe i skłania się ku północy. Przebiegając wszystko wokół, idzie wiatr i wraca się do kręgów swoich. Wszystkie rzeki płyną do morza, a morze nie wylewa”¹⁰⁹.

Które ze swoich opowiadań uważa pani za najlepsze?

Pożegnanie mojej martwej klasy. Jestem do niego bardzo przywiązana. Bardzo izraelskie opowiadanie, dziejące się w Ejlacie, mogę wyliczyć moich przyjaciół, mogę ich dusze przenieść samolotem do Ejlatu, tak, jak ich pamiętam. Ich już dawno nie ma, a ja ich widzę „oszołomionych całkowicie naszą globalną wioską, naszymi komórkowymi telefonami, migotem telewizji, komputerami, bankomatami i wreszcie samolotami, które pamiętają z niemieckich bombardowań trzydziestego dziewiątego roku”¹¹⁰. Wydaje mi się, że w zwięzły sposób udaje mi się tam zmieścić wiele: wspomnienia nieżyjących kolegów, terażniejszość Izraela i Ejlatu w oczach młodych niemieckich turystów, przeszłość i terażniejszość razem. I to, co ze mną do końca zostanie.

Pozwolę sobie zacytować jego fragment: „– No więc co miałam zrobić? – odpowiadam – Albo się żyje, albo się umiera... Ale było nieraz bardzo trudno... A rezolutny Szlamek już z daleka woła szyderczo: – Trudno było, co...?”¹¹¹.

Proszę pani, chyba to jest albo to było we wszystkich osmalonych, może z czasem się starło... Ja całe życie mam poczucie winy, że jestem szczęśliwa... Mimo że wierzę, że wygrałam życie, żeby żyć!

Ile razy bawię się z moimi wnukami
moi rodzice stoją nad nami milcząco.
Przyglądają się nam surowo bez cienia
uśmiechu, miłości czy radości.
Głowa ojca łysa jest jak kolano.
Suknia matki szara jak popioły.

I nieraz zadaję sobie pytanie:
czy mnie nie sądzą
za samo istnienie?¹¹²

Które opowiadanie jest pani najbliższe?

Daniel. Napiisałam je, kiedy mój kolega pojechał pierwszy raz po wojnie, wiele lat później, do Częstochowy. „I pomyślał przerażony, przeklinając samego siebie za tę myśl – więc możliwe, że gdyby nie ta wojna i to wszystko, co się stało, zostałby tu z nimi całe swoje życie i siedziałby dziś, jak kiedyś jego ojciec, na dziurawym skórzanym zydelku, z ustami pełnymi gwoździ. Bez sinego numeru na przedramieniu, bez sześciu języków w krtani, bez floty okrętów, bez podróży po całej kuli ziemskiej, bez nocnych koszmarów, które koją jedynie aksamitne ramiona i uda pachnących przygodnych kobiet”¹¹³.

Czy zdarzyło się i pani, jak tytułowemu Danielowi, pomyśleć: „Gdyby nie ta wojna i to wszystko, co się stało...”?

Nie mogę sobie wyobrazić świata bez wojny... Nie mogę sobie w ogóle wyobrazić siebie w świecie bez drugiej wojny światowej! Tak się układa, że to jest moje życie i już...

Nie mogę powiedzieć, że gdyby nie było wojny, to chodziłabym do szkoły, poszłabym na uniwersytet i byłabym lekarką, inżynierem albo architektem. Jak mogę wyobrazić sobie świat bez Szoa? Miałam osiem lat, kiedy wybuchła wojna, która potrwała sześć lat, potem trzy lata szłam prawie piechotą i miałam niespełna siedemnaście lat, kiedy dotarłam do tego Izraela, który dopiero co wybuchnął jako państwo. I dopiero wtedy trzeba było zacząć uczyć się życia w normalnym świecie. Ośmioletnie dziecko idzie do szkoły, ma przyjaciół. Potem ma wspomnienia kolegów i koleżanek, i może sobie załatwiać różne sprawy. Ja mam wojnę...

Myślę, że i tak bym wyjechała. Jak siebie znam, znalazłabym jakiś sztyk¹¹⁴, żeby wyjechać. Nie było dnia w moim przeraźliwie, nieprzyzwoicie długim życiu, żebym żałowała, że wyjechałam z Polski i żyję w Izraelu.

I myślę, że i tak bym pisała – może poezję, może prozę...

A gdyby jednak mogła pani zmienić jedną rzecz ze swojego życia?

Chyba miałam szczęście w nieszczęściu, tak jak mówi pani mama! Szczęście do ludzi, wyostrzone instynkty – zostać czy uciec, nie ukrywać, że jest się stamtąd, z tej czarnej dziury, której nikt nie może pojąć dziś, po niemal osiemdziesięciu latach. Nie może i nie chce, bo to go przecież stawia przed dylematem: co zrobiłbym ja w tym wypadku, na jego miejscu?

Mówi pani: „Miałam szczęście”, „Tak się układa, że to jest moje życie i już”, innym zaś razem: „Moje dzieciństwo wypadło jak karma na drugą wojnę światową”. Czy mimo niemożliwości wybaczenia, o czym rozmawialiśmy wcześniej, jest to pewnego rodzaju akceptacja? Akceptacja pani losu, tego wszystkiego, co się stało?

No co mam zrobić...? Przecież lepiej pogodzić się z losem! Nie mam pretensji do mojego życia. Miałam ciężkie chwile, ale kto ich nie miał?

Znam kilka osób, które po wojnie należały do grupy jeżdżących do Europy, by pomścić śmierć Żydów i zabijać Niemców. A zresztą, ja się nie pogodziłam tak do końca, przecież uciekłam z Polski i Europy, żeby budować kraj dla Żydów, żeby mogli przyjechać tu, jak im źle w ich kraju, i tu będzie im jeszcze gorzej! A kto lubi antysemitów, niech sobie tam siedzi, gdzie go nienawidzą, bo się nie chce tu deklasować. Jeszcze nie słyszałam, żeby jakiś Rosjanin żałował, że wyjechał z Rosji! Co najwyżej, może, że nie pojechał do Ameryki. Tak przy okazji, moim zdaniem Rosjanie to najlepsza alija! Wykształceni, z zawodem...

Lepsza niż alija polska?

Mówię o alijach, które nastąpiły po nas. Na polskich Żydów mówiło się tu wtedy „koty”, bo wszyscy miauczełi o tym, co mieli w Polsce. Nagle każdy coś miał – ten miał sklep, ten miał dwa... Miał, miał, miał.

Może sobie pani wyobrazić, że jednak nie decyduje się pani wtedy na ucieczkę i zostaje w Częstochowie, czy ogólniej: w Polsce?

Co, nie byłoby Dity, Onika? Przecież świat na nich stoi! Nie. Nigdy sobie tego nie przymierzałam. Byłabym chyba najbiedniejszą istotą w Polsce. Finansowo poniżoną, bo Żyd, bo parcha... Byłabym nikim... Mogłam zostać wtedy w Polsce – miałam ten wybór. Ale wtedy już odczuwałam na własnej skórze, jak wygląda polski antysemityzm, mimo że przeżyłam

wojnę dzięki polskiej pani, która bardzo prosiła mnie potem, żeby nie mówić, broń Boże, ani słowa, że ona pomagała, bo to jej złamało życie. Nikt nigdy nie chciał być żydowskim wujkiem. Czasem zastanawiam się, z czego dokładnie rodzi się ten polski antysemityzm – czy z zazdrości, że Żydzi nie piją i zawsze uzbierają grosz na wykształcenie i na potrzeby codzienne? Że nie przepijają pieniędzy i są zaradni? Czy z wpływu Kościoła?

A gdyby nie Ildzikowska, mitologiczna, jak ją pani nazywa, dyrektorka szkoły zaraz po wojnie, która namawiała panią, żeby się przechrzcić, bo miała pani dobry wygląd?

Mogłam iść do drugiej klasy z wynikiem dobrym! Takie otrzymałam świadectwo.

W porównaniu z innymi samotnymi dziećmi, sierotami, miałam kilka dobrych opcji. Miałam kuzyna na Kubie, z odłożonymi dla mnie pieniędzmi, w Ameryce była ciotka Hela, czyli siostra mamy z rodziną, w Rosji siostra taty, w Palestynie brat taty. I przede wszystkim miałam do wyboru dwa dobre domy z możliwością adoptowania mnie w Polsce, w Częstochowie. Nie byłam dzieckiem z brakiem tożsamości, byłam już nastolatką, ale nie chciałam być częścią tych kłótni o mnie – kto ma mnie zabrać do siebie: siostra taty z mężem, moim kuzynem, czy brat mamy z żoną, której nie lubiłam. Już byłam na to za duża i za dużo rozumiałam. Kuba była za daleko, na brata taty w Palestynie w ogóle nie liczyłam; on był Częstochową – to by było, jakbym nie wyjechała! Proponował mi, żebym uczyła się być krawcową. A ciotka Hela w Ameryce... Pamiętam, jak przyjechałam do nich po wojnie, kuzynowie nie wiedzieli, co ze mną zrobić, a oboje przecież urodzili się jeszcze w Polsce, sporo lat przed wojną. Zasiedli do pianina i zagrali mi piosenkę *Syz cu mir gekumen kuzine*. Przychodzili ci emigranci do swoich rodzin i opowiadali o Niemcach, o gazie, o getcie, o pociągach, a oni nic nie rozumieli! I nadal po tylu latach nic nie rozumięją. Przepaść.

Świat cały nic nie rozumie z tego. I tak by było w każdym kraju, do którego bym pojechała. Więc pewnego dnia, kiedy już wyczekałam się na próżno, co swoje, i zrozumiałam, że moi rodzice nie wrócą, postanowiłam rzucić to wszystko, co mogło mnie czekać. Nie chodzić do szkoły, nie

III Państwowe Gimnazjum i Liceum
 im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie
 Wydział (Typ) ogólnokształcący.
 Nr. 21/Id Rok szkolny 1945/1

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Librowicz Irena
 urodzona dnia 5 maja 1931 r. w Częstochowie
 (powiat: częstochowski), religii (wyznania) mojżeszowego,
 uczennica klasy pierwszej otrzymuje za pierwsze półrocze
 roku szkolnego 1945/1 stopnie następujące:

ze sprawowania się
 z nauki religii
 " " języka polskiego
 " " języka łacińskiego
 " " języka greckiego
 " " kultury klasycznej
 " " języka angielskiego
 " " języka
 " " historii
 " " geografii
 " " przyrodoznawstwa
 " " fizyki z chemią
 " " matematyki
 " " propedeutyki filozofii
 " " higieny
 " " rysunku
 " " śpiewu i muzyki
 " " pracy ręcznej
 " " pisma
 " " ćwiczeń cielesnych

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych, a mianowicie:

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 50, z czego nie usprawiedliwiono —

Liczba spóźnień —, z czego nie usprawiedliwiono —

Promowana do klasy drugiej wynikiem dobrym

w Częstochowie, dnia 23 lipca 1945 r.

Szczepanik Ilana
 Dyrektorka klasy



Dyrektorzy Przekazania

SKALA STOPNI:				
ze sprawowania się	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Zdjęcie 19. Świadectwo Ireny Librowicz/Irit Amiel potwierdzające ukończenie przez nią Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie w 1945 roku. Dokument znajduje się w archiwum pisarki. Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

zostawać w Polsce, tylko zmienić świat. Okazało się, że moi rodzice się mylą! A jak ich nie ma, to jest wolność... Jest wybór!

Ale nie wystarczy chęć zmieniania świata, trzeba też niezgody i niezadowolonia z tego, co jest. „Ani dnia dłużej”!

Po wojnie szybko zaczęłam się interesować tym, gdzie nagle znikają ze szkoły moje starsze żydowskie koleżanki. Mówili mi: „co ty, nie wiesz?”. A ja przecież nic nie wiedziałam! Myśli pani, że miałam wtedy pojęcie o Kielcach? Miałam inne sprawy, byłam ciągle dzieckiem! Aż dowiedziałam się nagle o tym pierwszym kibucu w Warszawie, Kaplan, który organizowali starsi syjoniści, tacy jak Antek i Cywia Cukierman¹⁵. Wtedy postanowiłam: będę ptakiem! Zrobię coś ku temu, żeby się czuć wolną, może nawet szczęśliwą... Przyjechałam tutaj po to, żeby tak się właśnie czuć, w Polsce to by było niemożliwe, z każdej strony by mi powiedzieli: parchata żydowa. Tam nigdy się nie czułam wolna i szczęśliwa, i nigdy bym się tak nie mogła poczuć; tam zawsze chciałam być niezauważona, tam Żyd jest zawsze drugiej kategorii. Najśmieszniejsze jest to, że uciekłam z Polski, żeby na końcu umrzeć w Izraelu jako polska pisarka jednego tematu.

Myśli pani, że tego chcieliby pani rodzice? Żeby była pani tutaj?

Nie wiem. Może tak. Tak jak wujek, który na początku nie mógł przecież pogodzić się z tym, że uciekłam, wiele lat po wojnie w końcu przyznał: „Jedynie Irka miała rację”. I tak też tatuś, myślę, powiedziała by, że rację miał jedynie jego brat, który wyjechał jeszcze przed wojną.

Ale moi rodzice by tu tęsknili, tak jak moja ciocia, która kursowała statkiem do Polski po kapelusze.

Zastanawiała się pani kiedyś, czego oczekiwali by rodzice od pani ocalonego życia?

Oni po prostu chcieli mnie ocalić, chcieli, żebym została przy życiu. Żebym żyła. Żebym się tym życiem cieszyła. Żebym je umiała docenić. Żebym zbudowała nową rodzinę i żebym koniecznie opowiadała do końca, co się działo Żydom w Polsce w czasie Szoa.

Czuje pani, że spełniła to oczekiwanie?

W pewnej mierze. Bardzo się staram.

Co jakiś czas dostaje pani listy z informacją, że powstaje o pani kolejna praca licencjacka, magisterska czy doktorska. Teatr w Częstochowie organizuje salony z pani poezją, powstaje książka o pani twórczości...

Dwadzieścia lat po wydaniu *Osmalonych!* I to w Polsce, a ja jestem tu! Mimo mojego szczupłego dorobku literackiego w kraju mojego urodzenia ktoś chce wydać książkę o mojej twórczości! To mnie bardzo wzrusza.

Posłowie do *Osmalonych* napisał profesor Michał Głowiński, nazywając panią „pisarką jednego tematu, czy – lepiej – jednego doświadczenia: o czymkolwiek pisze, pisze o Zagładzie, która wprawdzie zakończyła się wraz z upadkiem hitlerowskich Niemiec, ale nieustannie w takiej czy innej postaci – trwa w jej świecie i świecie jej bohaterów”¹¹⁶.

Zgadzam się z nim, obowiązkowo. Co, będę pisać o miłości? Dostyc już napisano o miłości. Przecież tam, w naszych przygodach, obozach, wędrówkach, nie brakowało też miłości, strachu, zazdrości, tęsknoty, utożsamiania się z bliźnim, z rodziną, z dziećmi w moim wieku.

O to chodzi, że życie jest tak mocne, że w obozach i gettach były miłość, romanse, zdrady... Śpiewało się i płakało jednocześnie. Chciało się to życie wykorzystać, bo nie wiadomo było, co będzie za chwilę, czy za chwilę ono nadal będzie i co z nami będzie.

Polegam więc na panu profesorze, który twierdzi, że jestem pisarką jednego tematu – jestem!

„Wypowiada swoją prawdę o ludziach, którzy Zagładę przeżyli, są nią dotknięci na całe życie, bo cokolwiek czynią i gdziekolwiek się znajdują, ona w nich trwa”¹¹⁷ – nadal ze wstępu Głowińskiego.

To osmalenie jest niezmywalne, nieusuwalne. Tu jest to „odbicie ojczyztego krajobrazu”, o którym mówię – że za jego pomocą może można przenieść te historie dalej; tak sobie ubzdurałam, że na skrzydłach tego odlatującego ptaka może da się ponieść o jeszcze jedno pokolenie, o jeszcze jeden kraj te popioły. Bo to już jest nic, tylko popiół. Czy można to przekazać dalej, żeby się więcej nie zdarzyło – nie wiem. Jestem wielkim niedowiarkiem. Ale może trzeba przestrzegać i wychowywać dzieci nawet w kraju, gdzie jeszcze niedawno czarnym nie wolno było siedzieć w tych samych autobusach, co białym.

Prosto z mostu: czy goj też może być osmalony?

Nie zastanawiałam się nigdy nad tym... ale tak, pewnie, że tak. To była ta sama wojna.

Michał Głowiński twierdzi, że bycie dzieckiem ocalonym z Zagłady jest „pewnym kapitałem życiowym, który określa rozmaite postawy i wpływa na światopogląd”¹¹⁸.

Mnie też, jak Michała Głowińskiego, interesuje samo życie człowieka. Mój kapitał to przede wszystkim tworzenie dachu nad głowami osmalonych i innych żydowskich wygnańców z Iraku, Persji, Maroka, Etiopii czy Rosji. Nowymi żydowskimi dziećmi napełnić szkoły, przedszkola, place zabaw, boiska i pływalnie na własnej Świętej Ziemi. Zastawić jedzeniem stoły pełne głodnych ludzi w soboty i święta, i żeby sobie grali w piłkę nożną na tej Świętej Ziemi!

Wykorzystała pani ten kapitał?

Czuję, że nadal go wykorzystuję w granicach możliwości mojego intelektu, wieku i warunków. Całe życie wydaje mi się, że nie robię dosyć, że w życiu trzeba zdążyć więcej zrobić, ale z drugiej strony, mimo że ja sprowadziłam na świat tylko dwoje dzieci, każde z nich spłodziło troje, a część wnuków ma swoje dzieci i razem to już jest spora gromadka. Tak naprawdę to jest dwanaścioro wnucząt, bo każde przyprawdza partnera, i pięścioro prawnucząt tymczasem, a jeszcze czworo moich wnuków nie ma dzieci, więc... Zrobiłam swoją robotę, nie mówiąc o książkach, a miałam dwoje dzieci tylko!

To był obowiązek każdego ocalałego, trzy rzeczy należało zrobić po tej wojnie: sprowadzić na świat nowe gromadki i posadzić nowe dzieci przy stole pełnym jedzenia, zbudować żydowski kraj, nawet jeśli nieidealny, ale żeby nie było takiego dziecka, jakim ja byłam, co nie miało dokąd pójść, i po trzecie: opowiedzieć ostatnimi fastrygami o tym, co było.

Jako „pisarka jednego tematu”, dla mnie niewyczerpanego, nadal staram się walczyć z zaprzeczaniem Szoa, pisząc, tłumacząc z hermetycznych języków, jakimi w pewnej mierze są polski i hebrajski, świadcząc i opowiadając.

Podczas naszych rozmów wychodzi pani czasem, żeby wziąć tabletkę na uspokojenie. Minęło prawie osiemdziesiąt lat od „czarnej dziury”. Jak wpływa pisanie na pani przeżycia z czasu Zagłady?

Nie mogę zanegować faktu, że ulżyło mi po napisaniu książek. Myślę, że będzie mi lżej umierać. Ale chodzi przede wszystkim o obowiązek – mam obowiązek napisać, bo jestem niemal ostatnim z już niewielu świadków. Ale oczywiście, że jest mi łatwiej pisać o tym niż mówić – nikt na mnie nie patrzy. Pisanie to jest bardzo samotny akt i można pisać, i wymazywać, zmieniać... A jak się mówi, to się powiedziało i koniec! Przepięczone.

Czy forma, którą wybrała pani na opisanie swych przeżyć, krótka i skondensowana, miała pomóc w przeniesieniu ich na papier?

Lekka forma przyszła do mnie po przeczytaniu tych trudnych i łamiących serce powieści pisanych na świeżo po Zagładzie. Dlatego też myślę, że najlepsza moja książka to *Podwójny krajobraz* – odpowiednio skondensowana, a zbudowana na prawdziwych wydarzeniach. Odkąd mówię biegle w skondensowanym języku hebrajskim, razi mnie niepotrzebne rozciąganie. Jestem gadułą, ale czytając czy pisząc, nie lubię, jak jest dużo zbytecznych, podwójnych słów. Nie trzeba wszystkiego czytelnikowi wkładać łyżeczką do buzi!

Nie lubi pani patosu? Ma być lekko?

Czasem lubię patos, ale zależy u kogo. Na przykład u Leca tak: „Kto szedł przez Polskę czasu rzezi, a Żydem był, co z martwych powstał, o śmierć mądrzejszy, którą przeżył, gorzeć już musi jak apostoł...”¹¹⁹. To jest genialne, bo napisane w 1943 roku, kiedy on sam był na „aryjskich papierach”, ale już wiedział, jak będzie wyglądała przyszłość i co będzie robił.

Tu jest wszystko: Żyd, rzeź, Polska, śmierć, apostoł.

We wszystkich książkach o Szoa nie ma tego razem zebranego, co jest tutaj.

Ma pani ten cytat w wielu miejscach, między innymi na karteczce przyklejonej do lodówki między przepisem na ogórki kiszone w języku polskim a zdjęciem pani prawników.

Przeczytałam go kiedyś, już będąc tu, w Izraelu, i poczułam: to mnie definiuje. Zanotowałam go w różnych miejscach, żeby nie zapomnieć. Tak jak człowiek z Alzheimerem zapisuje sobie swój adres, tak ja, będąc staruszką, mogę zapomnieć najważniejsze zdania. Starość zabija wszystko. Chcę, żeby ten cytat był wszędzie, gdzie mogę zostawić jakąś pieczętkę, ślad. Po polsku, bo przetłumaczony już traci siłę. Kto go zrozumie? Tylko ktoś, kto jest z Polski. Jest mocny, genialny.

Czuje się pani zobowiązana do głoszenia i świadczenia?

Nie umiem tego określić, ale nie rozstaję się z tym... I tak, i nie.

Czuję się przedstawicielką czy głosem pewnej grupy, reprezentuję tych polskich Żydów, którzy któregoś dnia zrozumieli: „ok, Polsko, dawałaś nam schronienie przez tysiąc lat, ale już tak od dawna nie jest i musimy iść szukać nowego domu”. Nie lubię robić hałasu ani z mojego ocalenia, ani pisania, bo zawsze myślę, że jestem jedną z wielu, a tam zginęło półtora miliona dzieci – innych pisarzy, poetów... i każdy ma coś w swoim życiu, z czym się zмага.

Sama się do niczego nie zobowiązałam, ale fakt, że jestem stamtąd, że włożyłam cegielkę w budowę tego Nowego Kraju dla Żydów, że mi się udało zbudować rodzinę razem z moim mężem Palmachnikiem, sabrą, piątym pokoleniem w Izraelu sefardyjskich Żydów... można powiedzieć, że życie mi siłą narzuciło odrabianie tej ważnej lekcji.

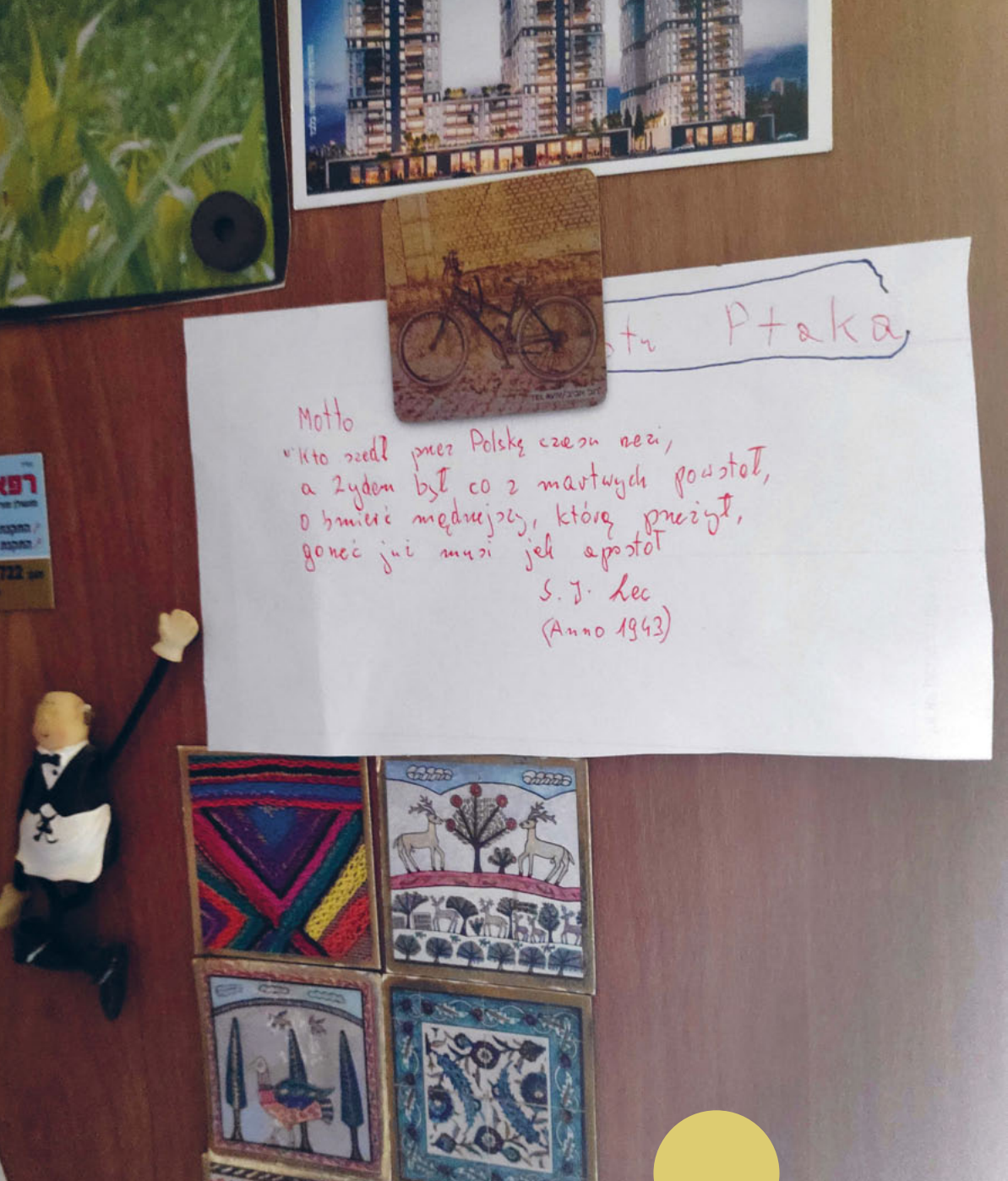
Jak się tę ważną lekcję odrabia?

Wychowaniem następnych pokoleń, opowiadaniem o świecie, którego oni nie zaznali – ani jego błogosławieństw, ani jego przekleństw, no i oczywiście pisaniem. Świadek powinien opowiadać prawdę. Natomiast Żyd, który został przy życiu i nie sprowadził na świat nowego pokolenia, nie odrobił lekcji.

A jak my, pokolenia, które przychodzą po wojnie, powinniśmy tę lekcję odrabiać?

Pamiętać! Pamiętać i wyciągać wnioski.

Przed kilkoma laty mój młody przyjaciel, poeta z Częstochowy Marcin Zegadło napisał dla mnie wiersz, co mnie ogromnie wzruszyło. Proszę posłuchać:



Motto
"Kto szedł przez Polskę czesną nazi,
a Żydem był co z martwych powstał,
o śmierci mędrzejczy, którą przeyt,
gonić jui musi jak apostoł
S. J. Lec
(Anno 1943)

Stanisław Ptaka

Zdjęcie 20. Fragment wiersza Stanisława Jerzego Leca Anno 1943 na drzwiach wejściowych domu Irit, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein



Zdjęcie 21. Fragment wiersza *Anno 1943* Stanisława Jerzego Leca, kuchnia Irit Amiel w Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Dla Irit Amiel

Teraz jestem dziewczynką, mam pomiętą skórę.
Przed nocą przyfrunę do ciebie. Bo jestem też
ptaszkiem, zerwanym obłoczkiem, parą z ust,
gwiazdką z nieba, okruszkiem. Nie pamiętasz?

Byłam kiedyś słoneczkiem cudnego tatusia.
(Z czym się Panu/Pani kojarzy słowo: getto?)
Albo na przykład Katedralna, czy Przemysłowa.
Tutaj się nie mieszka, tutaj się tkwi jak drzazga

w opuszkach – mówi tatuś. Jestem dziewczynką,
mam pomiętą skórę. A tam są takie kocie łby.
Do dzisiaj. Pójdźcie kotki do Pani, do okruszka,
obłoczka. Pani przytuli, pogłaszcze.

Najważniejsza jest lokalizacja.
Ludność koncentrować należy w niewielkiej odległości
od dużych węzłów kolejowych.
A Mojtek nie lubi się z Degenhartem.

Spierdalaj to nie twoje getto! – mówi Mojtek.
A właśnie, że moje! – odgraża się Degenhart.
I kłóć się ze sobą. A potem Mojtek idzie na pociąg.
Wsiada w towarowy. Najpierw długo jedzie,

a później frunie Mojtek jak ptaszek. Para z ust.
Obłoczek. Jestem dziewczynką Mojtek.
Musisz mnie złapać za rękę¹²⁰.

Przede wszystkim trzeba uważać, żeby nie stworzył się klimat, w którym
znowu coś takiego stanie się możliwe. To się może stać bardzo łatwo! To
jest coś, co człowiek robi drugiemu człowiekowi. To się dzieje cały czas
wszędzie, powtarza się, w innej formie, ale to cały czas jest wszędzie.

Co to jest to „to”?

Nienawiść na tle religijnym, kulturowym, finansowym. I zazdrość. Trzeba trzymać cały czas rękę na pulsie, żeby to się nie powtórzyło, mimo że tak naprawdę to cały czas się powtarza, choć nie na taką skalę. Nie pozwolić, żeby panowała nad nami ta nienawiść do obcych, do innego. Przecież na końcu wszyscy mamy ten sam czerwony kolor krwi! To jest wielkie szczęście, jesteśmy tacy sami, tylko nosimy inną skórę. Trzeba cały czas opowiadać, uczyć, porównywać, czytać. Nie zatrzymywać się, nie zrobić ponownie tego, co zrobiły dwa pokolenia w Polsce, które po prostu nie opowiadały następnym pokoleniom o trzech milionach polskich Żydów.

Debiutowała pani tomikiem poezji *Egzamin z Zagłady*, zainspirowana rozmową z wnuczką, która poprosiła panią o pomoc w przygotowaniu się do szkolnej klasówki. Co oznacza „zdać egzamin z Zagłady”?

Jesteśmy już nieliczni i ostatni.
Wiek nie zaciera świadomości,
a po nas zapadnie wielkie milczenie.
I moja wnuczka mówi – mam egzamin z Zagłady
Nasze życia, nasze nocne zmory,
Nasze codzienne grozy staną się datami.
A młody adwokat mówi – Oni są już starzy
nie można polegać na ich pamięci.

Jesteśmy już nieliczni i ostatni.
Powoli odchodzimy i znikamy
zabierając ze sobą na dno
nasze milczenie, nasz krzyk.

Jesteśmy już nieliczni i ostatni,
i pozostała nam już tylko garstka dni
na świadectwo, na grozę i na gorzkie
porachunki z człowiekiem i z Bogiem¹²¹.

To jest bardzo trudne pytanie, może do ministra oświaty. Ale myślę, że przede wszystkim wychowywać dzieci w poszanowaniu innego, mówić im, że wszyscy ludzie mają czerwoną krew, tylko skóra ich odróżnia, niczym ubranie, tylko na zewnątrz. A w co wierzą, to ich prywatna

sprawa. I żeby pamiętać, że były czasy, kiedy o tym całkiem zapomniano. I niestety trudno powiedzieć, że one dobiegły końca, to trwa.

Czy udało się przekazać naszą wiedzę, doświadczenie ostatnich świadków... za to nie mogę odpowiadać.

Choć temat Szoa jest już przegadany, przemielony, przepisany, opisany, napisany i wypisany, choć do pewnego czasu był też przemilczany, zawsze trzeba zostawić miejsce na jakieś nowe, trudne do uwierzenia fakty, bo tak naprawdę on nie ma końca. Szoa ma delikatny początek – z Hitlerem, z drugą wojną światową, bo antysemityzm przecież istnieje od zawsze, ale nie ma i nie może mieć końca. „Pieśń ujdzie cało” – jak długo będziemy ją opowiadać dalej, nieważne, w jakiej formie: szeptać, śpiewać, grać koncerty, pisać komiksy, prowadzić konto na Instagramie, wszystko, co się da! Bo oni z wagonów krzyczeli: „nie zapominajcie nas i opowiadajcie o nas!”. Wszelkimi możliwymi środkami i drogami.

Czy nie ma w tym jednak zagrożenia, że kultura popularna odbierze powagę znaczeniu Zagłady?

Jest! Pewnie, że tak, ale mimo wszystko najważniejszy jest cel: pamiętać. Dopóki o tym się mówi, czy na Instagramie, czy Facebooku, to znaczy, że się pamięta. Może nawet jakieś delikatne żarty będą dobre? Czytam teraz książkę, której autorka pisze: „staliśmy w korkach jak owce na rzeź”. Po hebrajsku to jest od razu jedno skojarzenie. Może teraz już tak wolno? Najważniejsze, że to się od razu tu przecież kojarzy, więc jest pamięć. Chociaż i tak myślę, że zapomną... Będzie tak, jak napisałam w mojej autobiografii: byli Kozacy, był i Hitler. Było, minęło! Rozumiem to, jak idę na cmentarz. Każdy ma swój kawałeczek i tyle.

Z ostatnich badań przeprowadzonych między innymi we Francji i w Stanach Zjednoczonych wynika, że często i połowa ankietowanych nie zna pojęć „Szoa” czy „Holokaust” i nie wie, czym była zagłada Żydów. Co robić?

Przecież to jest oczywiste, że nie wiedzą! Kto uczył po wojnie w Niemczech? Kogo postawili w klasie? Byłych nazistów! To czego oni uczyli? A co zrobili Amerykanie z 11 września? Przecież nikt się do tego nie odnosi. Też już zapomnieli.

Szoa jest śmierdząca, bo wszyscy mieli wszy, byli brudni. Tylko powstanie w getcie warszawskim jest piękne, chociaż tam przecież się wrzucało dzieci do ognia.

Może jest jakaś trudność w pamiętaniu ludzi doprowadzonych do stanu, w jakim byli w czasie wyzwolenia? To jest nieludzkie!

Powiem pani szczerze, nie wiem, czy to się uda, czy rzeczywiście ta pamięć przetrwa... Ale myślę sobie ostatnio, że nie chodzi nawet o pamiętanie tego, co było, tylko żeby się to nie powtórzyło – przecież to się może powtórzyć! Żeby nie doszło do tego, nie doprowadzić do sytuacji, w której to się znowu będzie działo. Jak młody chłopiec w Polsce może powiedzieć: „Niech przywiozą ciapatych, piece już mamy, wszystko przygotowane”, to przecież...

Ale z drugiej strony, co zrobili Cyganie, żeby mieć dom? A przecież Żydzi to też naród tułaczy!

Czy po zbudowaniu państwa żydowskiego pojęcie Żyda wiecznego tułacza jest nadal aktualne?

Pewnie! Dzisiaj właściwie wszyscy są tułaczami, przecież jak gdzieś im jest źle, to wyjeżdżają, zmieniają miejsce zamieszkania... Może nie dla wszystkich jest ciągle równość, nie wszystkich wszędzie chcą, ale wszyscy w jakimś stopniu jesteśmy tułaczami.

Czy chodziła też pani świadczyć do szkół na spotkania z młodzieżą?

Tylko raz poszłam do izraelskiej szkoły, potem zrobił się taki trend i ja nie chciałam do niego należeć. Poszłam do klasy mojego najmłodszego wnuka przed ich maturą i wyjazdem do Polski, tzw. wycieczką do korzeni, podczas której państwo daje im okazję doznać traumy w obozach koncentracyjnych. Często ich babcie i dziadkowie są osmalonymi, a oni noszą imiona po zagazowanych pradziadkach, ciotkach i wujkach, których nie widzieli nawet na zdjęciu.

Nauczycielka podeszła do mnie, zanim zaczęłam mówić, i spytała: „wiesz, czego oni chcą?”. Odpowiedziałam jej: „wiem, krwi”.

Dziewczyna mojego starszego wnuka zrobiła krótki film z tego spotkania.

Co im pani opowiadała?

Nie pamiętam. Byłam zestresowana mówieniem do takiej dużej grupy młodzieży. Do sabrów. Pamiętam, że ściągnęłam ich uwagę i rozładowałam napięcie opowiadaniem o tym, jak w wieku jedenastu lat po raz pierwszy piłam wódkę, którą lubię po dziś dzień.

Tak samo nigdy nie chciałam chodzić na tego typu spotkania w domach. To też jest pewnego rodzaju moda. Ludzie spotykają się ze swoim towarzystwem i zapraszają osmalonych, żeby opowiadali swoje historie. Z góry powiedziałam znajomym Dity, kiedy chcieli mnie zaprosić, że ja nie umiem mówić do dużych grup.

Gdzie piła pani wódkę w wieku jedenastu lat?

W małym getcie w Częstochowie, do którego cudem wróciłam ze wsi, zawszona i pełna ran z niedożywienia. Mieszkało się bardzo ciasno, kilka rodzin w jednym pokoju. Płakałam z tęsknoty – jeszcze wtedy ciągle nie umiałam nie tęsknić, opanowałam to dopiero później. Tymczasem tym moim płaczem przeszkadzałam parom, które chciały się kochać, co było naturalne po tak ciężkim i niebezpiecznym dniu, gdzie cudem było, że oni w ogóle wracali, cały czas z perspektywą na niemiecki obóz koncentracyjny. Dawali mi bimber, po którym momentalnie zasypiałam. Była wtedy zima, strasznie zimno. Nie miałam butów, chodziłam po śniegu z nogami owiniętymi starymi niemieckimi szmatławcami. Piszę o tym w moich książkach¹²².

Dlaczego właściwie wróciła pani do małego getta?

Guta, siostra tatusia, postanowiła mnie do siebie ściągnąć. Nawiązała kontakt z tą kobietą, która wywiozła mnie na wiochę, i powiedziała jej: „Jeśli dziecko jeszcze tam jest, trzeba je stamtąd sprowadzić”. To faktycznie było w ostatniej chwili, cud po prostu, bo ja właśnie szłam do księdza, żeby mu powiedzieć, kim jestem, i poprosić o pomoc – taka byłam niepoważna. Wróciłyśmy pociągiem, ona cała poowijana jedzeniem, a na każdej stacji było Gestapo, które dokładnie takie kobiety sprawdzało.

Przyjechałyśmy do Częstochowy. Najpierw zabrała mnie do swojego mieszkania – tam była jeszcze inna dziewczynka żydowska, z ogoloną głową po tyfusie.

Znała ją pani?

Tak, to była siostra jednej z moich koleżanek, udało się jej też przeżyć, mieszkała później w Izraelu.

Wróciła z panią do małego getta?

Nie. Wróciłam sama. Ta kobieta, która mi pomagała, powiedziała zaraz, że nie może mnie nawet przenocować, bo ta druga kobieta, z którą mieszka, nie pozwoli jej ze względu na tę dziewczynkę właśnie, którą już się opiekowała. Najtrudniej było ukrywać żydowskie dziecko przed sąsiadami, bo oni się już bardzo interesowali, żeby coś zarobić. To był dla mnie straszny moment... Pamiętam, jak siedzę przy oknie, za firanką, żeby mnie nie było widać, i taka ucieszona mówię: „Nie mogę się doczekać, aż zobaczę moich rodziców”, i nagle słyszę: „Nie, dziecko, ty już nie masz rodziców”. Nie pamiętam potem nic, jedna wielka mgła. Nie wiem, czy jadłam, czy chodziłam do łazienki, nic. Chociaż oczywiście jeszcze długo potem się łudziłam, chodziłam na dworzec po wojnie, a wcześniej w Warszawie robiłam im laurki. Przecież był Marian, Ania¹²³ miała mamę, dlaczego ja miałabym nie mieć rodziców?

Wieczorem poszliśmy pod getto. Julia powiedziała, że jak Ukrainiec pójdzie sikać, to mam wejść. I weszłam, zaraz spotkałam jakiegoś starszego Żyda, który zapytał mnie w jidysz, jak się nazywam, a ja powiedziałam mu, że szukam Guty Kremskiej¹²⁴. Wskazał mi, który to był budynek, a tam na miejscu wpadliśmy sobie w objęcia i wybuchliśmy histerycznym płaczem. Tak było już zawsze – kiedy tylko spotykałyśmy się z Gutą, przeraźliwie płakałyśmy.

Napisanie książek pomogło pani uwolnić się od części tej traumy?

Jasne, że jest coś w tym też terapeutycznego, ale kiedy usiadłam, żeby je napisać, to raczej z poczucia obowiązku świadka. I dlatego, że lubię opowiadać o tym, co widziałam, co słyszałam, w jakich krajach przekraczałam granice, jakich ludzi spotykałam z całego świata.

Ja to mogę, bo nie byłam zamknięta w obozie, nie byłam w Auschwitz, nigdy, dzięki Bogu, nie spotkałam siebie w pasiaku ani w obozowej latrynie. Nie wiem, co tam się naprawdę działo, wiem to jedynie z relacji innych. To nie przeniknęło mojej skóry. Nie mam numeru!

Ma pani z tego powodu poczucie winy?

Może...

Odpowiem swoim wierszem:

Spotkałam ją na lekcji gimnastyki.
Mówiła, że od wielu lat bolą ją nogi
od czasu tamtej sześcioletniej wojny
– Nie wiedziałam, że ty też tam byłeś – powiedziałam
– Tak, ale ja miałam szczęście
bardzo lekko to przeżyłam, nigdy nie głodowałam.
Tylko leżałam trzy lata po ciemku
pod łóżkiem
ze zgiętymi kolanami jak noworodek
I tam wsuwano mi kartofle i wodę¹²⁵.

Ale pani głodowała...

Nie jak w obozie. To nie był nigdy taki głód jak w obozie.

Nie pamiętam, co jadłam i ile jadłam, ale pamiętam dziesięć lat głodu – najpierw bardzo ostrego, a potem takie nienasycenie, niedojedzenie, co się uspokoiło dopiero w Izraelu, ale też nie od razu. Na wiochach było jedzenie. Była zalewajka, piekło się chleb, ale to był już 1942 rok. I na ostatniej wsi, w której byłam, w Pociesznej Górcie, tuż przed końcem wojny, były bardzo bogate święta Bożego Narodzenia. W Warszawie, pamiętam, niektórzy przynosili mięso z koni, które padały w czasie bombardowań, i robili z niego kotlety.

W dużym getcie była kuchnia Judenratu, dzielono zupę z brukwi, ale w domu też było wtedy ciągle trochę jedzenia. Ciężko mi teraz sobie dokładnie przypomnieć, ale wiem, że byłam głodna dziesięć lat: przez sześć lat wojny i potem cztery lata tutaj, aż było tyle jedzenia, że czułam się syta. Ojciec mojego sąsiada umarł po tym, jak najadł się do syta od Anglików.

Ja miałam ten nosek do góry i te blond warkoczyki. Byłam sama, to było jasne, że takie samotne, poniewierające się dziecko to dziecko żydowskie, ale jak byłam już z Dorą¹²⁶ i Marianem¹²⁷, to ja, z moim wyglądem, robiłam

zakupy w sklepie. Może jedynie miałam więcej lęku, strachu i samotności niż inni. Pamiętam, jak w którymś momencie Marian zauważył, że „dostałam smutne oczy psa”, i mnie upominał: „Robią ci się żydowskie smutne oczy, uważaj, bo cię rozpoznają!”. Dnia bym nie przeżyła w obozie, poddałabym się przy pierwszej chorobie.

Miała pani szczęście jak Perła?

Myślę, że każdy, kto zostaje przy życiu, ma szczęście.

Chociaż może nie, bo tacy żydowscy policjanci, którzy musieli dostarczyć taką i taką liczbę Żydów, zmuszeni byli czasem oddać swoich krewnych, swoich bliskich... I nie zawsze to takie szczęście, jak opisuję w moim opowiadaniu *Migawkowe zdjęcie*: „Jak ma trzy lata, w Warszawie, tatuś wynosi ją na akcję w plecaku, zapakowaną między czystymi majtkami, twardymi sucharami i ciepłymi swetrami. Niemcy bagnetami dźgają plecaki, żeby żadne żydowskie ukryte maleństwo nie dotarło nawet na Umschlagplatz. *Ordnung muss sein*. No ale jej plecaka przypadkowo nie dźgną, może dlatego, że nazywa się Błogosławiona”¹²⁸.

Byłam świadkiem kilku dyskusji pomiędzy ocalałymi, które obróciły się niemal w licytację, kto miał gorzej i dlaczego ocalałych w Rosji nie uznaje się za „prawdziwych ocalałych”.

Żydzi, którzy przeżyli wojnę w Rosji, na Syberii, nie żyli w rajach, pracowali bardzo ciężko, dzieci chodziły do szkoły, ale niektórym się nieźle powodziło, jadali często zupy żółwiowe, wszystko zależało od stanu majątkowego rodziny. W Rosji każdy miał okazję umrzeć z głodu, Żyd czy nie Żyd. Nie tak jak w Polsce, gdzie Żydzi umierali, bo nie mogli sobie kupić kawałka chleba, bo przecież jakby się otworzyło usta i żydłaczyło, to by go szmalcownicy oddali na Gestapo.

W okolicach zeszłorocznego Dnia Pamięci Dita powiedziała: „Ima¹²⁹, za rok ty zapalasz jedną z sześciu świec na państwowych uroczystościach”, na co zachnęła się pani: „Ja? Przecież nie byłam w obozach!”.

Ja w ogóle tego nie chcę, nie piszę się na żadną publiczną świecę. Ja bym się tam jąkała przed tym mikrofonem i jestem przecież głucha. Tylko udaję, że w ogóle jeszcze jestem!

Zawsze zapalam dwie świece w Jom ha-Szoa: jedną dla mamy, jedną dla taty, tak jak w Dzień Pamięci o Poległych Żołnierzach zapalam jedną dla wszystkich, co polegli. Siedzę sama jak na pokucie i oglądam wszystko, co pokazują w telewizji o Szoa. Dzwonią przyjaciele, którzy jeszcze nie umarli. Zawsze dzwoniła mama zięcia, bo jej rodzina przyjechała z Siemiatycz, a ona była saberką z kibucu. „W ten dzień myślimy o tobie”, mówią mi, identyfikują się. Moje dzieci też się identyfikują ze mną, Dita przecież maluje te moje tęsknoty, a Oni mówi, że czuje, jakby to on napisał te książki. Tego dnia nie mogę być z nikim, siedzę sama.

(dzwoni telefon)

Właśnie przerwała nam pracę Ruti, żona profesora biologii, moja jedyna izraelska czytelniczka, której wierzę, że ze wzruszeniem czyta po raz kolejny moje książki. Ma pełną półkę książek o Szoa, ale mówi: „Ty piszesz inaczej”. Nie umie wytłumaczyć, co ma dokładnie na myśli – może, że tak osobiście? „Nikt tak nie pisze”, mówi. Mam nadzieję, odpowiadam jej zawsze, że tak, jak jest to opowiedziane, dzięki tej mojej lekkości, dotrze na skrzydłach do młodych, chociaż wątpię, by miało to szansę dotrzeć do kolejnego pokolenia.

Dlaczego?

Bo może wzbudzamy wstręt i obrzydzenie, śmierdzimy wszami? Nie są w stanie się z nami nawet na chwilę zidentyfikować, przymierzyć sobie tej naszej sytuacji. Odpychamy ich! Ten temat obozów, naszej inności, naszego poniżenia.

Ostatnio, kiedy wyszła moja autobiografia po angielsku, przyniosłam ją jednej pani, amerykańskiej Żydówce, która bardzo chciała przeczytać moje książki i mnie poznać. Pani nagle zwraca się do mnie po angielsku: „Irit, ja nie przeczytam tej książki”. Dlaczego? „Bo to mi sprawia zbyt wiele bólu. To mnie tak boli, czytanie o tym, że ja nie mogę narażać mojego zdrowia”.

No to proszę powiedzieć, czy ona coś zrozumiała?

Jakiś czas temu przygotowała pani swój osobisty wybór poezji hebrajskiej. Jakich poetów pani wybrała? Jakimi kryteriami się kierowała?

Najbardziej lubię przekładać z hebrajskiego na polski poezję dotyczącą naszej planety i Szoa. Z tego samego powodu lubię więc moją antologię, która nadal leży odłogiem, choć jest ciągle aktualna. Każda antologia jest poniekąd wyborem subiektywnym, szczególnie u tłumacza. Mój wybór poetów i ich utworów jest wybitnie indywidualny, nieakademicki i bezpretensjonalny. W bogatej współczesnej poezji hebrajskiej – mocno naładowanej Biblią, starą historią żydowską i młodą izraelską – szukałam zamierającego już echa przeszłości. Chciałam przybliżyć polskiemu czytelnikowi tę jej część, w której brzmią coraz słabiej dawne głosy. Poezję lekko splatającą się nadal z korzeniami europejskimi, a zwłaszcza z polskimi – u poetów przybyłych do Palestyny w pierwszych latach swego dzieciństwa, których rodziny pochodzą z tamtych mitologicznych i nieistniejących już miasteczek. Chciałam podkreślić twórczość tych, którzy całkiem przypadkowo ocaleli z Zagłady; odzwierciedlają się dziś te sprawy w wierszach młodszych poetów. Wydaje mi się, że jesteśmy świadkami wyjątkowego, jednorazowego procesu zanikania tej tematyki wraz z odejściem ostatniej generacji wywodzącej się z Europy, kiedy i ona, i jej potomstwo umiera i schodzi ze sceny. Starłam się więc przełożyć garść poezji z hebrajskiego na polski, z jednego hermetycznego języka na drugi. Są tam między innymi: Yehuda Amichaj¹³⁰, Natan Alterman¹³¹, Dalia Rawikowicz¹³², Hezy Leskali¹³³, Yaakov Besser¹³⁴, Dawid Awidan¹³⁵, Yona Wallach¹³⁶, Dan Pagis¹³⁷, Roni Somek¹³⁸, Natan Zach¹³⁹, Aron Szabtaj¹⁴⁰ czy Meir Wieseltier¹⁴¹, mój ukochany poeta. Na pewno można zestawić tego rodzaju antologię inaczej, wybrać innych poetów, inne utwory. Może moja posłuży następnym tłumaczom jako inspiracja do tworzenia odmiennych kompozycji.

Dlaczego w takim razie leży nadal odłogiem?

To jest wielkie wyzwanie, żeby zdobyć prawa autorskie do tłumaczenia tytułu poetów, z tytułu książek! Wszystkie wydawnictwa chcą, żeby to już było uregulowane!

Dana Pagisa mieliśmy okazję już poznać dzięki pani przekładowi, przed kilkoma laty ukazał się bowiem tomik jego poezji nakładem Wydawnictwa Studio Emka¹⁴².

Stało się coś, co dzieje się często ze mną podczas czytania po hebrajsku: odnalazłam się w jego wierszach i od razu zapaliły mi się po polsku

w głowie. Pagis był rumuńskim Żydem, hebrajski też nie był jego językiem ojczystym. Przełożyłam kilka wierszy za pozwoleniem jego żony Ady Pagis¹⁴³, która jest pisarką i napisała do tej książki wstęp po polsku.

Wydawnictwo Austeria wydało z kolei *Ja i ty i następna wojna. Teatr życia i śmierci Hanocha Levina*¹⁴⁴, dramaturga i reżysera zwanego „ojcem założycielem teatru izraelskiego”, w której to książce znalazł się pani przekład jednego z jego utworów.

Zakochałam się w jego sztuce, jeszcze zanim zwrócono się do mnie z Teatru Cameri w Tel Awiwie z prośbą o tłumaczenie, co było dla mnie ogromną nobilitacją, poczułam się, jakby mnie pasowano na rycerza! Tymczasem już sobie a muzom przełożyłam połowę tej sztuki, bo mnie najzwyczajniej w świecie zachwycała, po prostu brzmiała w moich uszach po polsku! Przełożyłam jego *Requiem. Oparte na trzech bajkach Czeskoma. Bajka o śmierci*¹⁴⁵. Levin był już wtedy schorowany, umierał w szpitalu niedaleko mojego domu. W Polsce zachwycono się jego sztuką i często ją wystawiano. Opublikowano też to tłumaczenie w zbiorze dramatów Levina *Ja i ty i następna wojna...*

Muszę przyznać, że Levin od *Łazienki* i pan Leoś od *Piotrusia* to dla mnie to samo, dostrzegam tu niezwykle podobieństwo!

Co panią najbardziej poruszyło w Levinowskim *Requiem*...? Ma pani jakiś ulubiony fragment?

Może matka z dzieckiem... Może stara i stary... Chociaż nie, cała sztuka! Sympatyczne i mądre kurwy, woźnica, który stracił syna... Wszystko to jest mi bliskie i od początku brzmiało mi po polsku. I tylko trzeba było wtedy to zapisać w tym języku. To jest smutna, gorzka bajka o życiu!

Muszę przyznać, a propos przekładów, że czytając moje tłumaczenia, sama nieustannie się zdumiewam moją polszczyzną – prawie dziewięćdziesiąt lat, nigdy nie chodziłam do szkoły w Polsce – może to dzięki temu? Nigdy nie musiałam.

Wracając do Levina, czy i u niego znalazła pani to, co w twórczości ukochanych poetów hebrajskich, których wybrała pani do swojej antologii? Tęsknotę za Polską, może stłumioną, może przewrotnie wyrażoną, a jednocześnie chęć wtopienia się w nowe życie izraelskie?

Nie, u niego nie ma tej tęsknoty, wręcz przeciwnie! To jest ironia w stylu: spójrzcie na siebie, jacy z was Polacy! A przecież wiedział, co mówi, bo jego matka urodziła się w Polsce. Siła Levina pochodzi stąd, że podstawiła nam lustro przed twarz i mówi: „popatrzcie, jacy wy jesteście polscy, małomieszczanie!”.

Na YouTube można znaleźć piosenkę *Dream* – wiersz Abramka Kopłowicza¹⁴⁶ w wykonaniu jednego z izraelskich zespołów muzycznych. Opowie pani o tym projekcie?



*Piosenka Dream,
wiersz Abramka
Kopłowicza*

Abramek Kopłowicz urodził się rok przede mną, ale oczywiście nigdy go nie poznałam. Przed wojną mieszkał w Łodzi, a w szkolnym zeszycie zapisywał swoje wiersze i swoje przeżycia z getta Rumkowskiego. Abramek zginął w Auschwitz, a po wojnie ojciec odnalazł zeszyt z jego zapiskami. Zgłosił się do mnie któregoś dnia jego przyrodni brat, ktoś mu mnie polecił jako tłumaczkę. No i tu widać chyba to poczucie winy, o które pani pytała, bo jak mogę wytłumaczyć, że Abramek napisał wiersz, a ja go tłumaczyłam za darmo? Przełożyłam jego wiersze na hebrajski, wydało je Jad Waszem, a na końcu zgłosił się do mnie zespół, który przed kilkoma laty chciał zrobić do tego muzykę, w sprawie moich praw autorskich do przekładu.

Od wielu lat przyjaźni się pani się z Henrykiem Grynbergiem. Dedykujecie sobie nawzajem wiersze, korespondujecie, nazywacie się „siostrzyczką” i „braciszkiem”. „Moja siostra z Holokaustu” – pisze Grynberg w swoich dziennikach i wyjaśnia: „Irit Amiel nie jest moją siostrą, ale traktujemy się wzajemnie jak rodzeństwo, bo przeżyliśmy prawie to samo i tak samo”¹⁴⁷.

Jesteśmy rodzeństwem duchowym, które łączą Szoa i wspólne sieroctwo.

Zaczęło się, kiedy przeczytałam jego *Ekipę* „*Antygona*” i zakochałam się w jego pisaniu, w sposobie, w jaki on opowiada. W moich oczach on jest najlepszy. Pomyślałam wtedy: „muszę to przetłumaczyć”. Ale przecież nikt nie chciał wówczas słuchać o Szoa! W Polsce nie mówiono się wtedy o Żydach, bo jeszcze spało się pod pierzynami mojej babci, a tu nie chcieli o tym słuchać, bo to było dla nich zbyt straszne, nie dało się! Ale Heńka się słuchało. Spotkaliśmy się po raz pierwszy na pokazie jego



Zdjęcie 22. Irit Amiel w swoim salonie podczas pracy nad książką, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

filmu autobiograficznego tutaj w Kraju. Podeszłam do niego i zapytałam po angielsku: *Are you interested in translation of your works into Hebrew? – Not whatsoever* – odpowiedział mi z wielką złością, a dzisiaj się tego wypiera. Potem spotkaliśmy się u Miriam Akavii, przeczytał moje opowiadania i bardzo mu się spodobały. Napisał wstęp do mojego zbioru *Podwójny krajobraz*¹⁴⁸.

Nasza przyjaźń zaczęła się dopiero po tym, kiedy zmniejszyła się jego niechęć do mnie. Docenia mnie i rozumie, że jesteśmy niemal z tego samego podwórka, i od tego dnia bardzo się kochamy. Idą sobie drogą siostrzyczka i brat, i nadzieić się nie mogą, jaki straszny świat!¹⁴⁹

Grynberg docenia wartość językową wprowadzonego przez panią określenia „osmalony”, na co też zwrócił wcześniej uwagę Michał Głowiński, który w posłowniu do *Osmalonych* napisał: „Myślę, że metafora, jaką posłużyła się Irit Amiel, ma szansę, by wejść do języka i na stałe określić sytuację egzystencjalną tych, którzy z Zagłady uszli z życiem, są jednak wciąż jej ofiarami”¹⁵⁰.

Niestety, te przewidywania obu literackich ekspertów nie spełniły się i wielu ludzi mylnie używa słowa „osmolony” zamiast „osmalony”. W moim zamyśle był ogień, który trawi ciało, a jego płomień już osmalają tych, którzy byli o krok od niego, ale uchodzą z życiem i opowiadają swoje. A „osmolony” to ktoś brudny od sadzy. Ale w sumie oba słowa są dobre, bo „osmolony” nie jest taki jak wszyscy, on jest czarny od czegoś – smoły, czadu, sadzy czy dymu.

Jak w innych językach zostało oddane to słowo?

Po hebrajsku *tzruvim*, od czasownika *litzrov*, czyli „wypalać”, po angielsku i węgiersku to będzie „przypaleni”, *scorched* i *megperzseltek* odpowiednio; po niemiecku *gezeichnete*, czyli „naznaczeni”, a po włosku *fratture* – „złamani”. W tych dwóch ostatnich językach nie udało się znaleźć lepszego słowa.

„Jest to pogranicze prozy i poezji, bo precyzyjnie komponowane, krótkie opowiadania tej poetki rodzą się z takich samych błysków i skojarzeń jak poezja i są tak samo skondensowane”¹⁵¹ – napisał Henryk Grynberg we wstępie do drugiego tomu pani opowiadań zatytułowanego *Podwójny krajobraz*.

Śni mi się w nocy coś, co czuję, że będzie wierszem, ale ja ciężko nad tym pracuję, żeby było lekkie jak motylek. Bardzo trafnie swojego czasu opisał moje pisanie pan Tadeusz Nyczek: „Takie opowiadania latami szlifują się w pamięci, aż utoczone do twardej gładkości rzecznych kamieni układają się obok siebie jak tama zatrzymująca bolesny czas. Są pisane już jakby z drugiego brzegu, skąd ogląda się minione życie ze spokojem nie tyle wybaczenia, ile goryczy, że już inaczej nie będzie, a to, co zostało dawno temu skażone, będzie bolało do końca”¹⁵².

Zawsze powtarzam, że piszę te wiersze czy opowiadania z jakiejś wewnętrznej potrzeby. Może, żeby jeszcze chwilę pożyli ci, których pamiętam. Powtarzam, że piszę tak samo, jak gotuję, a lubię gotować. Wchodzę do kuchni, patrzę, co mam w zamrażalniku – i do roboty. A w kuchni mam zawsze dużo, bo musi być zapas na czarną godzinę, to znaczy na wojnę! Tak samo jest z pisaniem: piszę o tym, co mam, a mam Szoa, i tak jak pełną kuchnię – głowę pełną pomysłów literackich: wierszy, które pamiętam, polskich tang, które łamią mi serce, książek, które czytałam. Jest to chyba rodzaj świadectwa dzieciństwa, które tak się we mnie zakorzeniło i wyrosło po wielu dziesiątkach lat. Moje utwory są proste, przefiltrowane wiekiem, cynizmem i sarkazmem. Są surowe i bezlitosne. Kiedyś na jakimś wieczorku literackim ktoś mnie zapytał: „Czy pani płacze, pisząc?”. Odpowiedziałam: „Ja już się wypłakałam, ale chodzi o to, żeby to pan płakał”. I on naprawdę płakał...

A to przecież naprawdę im się należy, żeby po nich płakać nawet po siedemdziesięciu, osiemdziesięciu, stu i dwustu latach.

W swoich dziennikach Grynberg poświęca pani sporo uwagi. Cytuje państwa korespondencję, pani myśli i spostrzeżenia. Moją uwagę zwrócił pani odważny pogląd dotyczący Janusza Korczaka, o którym Grynberg pisze: „Irit Amiel, która przeżyła na własną rękę, mając 11–14 lat, pisze mi, że Korczak i Stefa powinni byli powiedzieć dzieciom całą prawdę, uwolnić je od siebie, dać im szansę ratowania się. Matka jej znajomej z Częstochowy powiedziała trojgu swoich dzieci, które były w naszym wieku: »To jest koniec świata, musimy się rozstać i niech każdy się ratuje na własną rękę«. I przeżyli, przyjechali do Izraela i zostawili po sobie całe plemię. Z pewnością niektóre dziewczynki miały szansę, i starsi chłopcy”¹⁵³.



Zdjęcie 23 Przekłady książek Irit, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Znam film Wajdy o Korczaku i wcale się nie zachwycam tymi aniołkami, bo one nie stają się aniołkami, tylko kupką popiołu! Zdaję sobie sprawę, że tematu Korczaka nie powinno się dotyczyć. Korczak jest święty. Ale ponieważ jest rok 2020, oglądam dużo filmów, czytam dużo historycznych i poetyckich książek, może można pozwolić sobie na inny punkt widzenia? Życie jest ponad wszystko!

Oba tomiki opowiadań pani autorstwa, *Osmaleni* i *Podwójny krajobraz*, zostały nominowane do najważniejszej polskiej nagrody literackiej, Nike, oba znalazły się w finałowej siódemce. Tadeusz Nyczek napisał: „Jej prozatorski debiut, cieniutki zbiorek opowiadań *Osmaleni* był jak cichy piorun w środku gadatliwego dnia”¹⁵⁴.

Zadzzwoniło do mnie kilka osób z Polski – bo tu nie bardzo przecież wiedzieli, o co chodzi – i pytało: „no to dostałaś czy nie dostałaś?”. Zaraz mi też powiedzieli, że w żadnym wypadku nie dostanę tej nagrody, mieszkając w Izraelu. Bardzo byłam wtedy zadowolona. „No widzisz, nie jesteś taka na niby, co tylko tracisz, potrafisz też coś!”.

Przed nominacją do Nike zostałam wyróżniona przez Bibliotekę Raczyńskich w Poznaniu na Poznańskim Przeglądzie Nowości „Jesień ‘99”. A dwujęzyczna antologia moich wierszy *Spóźniona / Delayed*, która ukazała się w 2016 roku, została nominowana w roku 2017 do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” w szóstej edycji konkursu.

Dzięki mojej bliskiej przyjaciółce, nauczycielce w Warszawie, Agacie Patalas, która pierwsza się na mnie poznała, drukował mnie Giedroyc. Ktoś mi powiedział, że to jakbym miała doktorat. To chyba ważniejsze dla mnie niż wszystkie nagrody. Mój syn, który jest ze mnie bardzo dumny, niedawno podsumował moją kilkudziesięcioletnią twórczość: „i ty tam to wszystko zrobiłaś w tym małym pokoiku? Sama?”.

Co pani czuła, debiutując?

Nie bałam się. Nie myślałam o krytykach w ogóle. Pisałam pierwszą książkę mojego życia, mając wnuczkę! Przystałam farbować włosy, a za to przekłułam sobie uszy, bo babcia ma mieć kolczyki! To miałam czas zastanawiać się nad krytykami? Poza tym wtenczas miałam lekcje do odrobienia na uniwersytecie! Robiłam ważny kurs translatorski, jestem zawodowym tłumaczem!



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 50.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. 01-39-62-19-04
Fax. 01-39-62-57-52

SIRET 619 802 861 00010
CODE APE 221 E
VA FR 75 619 802 861
C. VERSAILLES 61 B 286
C.P. 18228-56 W PARIS
EXPORT
C.P. 18228-38 B PARIS

le 8 września 1999

Szanowna Pani,

Chciałbym zatrzymać do druku w *Kulturze* Pani szkic „Elkana”.
Mógłby się ukazać albo w numerze listopadowym, albo grudniowym.
Przy okazji prosiłbym o przysłanie noty biograficznej, którą zamieszczamy przy drukowanym tekście.

Łączę najlepsze pozdrowienia.

Jerzy Giedroyc

Zdjęcie 24. List od Jerzego Giedroycia nadesłany do Irit Amiel w 1999 roku,
ze zbioru dokumentów właścicielki, Ramat Gan, 2020 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Henryka Bochniarz i Adam Michnik,
członkowie Komitetu Zarządzającego
Nagrody Literackiej Nike,
mają zaszczyt zaprosić Panią/Pana

Irit Amiel

na uroczysty finał konkursu Nike 2000

w dniu 1 października 2000 roku o godzinie 19.30
w Teatrze Stanisławowskim w Starej Pomarańczarni
w Łazienkach Królewskich w Warszawie

Początek bezpośredniej transmisji w 2 programie TVP
o godzinie 20.00

Zdjęcie 25. Zaproszenie na uroczysty finał konkursu Nike 2000 nadesłane Irit, ze zbioru dokumentów właścicielki, Ramat Gan, 2021 rok.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

Czym wytłumaczyć fakt, że w Polsce została pani dwa razy nominowana do najważniejszej nagrody literackiej, a w Izraelu prawie nikt o pani nie słyszał?

Przede wszystkim moim długim milczeniem. Miałam sześćdziesiąt osiem lat, kiedy wydałam *Osmalonych!* Tu już wtedy ugruntowaną pozycję miały Ida Fink czy Miriam Akavia.

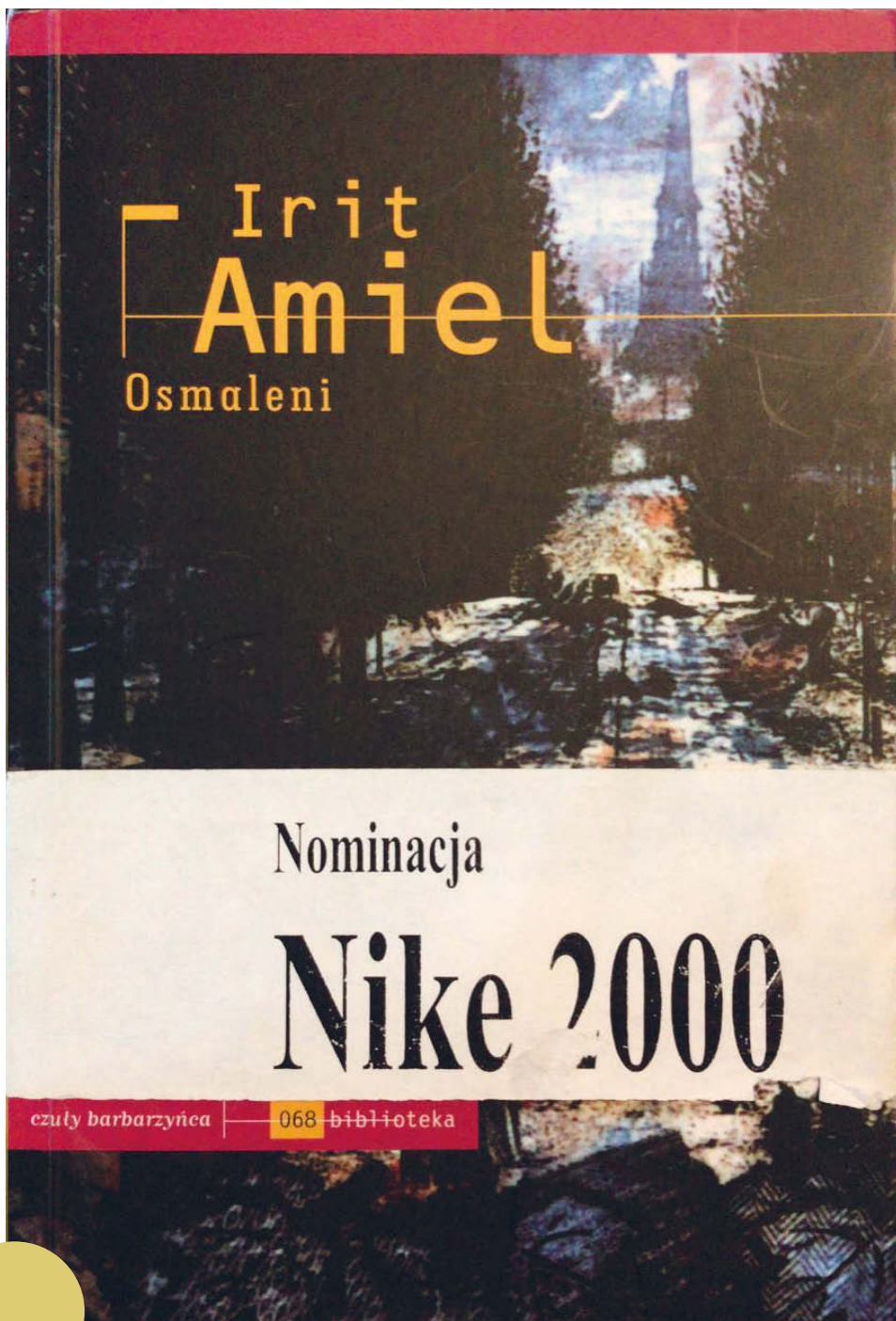
Tutaj co druga osoba może powiedzieć: „moja matka jest ocaloną z Szoa i opowiadała mi, że...”, a w Polsce przez dwa pokolenia, jakieś pięćdziesiąt lat, nie mówiło się o Żydach w Częstochowie, Żarkach... Ale muszę powiedzieć, że jest mi to bardzo na rękę, że nie jestem tu znana. To musi być bardzo trudne, kiedy wychodzi się z domu i jest się rozpoznawanym. Moi wnukowie podczas pobytu w Polsce pytali o mnie w różnych miejscach i wrócili niezwykle zaskoczeni: „*Safta*, ty jesteś tam *celebrity!*”.

Pamięta pani, kiedy przyszli i powiedzieli, że jadą do Polski?

To było już po tym, kiedy zaliczyli obowiązkową wycieczkę szkolną do obozów w Polsce i przywieźli mi zdjęcia zrobione przy kamieniu częstochowskim w Treblince, na moją prośbę. Każdy z moich sześciu wnuków pojechał ze szkołą i każdego prosiłam: „przywieź mi swoje zdjęcie przy kamieniu z napisem »Częstochowa«”.

Kiedy jechali prywatnie, w pierwszej chwili trochę się bałam, ale jak się dowiedziałam, że to jest cały cymes, że oni tam wystąpią na Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie i osobiście spotkają jego organizatora Janusza Makucha, to się uspokoiłam. To jest próba pokazania Żydów w innym świetle, cieszyłam się, że oni są tego częścią. Muzyka i śpiew to język, mowa, która łączy – może być wspólna, podobna, korzystająca z siebie nawzajem i na siebie nawzajem wpływająca, ponad podziałami. Tak jak napisałam to już, widzę w tym rodzaj naszego zwycięstwa.

Chociaż z drugiej strony, jeśli chodzi o te wycieczki Izraelczyków do Polski na zakupy czy turystyczne zwiedzanie, wydaje mi się czasem, że to się dzieje za szybko. Do Hiszpanii Żydzi nie jeździli ponad czterysta lat po tym, jak wydano dekret o ich wypędzeniu i odwołano go dopiero w 1968 roku. A tu nie minęło nawet sto lat, a Izraelczycy latają tam na zakupy i fakt, że to jest Polska, nie ma dla nich często znaczenia! Jedzie się na zakupy tam, gdzie jest taniej! Może powinno się jeździć do Berlina



Zdjęcie 26. Okładka zbioru opowiadań *Osmaleni* z informacją o nominacji do Nagrody Literackiej Nike (Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 1999).
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

i Warszawy na turystyczną wycieczkę pod hasłami: „obejrzymy sobie meble, sztuce, srebrne lichtarze, porcelanę naszych babć”? Z drugiej strony, co taka dziewczyna, której tata jest z Iraku, a mama z Włoch, jest temu winna?

Ma pani kontakt ze swoimi czytelnikami w Polsce? Otrzymuje dużo listów?

Dzięki Facebookowi tak. Piszą do mnie na prywatnym profilu i na autor-skim. Czasem dzielę się przemyśleniami, uczuciami po przeczytaniu moich książek, czasem proszą o krótki wywiad do ich prac magisterskich, licencjackich, a nawet doktorskich. Jeden z listów, który otrzymałam, wyjątkowo mnie poruszył; proszę posłuchać:

Szanowna Pani Irit, Droga Pani Ireneo,
Przeczytałem Pani książkę *Osmaleni* i pierwsza myśl, która mi przyszła do głowy to ta, że JESTEM ŻYDEM! Te słowa spłynęły nagle, same, spontanicznie i bez jakiegokolwiek udziału mojego umysłu. Byłem wówczas nimi zaszokowany i podobnie jak dzisiaj, pisząc do pani ten list, jestem ciągle jeszcze zaszokowany. A żeby miała Pani prawdziwy obraz mojej osoby, pragnę wyznać, że Żydem nie jestem. [...] po przeczytaniu Pani książki wręcz fizycznie poczułem się osmalony. [...] właśnie taka forma stanowiła dla mnie o sile ich przekazu. By mówić o bolesnych doświadczeniach nie trzeba ani elaboratów, ani wielkich słów. A Pani dokonała tego w sposób genialny!

Widzę, jak ludzie identyfikują się z tym, jak płaczą – to widocznie te książki mają siłę!

Ostatnio dostałam e-maila z kilkoma listami podziękowań od uczniów, którzy rozmawiali ze mną przez Skype'a z inicjatywy Agaty Patalas, po lekcji przez nią przeprowadzonej.

Co pisali?

Przeczytałem: „Droga Pani Irit Amiel, niesamowita jest moc Pani słów, tych mówionych i tych pisanych, które zostaną w mojej pamięci już na zawsze”. Albo: „Pani twórczość dała mi zupełnie nowe spojrzenie na temat Zagłady, można by rzec – otworzyła oczy. Tak jak nas Pani prosiła na końcu rozmowy – nie zapomnę!”; „Czytając Pani opowiadania, miałam szansę lepiej zrozumieć, jak ogromny wpływ wojna miała na wszystkich

ludzi. Chciałabym Pani podziękować za napisanie tej książki i danie nam możliwości, by pamiętać o tym, co się wydarzyło”.

Jakie znaczenie mają dla pani ich słowa?

Wielkie znaczenie! Ogromne! To jest właśnie pamiętanie! Uczniowie, którzy wcześniej mnie nie widzieli... Czuję wzruszenie tym, że tak ich to poruszyło i że miałam okazję przenieść ponad latami i ponad głowami jakieś pojęcie o tym, co się z nami, europejskimi Żydami, działo na kilkadziesiąt lat przed ich urodzeniem na tej samej ziemi.

Prowadzi pani dość bujne życie towarzyskie, a jednocześnie nazywa się mizantropką. Jak to się daje pogodzić?

Jestem współczesną mizantropką, która lubi ludzi, ale na krótką metę i z daleka. Człowiek to też jest taka książka, którą trzeba przeczytać, zrozumieć i wymienić w bibliotece życia. Jak ktoś jest u mnie, to cała jestem pełna myśli: „Co teraz mu trzeba? Co mam teraz zrobić dla niego? Czego potrzebuje?”. Ponieważ wchodzę w to całą sobą, muszę potem odpocząć.

Nie czuję, że jestem sama – jest telefon, jest Facebook, dzięki któremu zaprzyjaźniam się z wieloma osobami i docieram do wielu ludzi, nowych informacji i tekstów. Mogę opowiedzieć pani trochę więcej o Facebooku?

Bardzo chętnie posłucham!

Tak się składa, że zamykam koło mojego życia jako Izraelka pochodząca z Polski. Tak jak śpiewa mój nowy znajomy Artur Rojek: „Składałam się z ciągłych powtórzeń”, stale piszę właściwie o jednej sprawie.

I nagle w moim życiu staje się coś nadzwyczajnego – umożliwia się mi codzienny kontakt z całym światem. Jednak coś się zmienia na lepsze dzięki Steve'owi Jobsowi i Markowi Zuckerbergowi, i dzięki cierpliwości mojego wnuka, i mojej polszczyźnie. Jeszcze zdążę wskoczyć na tę furmankę i wykorzystać ją, na ile pozwoli mi mój starzejący się umysł. Codziennie rano, nie ruszając się z fotela, jestem na bieżąco z moimi przyjaciółmi w Polsce i z ludźmi na całym świecie, których często na oczy nie widzę. I tak okazuje się, że człowiek rzeczywiście nie jest niczym innym, tylko odbiciem swojego ojczystego krajobrazu, a ja się rodzę

prawie dziewięćdziesiąt lat temu w żydowskim domu, na pół zasymilowanym, w katolickiej Częstochowie! Takie sprawy zbliżają; gdyby ich nie było, ten powrót nie mógłby być możliwy na taką skalę. Tam zbiegiem okoliczności zostaną przy życiu, kiedy szalony Führer postanawia przy milczącej zgodzie całego świata tanio zagazować i doszczętnie spalić najinteligentniejszy naród na świecie, „a w niebiosach miłosierni bogowie, ten żydowski, chrześcijański, muzułmański i buddyjski, zatykają sobie uszy wacianymi obłokami i odwracając dostojne głowy, popijają powoli nektar i ambrozię”¹⁵⁵.

Starość ma także swoje dobrodziejstwa. Nie trzeba latać cały dzień samolotami, nie musi się być na każdym spotkaniu, osiąga się jakiś spokój i można dużo czytać. A ja bardzo lubię czytać! Na starość teraz najnaturalniej mi z łacińskimi literami, które same wpadają mi w oko. Czytam oczywiście to, co warto, po hebrajsku, a czasem i po angielsku. Poznałam też panią – jest mi pani trochę wnuczką, a trochę sekretarką, i jest między nami dobra chemia.

Lubię być *au courant*, a do tego Facebook jest cudowny.

Na Facebooku prowadzi pani *de facto* dwie strony.

Jedna jest autorska, formalna, a druga prywatna. Mieszkam w Izraelu i w wieku prawie dziewięćdziesięciu lat stałam się osobą publiczną, do wypożyczenia. Ludzie piszą mi: „Irit, jestem w Izraelu, muszę wpaść choćby na chwilę cię uściskać”.

I wpadają?

Pewnie! Gdybym otworzyła drzwi na oścież, to by wciąż byli goście. Oni czują się ze mną za pan brat. Robimy sobie razem zdjęcia i wrzucamy na Facebooka.

Wszystkich poję wódką i zabieram do parku, bo tam jest piękna emigracja ptaków. Czasem można zobaczyć bociany, jak lecą z Polski do Afryki, dudki, choć rzadko, bo to straszne snoby, i różne inne kaczki, żurawie i czaple, które przelatują przez park, a czasem gubią stado i zostają na całą zimę czy lato.

W piątki przychodzą tam tylko arabskie rodziny, wszyscy ładnie, sportowo ubrani, dzieci wyposażone w jeżdżące zabawki, robią sobie grilla.



Zdjęcie 27. Irit Amiel w swojej pracowni, maj 2020 roku.
Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

W sobotę przychodzą niereligijni Żydzi, którzy wyglądają dokładnie tak samo. A w tygodniu jest różnie, wszyscy razem.

Co napisała pani ostatnio?

Izraelskie wesele. Opowiadanie o ślubie mojego piątego wnuka. Na zamówienie „Lamalo”, żydowskiego niszowego pisma, do ich najnowszego numeru o nadziei.

Co napisała pani o nadziei?

Proszę posłuchać tego fragmentu:

Ślub odbył się bez rabina, bez tradycyjnych żydowskich siedmiu błogosławieństw i bez rozdeptywanego kieliszka, ale w towarzystwie przyjaciół i rodziny. Tak to jest w Izraelu 2019, ponieważ wszyscy są świadomi, że jeśli dojdzie do rozwodu, to i tak trzeba będzie »tańczyć na schodach rabinatu«.

Młoda para oczywiście nie była ubrana tradycyjnie. Panna młoda nie miała ani welonu, ani białej sukienki. Nosiła różową z dużym dekoltem. Pan młody był ubrany w garnitur koloru koniakowego, białą koszulę bez krawata i żółte skarpetki.

Uroczystość prowadziła przyjaciółka młodej pary ubrana w czarny *over-all* z gołymi plecami, która po podaniu obrączek życzyła im dużo szczęścia w konkubinacie. [...]

Irra [...] zacytował słowa piosenki swojego kolegi, Ilona Koracha:

Życ

Ja chcę żyć,

Ja mogę żyć,

I Ty też możesz też

Życ ze mną jeśli mnie wybierzesz

My nie umrzemy

My nigdy nie umrzemy

Ja i Ty

Jesteśmy tu, żeby zostać...

Potem DJ puścił muzykę kolegów Irry z płyty *Mleko Ojca*.

Coraz więcej jest takich ślubów w Izraelu – bez tradycyjnych siedmiu błogosławieństw, bez tłuczonego kieliszka, bez zdania: „Jeruzalem, jeśli

zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica”, i bez rabina – tym samym nieuznawanych oficjalnie przez państwo. Czy myśli pani, że pomimo odejścia od tradycji, od religii żydostwo przetrwa w Izraelu?

Pewnie! Nawet Żydom, którzy na co dzień nie utożsamiają się z żydostwem, wystarczy rzucić: „parchaty Żyd”, i od razu widać, jak się czują i jak to na nich wpływa. Im bardziej nas nienawidzą, tym bardziej się czujemy Żydami i z żydostwem się utożsamiamy!

Przyznała pani, że „ciągle są historie, które się pchają”.

Cały czas są jakieś historie! Proszę posłuchać na przykład tego: moja córka malarka spotykała na ławce przed swoim domem starszawego chasyda Gur, który siadywał tam, wracając z synagogi, i popijał swoją pierwszą dzienną porcję wódki. Po kilku tygodniach, wychodząc na ulicę, odezwała się do niego: „Ty sobie tak siedzisz na tej ławeczce i myślisz, że na ciebie z góry patrzy Stwórca Świata, ale to tylko ja na ciebie patrzę z mojego balkonu”. I tak się zaczął romans między nimi, w czasie którego okazało się, że i on jest artystą, malarzem, a jego błogosławionej pamięci matka urodzona w Częstochowie, a pochowana w kibucu Na'an, i moja babcia Udl urodzona w Częstochowie i spalona w Treblince noszą to samo panieńskie nazwisko: Kałużyński! No czy to nie są współcześni Romeo i Julia?

To wszystko jest z takiego ostatniego miejsca na dachu, z którego się już odlatuje, dlatego widzi się pewne sprawy inaczej... Ciągle jeszcze nie stawiam kropki nad i, jeszcze jest kilka spraw niedopowiedzianych, chociaż i niekoniecznie, ale tego nie muszę zabierać tam ze sobą, bo tam nie jest to nikomu potrzebne.

Od czasu wydania ostatniej książki, czyli dwujęzycznej antologii mojej poezji z 2016 roku, nie napisałam tak naprawdę wiele. Oprócz *Izraelskiego wesela* są to dwa opowiadania: *Do Marylki* i *Lekcja pamięci*, opowiadanie sfastrygowane na kanwie książki Mieczysława R. Frenkla *To jest morderstwo*, którą *nota bene* swego czasu przełożyłam na język hebrajski.

Co skłoniło panią do tego, by po tylu latach wrócić do Marylki, pani przyjaciółki z częstochowskiego getta?

Odpowiem fragmentem samego opowiadania:

Otóż kilka dni przed naszym lotem z Tel Awiwu do Warszawy, w związku z publikacją mojej autobiografii *Życie – tytuł tymczasowy*, przedstawi mi się na fejsie niejaka pani Anna P. Ona wraz ze swoją mamą, jako krewne twojej częstochowskiej rodziny, pragną przyjść, żeby wziąć udział w moim wieczorze literackim i przynieść mi prezent – twoje zdjęcie. A więc przyjdą i przyniosą powiększone i pięknie oprawione twoje zdjęcie z dużego getta, dzieląc się ze mną nową informacją o tobie, że prawdopodobnie byłaś aryjskim dzieckiem adoptowanym z domu sierot. Podziękuję im ze wzruszeniem. Córka i ja pieczołowicie zapakujemy tę starą, 70-letnią fotografię z dużego getta w nowej oprawie. Zabierzemy cię samolotem El Al z Warszawy do Izraela. Ubraną w ciemne, ciepłe, przyzwoite zimowe palto, kokieteryjny berecik na bakier i porządne buty postawi cię Dita, moja córka, która się w tobie zakocha, u siebie na biurku i oznajmi mi uroczyście, że Marylka pozostanie u niej. Patrzę i myślę, że wkrótce odejdę sobie na zawsze, bo piasek w mojej klepsydrze zsuwa się zgrabnie i szybko w dół, a ty, uśmiechnięta od ucha do ucha, bo jakiś gettowy urwis robi do ciebie oko, będziesz się nadal przyglądała ze starej częstochowskiej gettowej fotki moim prawnukom i wnukom Dity, stojąc spokojnie na biurku w jej telawivskim, zalanym słońcem mieszkaniu¹⁵⁶.

„Przecież nawet ja pamiętam jak dziś, że po akcji w dużym getcie w Częstochowie chodzi się po zdjęciach, a nie po chodniku. Zdjęcia stają się najbardziej zbyteczną rzeczą”¹⁵⁷ – napisała pani z kolei w opowiadaniu *Lekcja pamięci*.

Chodziło się wtedy nie tylko po zdjęciach, chodziło się po pierzu z poduszek i pierzyn, po szmatach, po obrazach, po wszystkim, czego nie można było jeść! A jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt lat później te same zdjęcia będą warte fortunę.

Jakie znaczenie miało dla pani to, że uczniowie w Polsce uczyli się z *Osmałonych* o Holokauście, jak i to, że opowiadania te ostatnio wycofano z listy lektur? Pani nie chodziła do szkoły, ale za to trafiła tam pani książka.

Tak jak powiedziałam na spotkaniu w Częstochowie: „żeby moje opowiadania stały na waszych półkach między waszymi książkami”. To było dla mnie bardzo ważne! Pomyślałam, że szkoda, że zabrali ją z listy lektur, ale

z drugiej strony minęło trochę czasu, zdążyłam zaprzyjaźnić się z wieloma młodymi ludźmi w Polsce, w Częstochowie. Trzecie pokolenie po wojnie nie wiedziało, ile było przed wojną Żydów w miastach, miasteczkach i wsiach. I nagle uczą się z moich opowiadań! A ja opowiadałam to, co sama pamiętałam i co opowiadali moi przyjaciele, po polsku, bo lubię, ale też: bo chcę, żebyście czytali – wy, którzy nie wiedzieliście, jak wyglądaliśmy.

Podwójny krajobraz zadedykowała pani „Waszym i naszym wnukom, którzy tak mało wiedzą jedni o drugich”¹⁵⁸.

Przecież ja widziałam, ile wiedzą moje wnuki... Chociaż ostatnio jeden z nich powiedział: „*Safta*, czytałem twoją książkę i płakałem”. A najmłodszy przyszedł z kolegą, który jakiś czas przebywał w Polsce, więc zna trochę polski, i od razu wyciągnął *Osmalonych* po hebrajsku, i dał koledze, bo jego babcia też jest z Szoa.

Ale nikt nie zwrócił na to uwagi, chyba pani pierwsza mnie o to pyta. Ważne jest dla mnie, żeby wiedzieli, żeby z moją książką wiedzieli więcej, żeby choć na chwilę może znaleźli w sobie empatię. Nie wiem, czy to się udało, ale czuję, że na tyle, na ile mogłam, zrobiłam swoje, wyrzuciłam to z siebie i zwróciłam tam, gdzie należało.

Dla kogo pisze pani najbardziej?

Zdaje mi się, że najbardziej dla siebie, a potem dla innych. Może dla tych dwóch pokoleń młodych Polaków, którym nawet nie opowiedziano, że kiedyś byli tam Żydzi, których w końcu Niemcy wykończyli. A to jest akurat po polsku, przecież to jest dla ucha polskiego czytelnika. Niech czytają, może dzięki temu nie będzie kolejnego pogromu?

W Izraelu jest Jad Waszem i każdy, kto ma coś do powiedzenia na ten temat, zwraca się do nich, a oni już pękają, tyle mają materiałów. I każdy ma swoje drzewko. Tylko na razie nie ma jeszcze drzewek dla szmalcowników, kapusiów i wojennych skurwysynów. Jakby każdy wtenczas w Izraelu, kto ma za sobą swoją Szoa, dostawał nagrody, to trzeba by płakać całą noc, a my chcieliśmy całą noc tańczyć!

Zaraz po wojnie nie mogłam w ogóle pisać, wychodziły z tego czasem straszne rzeczy, coś na granicy pornografii. Potrzeba mi było dużo czasu, który ostudza histerię i stwarza perspektywę. Hebrajski nie był wtedy

dość dobry, a po polsku nie mogłam wtenczas pisać, więc tłumaczyłam i przekładałam. A kiedy już byłam w stanie pisać wiersze po hebrajsku, zauważyłam dziwny fakt, że tak długo, jak ich nie ma po polsku, wyglądają, jakby nie były napisane, jakby były nieskończone. Musi być wszystko w obu językach. Nie mogłam też pisać, dopóki resztką mojej rodziny mieszkała w Polsce. To czas żelaznej kurtyny oddzielającej nas od was. W ogóle pisać o Szoa jest najłatwiej po polsku, bo w tym języku się ona działa i nadal jest w powietrzu.

Pisanie przyszło mi niespodziewanie lekko. Wszystko we mnie było już dawno zapisane i trzeba było tylko otworzyć tę bramę, żeby ich wypuścić stamtąd. Wobec tego musiałam długo milczeć, żeby przecież zbudować i stworzyć mój świat, moje świetne małżeństwo, moją hebrajską rodzinę zbudowaną tu, w zaadoptowanej ojczyźnie.

Pisanie tych książek jest w pewnym stopniu spłacaniem długu za moje dobre i długie życie. Spłacam jakiś dług, pisząc wciąż o tych samych latach drugiej wojny światowej z mojego skromnego, samotnego miejsca: o tym, co wtenczas widziałam, co słyszałam, co czułam, nad czym panowałam, a nad czym nie.

Komu spłaca pani ten dług?

Cieniom.



Zdjęcie 28. Irit Amiel podczas sesji zdjęciowej w Tel Awiwie, 2019 rok.
Fot. Ira Raviv

Irit Amiel:

Te pani pytania...

Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein:

*Jak to pani mówi: wyciskam panią
z „nadziejaniem”?*

Irit Amiel:

*Mało powiedziane! Depcze mi pani
po odciskach! Ale ja odpowiem.
Na wszystko odpowiem.*

Na saberskich papierach

Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein: Opowie pani trochę o życiu kibucowym?

Irit Amiel: Nowi emigranci w odpowiednim wieku powinni byli pójść do wojska, ale przecież nie znali jeszcze hebrajskiego, żeby zrozumieć rozkazy. W moim kibucu nikt nie mówił po polsku poza dwoma chłopcami, którzy przeżyli Auschwitz. Ciągłe przyływały okręty z Cypru, to było jeszcze wszystko ciepłe, państwo dopiero powstawało, a krew obopólna jeszcze nie wyschła. Ale szli! I padali w walkach, często nie rozumiejąc rozkazów! Dziewczeta, nowe emigrantki, dostawały różne zadania. Na przykład w moim kibucu Beit HaShita posłano nas uzbrojonych, dwie dziewczyny i chłopca, w ramach rezerwy do świeżo zdobytej wioski, która była dosłownie naprzeciwko kibucu, by pilnować miejsca. Do dziś pamiętam ten zapach, charakterystyczny dla arabskich wiosek; był tam piec i unosił się jeszcze dym, widocznie mieszkańcy uciekli kilka chwil wcześniej. Pamiętam myśl przebiegającą mi przez głowę, kiedy stałam tam z bronią na ramieniu, której w ogóle nie potrafiłam używać: „wszystkie wojny wyglądają tak samo! To jest tu, ale to jest tak podobne do tego, co było tam! Ja też nie mogę wrócić do mojego domu, tak jak ci mieszkańcy tej wsi nie mogą wrócić do swoich!”.

Tak właśnie myślę, że wszystko się toczy i zatacza koło. Kiedyś to my byliśmy ofiarami świata, Niemców, Europy, bezdomni, pięć minut po Szoa, wygnańcy i wczorajsi uchodźcy, których nikt nie chciał przyjąć. Czy ktoś wziął pod uwagę, że kogoś wyrzucą z domu, ktoś nie będzie miał co jeść? A czy nam wtedy z kolei Ameryka otworzyła swoje Los Angeles? Oni, którzy podczas wojny siedzieli tak cichutko!

Dlatego że myśmy dostali tak w dupę, postanowiliśmy zmienić świat i postanowiliśmy, że już nikt nigdy nie uderzy bezkarnie Żyda! I dlatego

20 me

Fifth batch of children yepi 57 57

THE JEWISH AGENCY FOR PALESTINE
Immigration Department

הסוכנות היהודית לארץ-ישראל
מחלקת העליה

CERTIFICATE No. 23/57 תעודה מס'

Name LIBROWITS זאקא

Date of Birth 16 יום ההולדת

Sex F המין

Refugee Ship Hatikva אנית המעפילים

Camp No. 68 מחנה מס'

Date of departure from Cyprus 19/12/1947 יום היציאה מקפריסין

Signature of the Representative חתימת הנציג
Famagusta 18/12/1947 פמגוסטה

9.47-4000-003282.1 מופס

Zdjęcie 29. Jeden z pierwszych dokumentów przyznanych Irit po przybyciu do Palestyny w 1947 roku. Zawarto w nim informację, że Irit przyłynęła na statku *Hatikva* (Nadzieja) i przebywała na Cyprze w obozie nr 68. Ze zbiorów właścicielki, Ramat Gan, 2020 rok. Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

jestemy tacy chucpowaci i pewni swego. Przyzwyczajeni od pokoleń, że są ofiarami, stali się Żydzi zwycięzcami w Izraelu!

Pierwszemu pokoleniu europejskich syjonistycznych Żydów, którzy przyjechali budować na tej pustyni inne życie, żydowskie życie, mówiono, że są nowymi Żydami. *Eli urodził się z morza* – to znaczy, że niczego nie było przedtem! Ani sztetla w Polsce, ani mówiącego po żydowsku wujaszka.

Uważa pani, że stąd się bierze ta słynna izraelska chucpa? Z tego, że przez lata Żyd musiał siedzieć cicho, nie wychylać się, uważać, bać się pogromów? Z tego stłumionego głosu pokoleń, który wreszcie może wydostać się wolny?

Pewność siebie, duma, przekonanie, że wyłącznie oni mają rację. To, że Izrael istnieje, to jest cud! Tu nie było w ogóle warunków, była tylko święta Jerozolima! Pewnego pięknego dnia do sześciuset tysięcy kibucników przy płynęło milion ocalańców wojennych, w tych czapkach – nie wiedziano, co z nimi zrobić, więc dano im pracować.

Kto nie szedł do wojska, pracował cały dzień, od wschodu do zachodu słońca.

Pani też?

Pracowałam w polu przy plewieniu, winobraniu, przy sadzeniu drzew, przy warzywach w nienormalnym kibucu. Już byłam po polskich wsiach, nie było mi już ciężko. A dziewczynom, nowym hebrajskim koleżankom, opowiadałam filmy, które pamiętałam z dzieciństwa i które widziałam w obozach dipisów w Niemczech, we Włoszech.

Dlaczego w „nienormalnym” kibucu?

No bo czy to jest normalne, że człowiek pracuje od świtu do nocy i nie dostaje za to pieniędzy? To normalne życie było jednak nienormalne.

Czy dlatego pełna chęci zmieniania świata „stara socjalistka”, jak pani mówi o sobie, mimo wszystko podjęła decyzję o opuszczeniu kibucu?

Nie. Chuzy właśnie wtedy stracił matkę. W domu rodzinnym zostawił ojca, brata i dwie siostry. Po śmierci żony ojciec zaczął mu mówić, żeby przestał pracować „za darmo” w kibucu i wrócił do domu wspomóc



לשכת העבודה הכללית לפועלי (א)ים
 המשפחה
 חורון
 השם
 יואל
 שם האב
 יצחק
 המספר
 12/10/1951
 המצב המשפחתי
 1951
 שנת הלידה
 23. 12. 1921
 הכתובת
 923404
 מס' פנקס הויהוי

מספרו ברישום
 26/14
 1951

רישום חוסר עבודה חדשי
 (הדבק כאן את תוף החדשי)

הוראות

- (א) על כל מחוסר-עבודה להרשם בלשכה בשעות הקבועות לפני-הצהרים, תאריך בלתי-חתום לא יחשב כיום חוסר עבודה.
- (ב) על כל דורש עבודה להופיע בלשכה בימים ובשעות שחרשם יקבע לו.
- (ג) חלוקת-העבודה נעשית לפי חוקת הלשכה ע"י ועדת-התור. על המצטרפים לפנות לוועדת-צירעורים שע"י לשכת-העבודה.
- (ד) המוסר פרטים בלתי-נכונים בנוגע: השם ומצב המשפחה, יופסק רשומו בלשכה.
- (ה) הלשכה תנקוט באמצעים עד להוצאה מהלשכה, נגד כל פועל שימסור את סודר העבודה שלו לפועל אחר או מחיקת שם ושנוי ברישום בתוך הפנקס.

Fift
 THE JEWISH AGE
 Immigration
 Name
 Date of Birth
 Sex
 Refugee S
 Camp No
 Date of
 L
 F
 A
 ngliko's

Zdjęcie 30. Dokument potwierdzający przynależność Irit do pracowniczego stowarzyszenia w Ramat Gan. Ze zbiorów prywatnych właścicielki, Ramat Gan, 2020 rok.
 Fot. Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein



Zdjęcie 31. Irit w pierwszych latach po przyjeździe do Palestyny, ok. 1947 roku.
Fotograf nieznany

rodzeństwo – jego siostry się wtedy uczyły. Nie było wyjścia, przeprowadziliśmy się, żeby pomóc rodzinie Chuzy'ego.

Gdzie mieszkaliście po wyjściu z kibucu?

Mieszkaliśmy w warunkach bardziej niż ciężkich, w jakiejś przybudówce, w której właściciel podłączył wodę i światło. Byliśmy biedni, prawie nic nie mieliśmy, ale byliśmy bardzo szczęśliwi, nie wiem jak. Odwiedzali nas przyjaciele z kibucu, dzieliliśmy się z nimi tym, co akurat mieliśmy do jedzenia. Jedną z rzeczy, którą mieliśmy, była lodówka. A to nie było takie proste wówczas! Codziennie przejeżdżał ulicą lodziarz i słysząc było okrzyki: *kerach! kerach!*, czyli: „lód, lód, kto chce lodu?”. Kupowało się pół czy ćwierć kilo i wkładało do szuflady w lodówce, tak utrzymywało się jedzenie w chłodzie. Kiedy urodził się Oni, cały kraj zmagał się z plagą szarańczy, pamiętam, jak dużo jej było na naszym podwórku. Wyprowadziliśmy się stamtąd dopiero, kiedy lekarz powiedział nam, że dziecko będzie chore na gruźlicę z powodu wilgoci w domu. Przeprowadziliśmy się do ojca Chuzy'ego. Od niego nauczyłam się dobrze gotować, zwłaszcza potrawy bliskowschodnie, których nie znałam przecież. On już wtedy był wdowcem. Stamtąd przeprowadziliśmy się do własnego dwupokojowego mieszkania w Ramat Chen. Wylosowaliśmy mieszkanie, którego dużo ludzi nie chciało ze względu na lokalizację – było zaraz obok szkoły. Tam przyszła na świat Dita, a kiedy Oni poszedł do pierwszej klasy, przeprowadziliśmy się do tego domu, w którym mieszkam do dziś.

Nie wiedziałam dużo o małych dzieciach – jestem jedynaczką, która nigdy nie chodziła do szkoły – kiedy więc dzieci były małe, żeby jakoś je zrozumieć i się z nimi utożsamić, chodziłam czasem godzinę dziennie na kolanach. Chciałam wtedy widzieć świat jak one, koniecznie zobaczyć, co one widzą z takiej perspektywy. W ogóle nie wydawało im się to dziwne, a ja tak mogłam sprawdzić, jak dzieci widziały świat.

Bała się pani, jak byli w wojsku?

Strasznie. Cały ten okres byłam dumna, ale nie spałam po nocach. Cały czas miałam w głowie to, jak mój mąż nas widzi, jak oni, sabrzy, nas widzą, i myślałam sobie: „przynajmniej to nie jest umierać jak barany”. To było bardzo trudne.

Ale po wojsku chłopcy stają się facetami do rzeczy. Kiedy Oni służył w wojsku, mąż zawsze umiał się dowiedzieć, gdzie znajdowała się jednostka jego syna i dotrzeć tam z wałówką.

A Dita?

Dita miała bardzo ważną funkcję społeczną. Żołnierze przychodzili do niej ze swoimi problemami, była taką pracownicą społeczną, psychologiem. Przytyła ze stresu ponad dziesięć kilo, potem się odchudzała. Wysyłano ją do rodzin żołnierzy. Na przykład były żniwa, żołnierz prosił, by go zwolnić na jakiś czas do pomocy, Dita jechała tam sprawdzić sytuację. Nie wszędzie były telefony, a na miejscu najczęściej okazywało się, że rodzice wcale nie potrzebowali pomocy i prosili, żeby syna zostawić w wojsku, bo oni w domu potrzebują pieniędzy.

Matki w Izraelu żyją nadzieją, że ich synowie nie będą musieli już służyć w wojsku, bo będzie pokój.

Każde pokolenie tak mówi. A pokoju nie ma. Matki najczęściej są jednak dumne. A w rodzinach z jednym dzieckiem synowie często wymuszają na rodzicach zgodę na służenie w jednostce bojowej. I są przypadki, że ci synowie, jedynacy, giną potem. To trzeba zrozumieć: my poświęcamy w tym Izraelu naszych kochanych, cudownych, zdrowych, pięknych i bohaterkich synów i wnuków tak samo, jak w Krakowie rzucono smokowi dziewice! Robi się to po to, żeby tu się dało żyć, żeby pani dzieci i moje prawnuki mogły tu spokojnie żyć, dorastać, spokojnie chodzić sobie do szkoły. „Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani...”. To jest cena tego, że jest żydowski kraj, że jak w Etiopii jest źle etiopskim Żydom, to mogą tu przyjechać. To będzie im źle tu!

Jak nie ma wojny i nic się im nie dzieje, to taki młody człowiek wychodzi z wojska jako prawdziwy *mensch*¹⁵⁹.

Jak wyglądało życie dzieci w kibucu w latach pięćdziesiątych?

Na początku dzieci mieszkaly razem, uczyły się razem według klas, spały razem i jadły razem – miały swój wspólny dom. Dostawały najlepsze pożywienie, na jakie można było sobie pozwolić. Pamiętam kuchnię dla dzieci w jednym z kibuców, tam się gotowało osobno dla nich. Szła kucharka z wielkim garem i mówiła: „to jest dla dzieci! Ta śmietanka jest tylko dla dzieci!”. Wszyscy byli dla siebie niemal jak rodzeństwo. Każdy

miał rodziców z pokoikiem, dokąd się przychodziło po południu na tzw. *sha'at ahava*, czyli godzinę miłości, godzinę rodzinnych czułości. Do południa rodzice byli w pracy. Zamiast każdej matki zajmującej się osobno dzieckiem, osiem matek pracowało, a jedna zajmowała się dziewięciorgiem dzieci. To był wymóg finansowy! Teraz się robi z tego wielką psychologię, ale to nie było wcale takie złe! Najlepsi lekarze, dyrektorzy szpitali wyszli z kibuców!

Moje dzieci dorastały poza kibucem. Nie pamiętam, ile dokładnie było dzieci u Onika w klasie, ale Izrael przeżywał wtedy *boom* urodzeniowy, więc był problem z miejscem, dzieci uczyły się często na zmiany. Brakowało i wyposażenia, i nauczycieli. Nie chodziło tylko o wojnę, to był też wysięg z Arabami, którzy mieli gromadki dzieci.

Za to moja czarująca synowa, wnuczka inżyniera Roznera i tłumaczki Braille'a rodem z Krakowa, dorastała w kibucu Mizra. Pamiętam, jak na początku związku z Onikiem mówiła z przekąsem: „No i moje dzieci będą chodzić z tornistrami do szkoły, ha?”.

W kibucu dzieci nie miały tornistrów?

Nie! Przecież mieszkały razem, miały swoje szufladki, tam sobie wszystko chowały, a jak przychodził wiek szkolny, to przechodziły tam się uczyć. Tam wszystko było! Moja synowa bardzo tęskniła po wyjściu z kibucu do swoich stron rodzinnych. Kibuc Mizra znajduje się na północy Izraela, w Dolnej Galilei, otoczony górami, a nieopodal przepływają strumienie, dookoła są rozległe pola, raz zielone, raz żółte, zależnie od pory roku.

Co dziś zostało z pięknych idei kibucowych? Czy można powiedzieć, że się nie powiodło?

Genialny pomysł, ale faktycznie, nie powiodło się! Nie udało się, bo jak człowiek nie musi być altruistą, nie stara się o to. To życie społeczne jest też trudne, trzeba być czasem z żelaza, żeby sobie dać z tym radę, ze wspólnotą, z tym, co się mówi o dziecku – tam się wszystko słyszy i wie! Do dziś dnia są kibuce i młodzi ludzie dają sobie tam radę, ale jak się jest młodym, człowiek nie zdaje sobie sprawy z wielu rzeczy. Kiedy przyjechałam w 1947 roku, byłam oczarowana ideą kibucu – gdy widziałam, jak ci młodzi ludzie wyszli ze swoich skromnych, nowo otrzymanych pokojów dla nas, ocalałych¹⁶⁰, po tym, jak sami cały czas

mieszkali w namiotach i nie rozumieli tak naprawdę, co to jest Szoa, i dali nam przez jakiś miesiąc jeść całe jajko, kiedy oni jedli po pół – to mnie zaczarowało! Sartre mówił, że piekło to inni.

Myślę, że to, co złamało kibuce, to fakt, że jednak nie wszyscy są równi. W końcu ci inteligentniejsi zrozumieli: czemu oni mają harować, jak inni robią mniej!

Powiedziała pani o pierwszym pokoleniu emigrantów, że miało stać się „nowymi Żydami”. Jaki miał być założenia ów „nowy Żyd”?

Przede wszystkim ma fizycznie „wyglądać” – wysportowany, muskularny, opalony, ma lubić naturę, wycieczki, nawet kobiety, to mu wolno, *tzabar*, sabra! Owoc kaktusa z kolcami na zewnątrz, soczysty i słodki wewnątrz. Odważny, silny, poradzi sobie ze wszystkim i, przede wszystkim, potrafi się sam obronić. Żydzi nauczyli się jednego z Zagłady: że Żyda już nie można tak po prostu zabić, a on posłusznie będzie się kładł, że nie będzie się go wyzywać, poniżać. Dlatego my jesteśmy tacy militaryści, bo nie wolno, żeby nastąpiło jakiegokolwiek powtórzenie tej krwawej lekcji europejskiej. To, co jest i w Wiedniu, i w Niemczech, wszędzie.

Kiedyś na plaży wskazała pani na dwóch młodych, opalonych, brodatych mężczyzn w samych spodenkach, grających w piłkę plażową, mówiąc: „Proszę zobaczyć, to jest nowy naród. To nie są Żydzi! To są Izraelczycy”. Czy powiodła się więc idea stworzenia „nowego Żyda”?

Moim zdaniem to się udało. Ten „nowy Żyd” to jest właśnie Izraelczyk – jego nie można bić, kopać, wyzywać, bo on reaguje tak, że już się odechciewa. Ma pewność siebie, w dużej mierze wyniesioną z wojska, która uczy, jak urządzić się potem w życiu; a częściowo z domu, z życia – że ma dać sobie radę. Jest zaradny, potrafi sobie poradzić ze wszystkim – w każdym kraju, do którego się uda. Dlatego kobiety się w nich zakochują, wydaje im się, że złapały Pana Boga za nogi. Tak ja się zakochałam i tak samo pani. To jest zakochanie się w obcości. Izraelczycy są inni.

Musi pani przyznać, że są piękni! Szkoda, że jestem taka stara! Co, nie mam oczu? Ta pewność siebie, przynoszona przez miejsce zamieszkania, którego się jest współnikiem, jest się za nie odpowiedzialnym; oni służą w wojsku... Oni są wychowywani tak, żeby sobie dać radę samemu!

Niemoc zamienić w moc to jest sedno Izraela i po to tu się przyjeżdża po wojnie, Szoa i pogromach.

Hołoty tu, jak na całym świecie, nie brak, ale jednak teraz czuję, że jestem tu w domu.

Pani mąż był taki właśnie? Sabra?

I to jaki! Sam zbudował firmę, w której teraz pracują jego syn i wnuki, również sabry – jedną z najważniejszych firm dla przyjeżdżających do Izraela turystów.

Znał ten kraj jak swoją własną rękę, ale Oni, mój syn, też tak go zna! Cały czas powtarza: „mamo, ty nie widzisz tego cudu, który tu jest! Co się dzieje na granicach, jak się załatwia sprawy!”.

Mój znajomy, Izraelczyk, który ożenił się z Polką, stwierdził kiedyś, że „izraelscy mężczyźni i polskie kobiety mają dobrą chemię”. Może coś w tym jest, bo zawiera się coraz więcej takich związków. Myśli pani, że Herzl⁶¹ przewraca się w grobie? Na Ulpanach hebrajskiego uczą się w dużej mierze nie Żydówki, a kobiety Izraelczyków, które przyjechały z różnych części świata.

Nie sądzę, żeby mu przeszkadzało, że Izraelczycy przywożą sobie kobiety z całego świata, bo on sam, zanim stał się syjonistą, był asymilantem, a przede wszystkim – był antyreligijny. Dopiero po Dreyfusie¹⁶² zaczął głosić potrzebę utworzenia państwa żydowskiego. Miłość jest zawsze silniejsza od nienawiści, a Żydzi są stosunkowo dobrymi mężami. Prawie nie piją. Kiedy ja przyjechałam do Kraju, było tu z kolei trochę żydowskich dziewcząt, które zakochały się w Anglikach, mimo że samych Anglików już prawie wtedy nie było. Wstydzono się tego i bardzo ostrożnie o tym opowiadano. Nazywano je *bogdot*, czyli zdrajczynie. Anglicy byli opaleni, nosili eleganckie mundury wojskowe, wygoleni, pachnący, dżentelmeni. Wyglądali trochę jak z filmów – to oczywiste, że pociągali kobiety. To były głównie romanse, ale niektóre kobiety wychodziły za nich za mąż, zostawiały wszystko, wyjeżdżały... Pamiętam, że mówiono, że jedną z nich była siostra Ariela Sharona, którą *nota bene* matka wydziedziczyła za opuszczenie kraju. Nie wiem, na ile to była prawda. Teraz można zakochać się w Angliku i nic się nie stanie, teraz nie wolno zakochać się w Arabie.

Ale młode Izraelki też są bardzo atrakcyjne. Wypieszczone, zadbane, pewne siebie.

A nie chucpowate?

Bardzo! Na przykład na pasach żadna nigdy się nie zatrzyma. Ta chucpa i ta pewność siebie to jest znowu druga strona tego, że się było ofiarą, że się było poniżonym, że się wstydzono.

A nie jest też tak, że wojsko wpływa na izraelskie kobiety? Że stają się właśnie chucpowate po służbie wojskowej? Stają się trochę takie jak mężczyźni.

Nie wiem, czy wojsko, czy życie, w którym mężczyzna jest taki mocny. Kobiety nie chcą być szmatami i materacami! Nie chcą robić wszystkiego, co należy do gospodarstwa, chcą się tym dzielić z partnerem. To nie jest podobne do małżeństwa, jakie znamy z przeszłości. Może to jest część tego cudu? Przecież nie wolno im było się uczyć kiedyś.

Świeckie Izraelki faktycznie dzielą się obowiązkami domowymi z mężami, ale ultraortodoksyjne Żydówki jednak ciągle zajmują się domem, chmarą dzieci i zarabiają na życie, żeby mąż mógł uczyć się Tory. To jest raczej ten obraz dawnego związku w Polsce, tradycyjnego układu.

Ja je spotykam w parku, one są bardzo zadowolone z życia, one się drogo ubierają, są eleganckie, zadbane, ich mężowie zarabiają duże pieniądze... Żadna nie chodzi obdarta... może tylko w Bnej Brak, ale i tam one są zadowolone...

Może są po prostu pogodzone z życiem, ze swoją rolą?

Może. Kiedyś w samolocie jeden religijny Żyd próbował mnie przekonać do mykwy i praw czystości w małżeństwie. Nie udało mu się, ale to nie znaczy, że ja nie widzę w tym mądrości. To nie musi, ale może spinać związek i często on trwa świeży wiele lat dzięki temu.

Pani już też się za dużo nie nauczyła tej chucpy izraelskiej, jak i ja się całe życie za dużo jej nie nauczyłam.

A mimo wszystko, jeszcze w ciągu pani pierwszych lat w Nowym Kraju, nie zabrakło jej chyba pani, skoro poszła pani do dyrektora szkoły, w której uczyła się Dita, by stanąć w jej obronie.

Nie wiem, skąd miałam wtedy taką odwagę.

Zaczął się od Onika, który był takim Doktorem Dolittle w naszej dzielnicy. Poza węzami mieliśmy właściwie wszystkie zwierzęta w domu, jakie mógł tylko znaleźć. Kiedyś Dita postanowiła zabrać do szkoły jego żółwia, żeby pokazać dzieciom. Nauczycielka jej go wyrwała, rzuciła o ścianę, a kiedy Dita zareagowała oburzona: „Co pani robi, przecież to bezbronne stworzenie”, ta wymierzyła jej policzek. Dita wróciła z płaczem do domu i to wystarczyło. Przecież ona nigdy w domu nie dostała klapsa! Natychmiast poszłam do szkoły i w gabinecie dyrektora podniosłam głos: „czy słyszeliście o Korczaku? O jego metodach pracy z dziećmi?”. Nauczycielka zaczęła płakać prawie, że jest już w podeszłym wieku, a ja powiedziałam jej, skąd przychodzi. Na końcu musiała przeprosić.

Mijają właśnie siedemdziesiąt dwa lata, odkąd zeszła pani w Hajfie z brytyjskiego statku, który przywiózł osmalonych z obozu na Cyprze.

My naprawdę wtedy sobie nie zdawaliśmy sprawy, jakim małym problemem dla świata było to, co się z nami działo w Europie. Syjonistyczni wysłannicy oszukiwali nas, że czekają na nas *iszuwim*¹⁶³ i pachnące pomarańcze. To strasznie naiwne wierzyć w to – co, ludzie mają pozamykać sklepy, bo Irenka Librowicz przyjeżdża do Palestyny? „Wszyscy byli odwrócenii”¹⁶⁴, pisał Hłasko i miał rację. Każdy odwrócony do swojego interesu! Nas potrzebowali wówczas jako siłę roboczą i do wojska. Każdy miał swój interes! Opisuję szeroko w mojej książce, jak nas tu przyjęli¹⁶⁵, ale w jednym zdaniu mogę powiedzieć: mniej więcej tak, jak my przyjmujemy teraz Filipinczyków, czyli „jeszcze jedna para rąk do roboty”. Może jeszcze tylko kilka frazesów o wielkiej żydowskiej jedności, w Europie i po drodze, bo przecież nikt nie był w stanie pojąć, skąd my przyjechaliśmy. Wielkiej miłości nie było, bo istniała szalona różnica kulturowa oraz finansowa. Podejrzewali nas nawet czasem o wiele najgorszych rzeczy, na przykład o współpracę z największym wrogiem, z Niemcami. Kiedy miałam zapalenie płuc i leżałam w szpitalu, jedna z pielęgniarek spojrzała na moje piersi i rzuciła z przekąsem: „co, bawili się Niemcy?”.

Nowi imigranci, jeśli mieli rodzinę, która mogła ich przyjąć, szli do rodziny, a jeśli rodziny nie mieli, udawali się do obozów przejściowych, które zimą, podczas deszczów zmieniały się w jedno wielkie nieszczęście, a i latem nie było o wiele lepiej. A z drugiej strony była zazdrość ze

strony sefardyjczyków w stosunku do nas, osmalonych, która się tylko pogłębiła, kiedy dostaliśmy odszkodowania, za które kupiliśmy sobie małe mieszkania.

Mówi się, że ten stosunek niechęci do osmalonych ze strony sabrów zmienił się po procesie Eichmanna. Ten odbył się w roku 1960, czyli kilkanaście lat po napływie ocalałych z Europy.

Tak, ten proces bardzo zmienił stosunek społeczeństwa izraelskiego do osmalonych. Już nie był to temat taki zupełnie obcy, nieznan, przerażający. A jak jednak wszystko się ze sobą łączy: razem z Chuzym w Palmachu służył Rafi, zwany przez wszystkich Śmierdzącym Rafim. Służyli w jednej jednostce w kibucu Ein Gew w czasie wojny wyzwoleniczej. A potem Rafi, kolega mojego męża, został jednym z porywaczy Eichmanna...

Ja wtedy zaczęłam się inaczej czuć. Stałam się bardziej pewna siebie i swojej przeszłości, swoich korzeni.

Bardzo mi zależało na tym, żeby być na procesie Eichmanna. Czułam, że dzieje się coś wyrównującego, że zemsta ma bardzo elegancki wyraz w tym wypadku. Tu były tłumy dziennikarzy z całego świata! Znajomy sabra z Jerozolimy załatwił mi wejściówkę na salę sądową. Tam się działy dzikie rzeczy! Było strasznie... Świadkowie codziennie opowiadali, jak mordowano im rodziny, dzieci, wszystko na ich oczach, jak ich maltretowano... Cała sala płakała i sędziowie też.

Widziałam go z bliska. Pan w czarnym garniturze i okularach. Siedział w szklanej, kuloodpornej budce. To była wielka ceremonia! Gideon Hausner, oskarżyciel, otwierając proces, powiedział, że staje tutaj nie tylko w swoim imieniu, ale w imieniu sześciu milionów zamordowanych europejskich Żydów, którzy nie mogą powiedzieć: oskarżam!

Byłam tylko na jednym dniu procesu; tylko wariaci mogli iść na wszystkie, na przykład poeta Chaim Gury, który napisał potem relację.

Czy po tych siedemdziesięciu dwu latach jest pani mniej naiwna?

Oczywiście! Tak jak obecnie większość tutejszych ludzi jestem cyniczna!

Mój syn zawsze powtarza: „Ty sama nie zdajesz sobie sprawy, jakim cudem jest Izrael!”. I nie będę tłumaczyć, czy to dlatego, że Pan Bóg słońcem nam wodę grzeje, a nasze rurki podlewają ryż u Chińczyków, a aplikacja Waze myli czasem amerykańskich kierowców. Albo że po wojnie sześciodniowej na świeżo zdobytych Wzgórzach Golan zaczęto uprawiać winorośle i produkować wspaniałe wino.

Wszyscy, którzy przybywają do Syjonu – i ci z Polski, i ci z Rosji, i ci z Damaszku, Maroka, Istambułu, Gruzji, Bagdadu i Addis Abeby – przyjeżdżają, bo nie mają lepszego miejsca dla siebie i swoich dzieci, a po nocach śnią o swoich opuszczonych domach, skąd ich siłą wyganiają. Tylko Ben Gurion chyba i grupa przedwojennych pionierów przyjechali do Kraju z miłości, a wielu z nich wróciło szybko do Europy, żeby tam zginąć u szalonego Hitlera. Nawet Herzl nie przyjechał żyć w Izraelu. Do Izraela nie przyjeżdża się z miłości, tylko z rozpaczy, a czasami z ciekawości. Nieraz też jako turysta, który ma zapewniony bilet powrotny, albo żeby zostawić starych rodziców w ich ojczyźnie, a samemu spróbować szczęścia w Oslo, Kopenhadze, Londynie, a najlepiej jak najdalej, w Ameryce.

Krażył tu kiedyś taki żydowski wic o pewnym Żydzie z Ameryki, który zakochał się w Kraju, będąc w Izraelu na wycieczce. Mówi: „co mi tam te setki książek, które mam w bibliotece, i te wszystkie płyty w kredensie, kiedy ja nie mam czasu tego słuchać”. Postanawia zrobić aliję. Jedzie do Los Angeles, sprzedaje wszystko, przyjeżdża do Izraela, przyjmuje izraelskie obywatelstwo i po kilku dniach mówi: „ja tu teraz mogę tylko zamiatać ulice! A byłem niedawno i było jak w raj! Bary, morze, piękne kobiety w bikini, skore do miłości, a teraz tak szaro, deszcz, co to jest!”.

„No tak”, mówi mu kuzyn, „wtedy byłeś turystą w raj, a teraz jesteś obywatelem w Kraju!”.

Rozczarowanie?

Nie. Rozumiem, że tu tak jest. Tak jak w Polsce musiałam się polonizować, tu muszę się sabrzyć! Nauczyć używania współczesnego języka – przecież ten współczesny hebrajski to nie jest w ogóle ten język, którego ja używałam po przyjeździe. Stać się z ofiary gospodarzem we własnym domu.

Udało mi się życie! Poznałam czarującego faceta z marokańskimi korzeniami i razem w bardzo ciężkich warunkach finansowych udało

nam się zbudować dom o stale otwartych drzwiach. Pisze się zawsze o nieszczęściach, nie o szczęściu, a ja byłam w sumie przez długie lata wykrojona z Polski, tylko język mnie tam stale odprowadzał. Po pierwszych dwóch–trzech latach po przyjeździe do Kraju, kiedy język hebrajski stawał się moim, kiedy zakochiwałam się w izraelskich krajobrazach, w zmysłowości pustynnej wówczas jeszcze, i w nowej, i starej historii Żydów – to były moje najlepsze lata. Miałam bardzo dużo dobrych lat! W samym istnieniu Izraela, w tej solidarności, znalazłam szczęście.

Jest pani zadowolona z tego, jak wygląda dziś Izrael?

Nie. Czasem oglądam wiadomości i myślę sobie: „to nie jest kraj, który ja budowałam”. Przed wszystkim tutaj ciągle są głodne dzieci, biedne rodziny i paru milionerów. Chciałabym, żeby Izrael był bardziej podobny do kibucu, nie całkowicie, nie zupełnie, ale żeby nie był taki kapitalistyczny! Żeby służba wojskowa było przyzwoicie opłacana – przecież oni dostają grosze. Chociaż z drugiej strony, kiedy coś się dzieje dziecku w czasie służby, wojsko bardzo pomaga, dziecko należy do wojska!

Ale to jest wszystko bardzo skomplikowane. Przecież my musieliśmy sobie ten kraj wywalczyć, robiąc sobie przy okazji wrogów na całe życie. Są problemy, ale gdzie nie ma problemów? Kiedy czytam gazety, jednak myślę, że przecież całkiem nieźle mi się żyje! Ale powiedzieć, że ten Izrael wytrzyma nacisk arabski? Nie wiem. Ale wszystko jest tymczasem, przecież żyje się tymczasem.

W kilku badaniach nad posttraumą stwierdzono, że ocaleni, którzy po wojnie wybrali życie w Izraelu, na ogół łatwiej i lepiej sobie radzą w codziennym powojennym życiu. Izrael jako państwo dla Żydów ma dawać im poczucie bezpieczeństwa.

Czy czuje się pani tutaj bezpiecznie? Pytam panią o to w dniu kolejnego zaostrzenia konfliktu w Gazie, kiedy zginęło siedmiu terrorystów po stronie palestyńskiej, zastrzelony został oficer wojska izraelskiego, a Hamas wystrzelił ponad 300 rakiet w kierunku Ashdod i Ashkelonu, z których część zniszczyła domy i raniła podróżujących autobusem.

Myślę, że ocaleni bardziej niż ktokolwiek inny wiedzą, że nigdzie nie ma tego bezpieczeństwa. Tak jak w tym żydowskim wicu: przyniesiono Żydowi globus i powiedziano: „proszę, wybierz sobie kraj”. Żyd kręci

globusem, wzdycha tu, wzdycha tam, wreszcie oddaje ten globus i mówi: „wiesz co, przynieś mi inny, ten mi nie pasuje”.

I wszyscy Żydzi z diaspory tak mówią, kiedy ich się pyta, jaki kraj wybrali-
by, gdyby im дано taką możliwość.

Izrael jest miejscem samym przez się zrozumiałym, bo wiadomo, że kiedy Żydom będzie źle, to mogą tu przyjechać, mają państwo żydowskie. Nasza kultura przecież wyszła stąd, to, że ona się przeprowadziła do Europy – najpierw do Hiszpanii, potem do niewdzięcznej Polski, bo przecież Żydzi ją tak kochali i kochają – nie zmienia faktu, że tu jest nasz początek.

Myślę, że u nas jest weselej niż w Europie – pomimo nieporozumienia z Arabami. Przede wszystkim fantastyczna pogoda, osiem miesięcy błękitnego nieba, co dodaje radości życia i czyni człowieka bardziej optymistycznym. Nowi Izraelczycy, sabrzy, nie biadolą. Żydzi zawsze biadolą, bo ich zawsze prześladują, a Izraelczycy mają swój dom i pewność, że sami tym razem się dopilnują! I mimo że ich dzieci czeka wojsko i nie wiadomo, czy one wrócą z tego wojska, czy bez nogi, czy ręki, czują pewność siebie. W parku koło mojego domu co sobotę obserwuję, jak tańczą sobie tańce ludowe!

Nie było nawet jednej chwili, kiedy bym żałowała, że tutaj dorastają moje dzieci. W całym moim życiu! Jak były wojny, to się o nie bałam, ale wojny były krótkie. Miałam ciężkie trzy lata, kiedy Oni był w wojsku, ale dobry czas w moim życiu towarzyskim i prywatnym wynagrodził mi te chwile.

Jeszcze nie opisano, czym była ta epopeja, ta nasza alija. Błogosławionej pamięci Yoram Kaniuk, izraelski pisarz, opisał w 2011 roku w swojej książce historię, jak po drugiej wojnie światowej z krajów pod niemiecką okupacją zebrały się resztki z tych milionów i w bardzo ciężkich warunkach dwa i pół roku przedzierały się do nowo powstającego państwa izraelskiego. Przyjechali tu na ten upał, na te piachy i zrobili z tego taką bombonierkę. Można mówić, co się chce, ale to jest mimo wszystko bombonierka. Wielu moich przyjaciół w Polsce czy Ameryce czuje się mniej bezpiecznie niż my tu. Dla mnie to jakiś paradoks.

Tak jak siostra pani przyjaciółki z Holandii.

Tak. Rose, która cudem przeżyła obóz przejściowy Westerbork, a potem Auschwitz, dwadzieścia lat po wojnie postanowiła odwiedzić swojego brata w Izraelu, który przyjechał tu jeszcze przed wojną. Planowała przyjazd na miesiąc i spędziła cudowny pierwszy dzień na objazdowej wycieczce z rodziną. Wieczorem zaś poprosiła o numer telefonu izraelskich linii lotniczych El-Al. Brat zdziwił się, dopytując po co, czemu, a ona ze spuszczoną głową odpowiedziała: „Wybacz Willie, ale ja nie mogę zasnąć w miejscu, gdzie jest tak dużo Żydów na kupie. To przecież się prosi o nieszczęście!”.

Jeszcze tej samej nocy wróciła do Amsterdamu i już tu nigdy więcej się nie pojawiła, tylko pisała listy, w których się usprawiedliwiała.

Ale czy ja mogę przyrzec, że za sto czy dwieście lat Izrael będzie nadal istniał? Wcale nie jestem pewna! Dziś to jest islam, jutro to są Chiny... Świat się zmienia, Żydzi nie, tułaczy naród...

Krótko po przeprowadzce tutaj zastanawiałam się, kiedy zaczyna się opowiadać dzieciom o tutejszym konflikcie. Mój mąż sprowadził mnie na ziemię: „Przecież my się w tym rodzimy”!

Tak! Oni się rodzą do tego! Tego nie można ukryć, schować. Ojciec moich dzieci był bojownikiem w Palmachu, a potem, po rozwiązaniu, Palmach stał się arystokracją, bo to byli najlepsi uczniowie wybitnych gimnazjów, i tylko wolontariusze...

Tyle tych wojen tu, ja już nawet nie pamiętam dokładnie – przecież jest Syria, Liban, Egipt, Irak... a teraz Gaza, którą myśmy stworzyli, bo przecież nikt nie chciał i nie chce jej wziąć!

Wchodzi pani do schronów w czasie alarmów?

Najczęściej nie.

Proszę nie zapominać, że ja przyjechałam po bombardowaniu Warszawy! Dla mnie tak naprawdę wojna była jedna.

Alarm złapał mnie któregoś razu na gimnastyce. Razem z trenerką postanowiłyśmy, że co będzie, to będzie, i kontynuowałyśmy gimnastykę. Nie można przecież cały czas siebie tylko bronić, bo i tak coś może się stać. Nie było wtedy z nami żadnych dzieci.

Zaraz po przyjeździe w kibucu Beit HaShita, w czasie wojny niepodległościowej, też nie wchodziłam do schronów. A w czasie wojny sześciodniowej mój dwunastoletni wtedy synek wykopał nam schron pod ziemią i siedzieli tam z Ditą. „*Ima*, przynieś nam frytki i sznycel!”, wołali co jakiś czas, bo dla nich to było niebezpiecznie, a ja nie chciałam tam siedzieć – miałam przecież robotę! Nosila im jedzenie, a kiedy zaczynała wyć syrena i wołali mnie: *Ima, boi*, czyli „mamo, chodź”, w kółko powtarzałam: „zaraz, zaraz!”.

Wychodzili, jak syrena zawyła na znak, że jest już bezpiecznie.

Czy pani, doświadczona wojną, pozbawiona domu, która budowała ten kraj od podstaw, ma wizję, jak można zakończyć ten konflikt? Czy to jest możliwe pani zdaniem?

Ja jestem tylko oglądaczką wiadomości i czytelniczką gazet, a przy okazji wrażliwym człowiekiem. Ale wiem, że jednego dnia można być poniżoną ofiarą, a następnego zmienić się niemal w oprawcę. Dlatego tutaj muszą być dwa państwa. Prawdę mówiąc, arabskie państwa już dziesięć tysięcy razy mogłyby ich przyjąć i oni już by zapomnieli, że kiedyś ich klucze otwierały domy w Lod i Ramle, tak jak ja zapomniałam, że kiedyś miałam klucze do domu na Piłsudskiego w Częstochowie! Jeśli będzie jedno państwo, w ciągu kilkunastu lat Arabowie dojdą do władzy demokratyczną drogą, tak jak kiedyś pan Adolf H., a to nie byłoby dobre dla nas, Żydów! Arabowie mają większy przyrost naturalny.

Ale statystyczna rodzina izraelska też nie jest mała w porównaniu do krajów europejskich: minimum troje dzieci.

Mam wrażenie – nie mogę tego udowodnić – że Żydzi w Izraelu mają duże rodziny nawet nieświadomie, po tamtej nieludzkiej stracie, powoli zapominanej z biegiem czasu. Zbiorowa podświadomość po Szoa. Każda para, czy gejów, czy lesbijek, musi obowiązkowo mieć przynajmniej dwoje dzieci, tak samo singielki. Są banki spermy dla kobiet, które nie są zainteresowane małżeństwem, niektórzy jeżdżą do Tajlandii, żeby tam im surogatki urodziły dzieci. Każdy ma tę potrzebę stworzenia i zostawienia nowego człowieka i nowego, młodego pokolenia.

Ale według mnie to również należy do podświadomej obsesji wypełnienia świata żydowskimi dziećmi po Szoa, po katastrofie, za tamte półtora miliona zabitych, zmasakrowanych i zaduszonych.

Prorok Abdiasz otrzymał według tradycji dar prorokowania jako nagrodę za ukrycie w dwóch jaskiniach 128 osób przed prześladowaniami Jezebel. Jego imieniem – po hebrajsku: Ovadia – została nazwana ulica, na której pani mieszka. Jak ujęła to pani w swojej autobiografii, żyje pani „na saberskich papierach”.

Mieszkam w dzielnicy biblijnych proroków, wszystkie ulice noszą tu ich imiona.

Moja sąsiadka ma na imię Lea, ale powinna nazywać się współczesny Hiob. „Lea” to po hebrajsku zmęczona. I ona jest już naprawdę zmęczona.

Jej mama zdołała wyrzucić ją jako kilkuletnią dziewczynkę z pędzącego do Treblinki pociągu, to tak to to tak to to tak to to... a dokąd a dokąd a dokąd tak gna... Trochę potłuczoną i zaszokowaną znalazła ją para wieśniaków, a że była pracowitą blondyneczką, ocalała. Odwiedziła ich po wielu latach z prezentami i było dużo łez. Po wojnie jak wszyscy ruszyła szukać swojej żydowskiej rodziny, z której oczywiście nikt nie wrócił. Wszyscy dojechali pociągiem na miejsce ostatecznego przeznaczenia.

W tym samym czasie w Kraju, podczas ćwiczeń Hagany, Menasze, młody syjonista z Polski, przez nieuwagę postrzelił śmiertelnie koleżankę z kibucu. Żeby wyjść z szoku po tej tragedii, wykorzystał okazję i przyłączył się do wysłanników kibucowych jadących do powojennych obozów dipisów, by namawiać ocalałych na przyjazd do Kraju, bo ci jeszcze ciągle zastanawiali się, czy nie lepiej jechać do Ameryki. Menasze spotkał piękną Leę i przywiózł ją do kibucu jako już swoją żonę. To czas, kiedy wszystko było możliwe.

Urodziło im się dwoje udanych dzieci, dziewczynka i chłopiec. Kilka lat przebywali w Ameryce, gdzie Menasze robił podwójną profesurę. Powrócili do Kraju. Dzieci rosną, Menasze pracuje, Lea gotuje dla rodziny i dla przyjaciół, smaży powidła dla znajomych. Bardzo piękna córeczka rozpoczyna lekcje baletu. Szczęśliwa Lea czuje się matką baletnicy i pracuje jako opiekunka cudzego dzieciaka, żeby córka miała wszystko, co konieczne na lekcje baletu. Wkrótce okazuje się, że piękna Ester wcale nie chodzi na balet, tylko romansuje z pięknym, jednookim, ciemnoskórym celebrytą, *enfant terrible*. No i fajnie! Ślub, dwie wnuczki, Lea jest nieomal szczęśliwa,

ale nasza Lea jest zmęczona i naznaczona. Wnuczka dostaje raka, nie umiera wprawdzie, ale Lea już nie jest ta sama, wnuczka też nie.

Mija kilka lat, piękny syn Zvi lata samolotami w wojsku i ginie w wypadku lotniczym. W czasie szuiwy Lea mówi: „Irit, to jest dalszy ciąg Szoa! Nie wierz nikomu!”.

Menasze umiera, mając dziewięćdziesiąt lat, kiedy Lea już od lat siedzi na wózku inwalidzkim popychanym do parku przez małą Filipinkę.

Czy i pani zdarzyło się myśleć tak jak Lea – może w trakcie jednej z miejscowych wojen, może w innej sytuacji – że Szoa trwa nadal?

Nie. Nigdy. Ona straciła syna! Mimo że w czasie wojny z Irakiem przyszło mi na myśl to skojarzenie, bo straszili gazem produkowanym przy współpracy z Niemcami... akurat przyjechali tu Rosjanie, proszę sobie wyobrazić: przyjechać z Rosji na coś takiego! Nie wiedzieliśmy, co będzie, te maski, które trzeba było zakładać sobie i dzieciom... to był po prostu teatr! Środek nocy, my w piżamach i maskach przeciwgazowych – nie mogłam się powstrzymać przed robieniem zdjęć! Ludzie słuchali koncertów, siedzieli w teatrze i nagle zakładali maski!

A Chuzy tak poważnie do tego podchodził... Jak był dzieckiem, spadła mała włoska bomba na Tel Awiw. On mi to z takim przejęciem opowiadał, a ja myślałam sobie: „Boże, co ty wiesz o wojnie...”. Dla kogoś, kto był w Warszawie w czasie obu powstań, to to był pikus! Tak jak powiedziałam, dla mnie wojna była tylko jedna, a tu było tyle tych wojen, że już się pogubiłam.

Gdzie i jak ocalała Chana, która mieszka nieopodal?

Z początkiem wojny nadarzyła się okazja ucieczki z małego polskiego sztetla i Chana z matką, ojcem, siostrą i dwoma braćmi wsiadła do pociągu jadącego tygodniami na Sybir. Po drodze taki pociąg zatrzymywał się na stacjach, a podróżni schodzili napić się gorącej herbaty albo przynieść gorącą wodę do wagonu. Mały braciszek Chany zszedł na jednej ze stacji przynieść wodę i nie wrócił. Pociąg ruszył, a on już tam został...

Jedno dziecko zostaje na stacji, drugie w pociągu...

Nie da się o tym myśleć.

A żyć po tym?

Na końcu okazuje się, że wszystko można przeżyć. Wszystko!

Co dalej z Chaną?

Jej rodzice umarli na Sybirze. Natomiast jej mąż to Efraim, cudem uratowany ze wszystkich niemieckich obozów koncentracyjnych, jakie istniały, i z Marszu Śmierci. W 1945 roku ważył 36 kilogramów. Przeżyła też jego matka, choć gdzie indziej, a on zaczął pracę w Biurze Pozostawionych Nieruchomości w Jafie. Oczywiście otrzymał mieszkanie i dzięki temu zdobył piękną żonę Chanę. Po jego śmierci w wieku dziewięćdziesięciu lat, Chana dostała list z niemieckiego biura odszkodowań, w którym napisane było, ni mniej, ni więcej, że Chana dostanie najwyższą rentę, ponieważ oto ona jest *eine grosse Witwe*, „wielką wdową”, a nie *eine kleine Witwe*, „małą wdówką”, której mąż przeżył jakiś jeden zaledwie obóz.

Zna pani osobiście innych Żydów ocalonych przez Polaków?

Znam szczególnie jednego, mojego przyjaciela, Yehudę Erlicha, urodzonego w 1925 roku we wsi Kańczuga w okolicach Rzeszowa, który również mieszka na mojej ulicy. W 1943 roku w czasie najgorszych akcji Zagłady miał siedemnaście lat. Jego sąsiad Polak zaproponował mu, że go ukryje u siebie w domu za darmo. Yehuda nie miał pieniędzy, więc o zapłacie nie mogło być mowy. Ten sąsiad po prostu powiedział mu: „jest strych i obora, na nich trzeba się skoncentrować”. Tak przeżył dwa lata ocalony przez swego dobroczyńcę, siedząc w oborze i czytając w kółko jedną książkę, ucząc się w ten sposób też polskiego, bo pochodził z rodziny religijnej, w której mówiło się w jidysz. Szesnaście razy zdążył ją przeczytać.

Co to była za książka?

Znachor Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.

Po wojnie Yehuda postarał się dla swego dobroczyńcy o medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata w Jad Waszem w Jerozolimie.

Nawet dziś, kiedy ten szlachetny Polak od lat jest już nieboszczykiem, nie wymienia się jego nazwiska. Już po wojnie kuzyn Sprawiedliwego oświadczył mu, że najgorsi byli ci, co ratowali, przecież mogło ich już nie

być! Trzeba było najpierw zabić tych, co Żydów chowali, a potem samych schowanych Żydów, by był porządek. Yehuda Erlich zbliża się do setki, ma mocną głowę i do niedawna jeszcze prowadził samochód. Ma żonę saberkę, a jego córka uczyła się w jednej klasie z moim synem. Cała jego rodzina z Kańczugi zginęła, a on zrobił aliję, uczył się na uniwersytecie, prowadził szkolenia dla nauczycieli, przygotowując ich do zawodu.

Całe lata, po dziś dzień posyła w tajemnicy potomkom swojego wybawiciela pieniądze na pomoc w utrzymaniu się, a oni konsekwentnie nie chcą, żeby ktokolwiek z wioski się o tym dowiedział.

Kiedy dzieci były małe, opowiadała im pani o Szoa?

Mówiłam mało, lekko, ale codziennie. Na przykład, jak nie chcieli jeść, to mówiłam: „Co? Nie chcecie jeść tej pysznej kartoflanki? U nas w Szoa to by ją zlizywali z podłogi!”. Cały czas robiłam to tak, żeby było trochę śmiesznie, łżej. Widzieli co roku, jak w Dzień Holokaustu zapalałam świece, i zawsze mówiłam im, że to dla moich rodziców i sześciu milionów.

Czasem słuchaliśmy razem z synem programu o Korczaku. Pewnego razu, kiedy skończyła się audycja, wyłączyłam radio i powiedziałam: „idziemy jeść kolację”. On popatrzył na mnie i powiedział: „Co, ty naprawdę myślisz, że ja mogę teraz jeść? Pomyślałaś, że ja mógłbym być tam, jednym z tych dzieci?”. Odpowiedziałam mu, że my wygraliśmy życie, więc musimy teraz jeść kolację. Słuchać audycji o Korczaku, a potem jeść kolację!

To jest cały czas wokół mnie, Szoa. Nie wiem, czy to dlatego, że ja to przeżyłam? Idę do parku, spotykam Leę i widzę w niej małą dziewczynkę, którą mama wyrzuciła z pociągu. Widzę czaplę, to muszę sobie powiedzieć o niej: „smutno było żurawiowi”...

Czasem wieczorem przed snem biorę pastylkę i myślę: „ale mi dobrze; jak mnie nie będzie, to nic się nie stanie, nie jestem głodna, nic mnie nie boli”...

Pani córka powiedziała kiedyś: „Mój dom był w połowie saberski, bo mój ojciec był sabrą z korzeniami w Maroku, ale od kilku pokoleń w Palestynie, więc miałam zupełnie normalne dzieciństwo”, na co zareagowała pani natychmiast: „Jakie normalne, dziadków miałaś?!”.

Kiedy dzieci były małe, a dziadkowie ich kolegów i koleżanek jeździli za granicę, kupowałam im tanie japońskie zabawki – wtedy były tanie, bo Japonia po wojnie była przecież biednym krajem. Wiedziałam, że tamci dziadkowie przywiozą swoim wnukom prezenty, więc chciałam uniknąć sytuacji, w której moim dzieciom będzie przykro, że one nie mają dziadków, którzy jadą do Paryża, Nowego Jorku czy Londynu...

Dita twierdzi, że mimo że nie miała dziadków, jej dzieciństwo było normalne, bo nie zna innego. Nie wie, co to znaczy mieć dziadków, jakich miała jej przyjaciółka Shira, ale ona, Dita, nie jest Shirą!

Dziadkowie to jeszcze jeden mur za rodzicami, jeszcze jedna podpora.

Swojego czasu zapytałam Ditę, kim jest dla niej Natka, moja mama. Odpowiedziała: „Imieniem. Nigdy jej nie widziałam, nie dotknęłam, nie pocałowałam”. Oni za to pytał mnie wiele razy: „czy jestem podobny do twojego ojca?”. Odpowiadałam mu wtedy zawsze, że jest podobny do swojego ojca, i to mu się podobało, bo bardzo się z nim identyfikował, a po wojsku zaczął z nim pracować i do dziś dnia Chuzy pozostaje dla niego autorytetem i punktem odniesienia.

Czy ta decyzja o niemówieniu mogła sprawić, że dzieci ocalonych naprawdę miały zwykły, „normalny” dom? Tak twierdzi Amir, którego ojciec ocalał jako jedyny z rodziny i nic nigdy nie opowiadał. „Wszystko zostawił za sobą, zamknął, byśmy mieli normalne dzieciństwo, i takie właśnie mieliśmy”¹⁶⁶.

Ta decyzja o niemówieniu, o nieopowiadaniu historii z Szoa też przecież nie była milczeniem! Słysząc rzeczy niewypowiedziane na głos!

Myślę, że nie można powiedzieć ogólnie, czy trzeba było opowiadać dzieciom, czy nie. Wszystko zależy od stosunków, jakie się tworzą między oboma pokoleniami, starym i nowym. Ile razy wtenczas widziałam kogoś z tamtych, którzy byli świadkami, ile razy widziałam siostrę mojej matki, która tu przyjeżdżała, czy jak polecałam do Ameryki, zobaczyć moją ciotkę, wybuchałam histerycznym płaczem. Spoglądałam na ciotkę i widziałam babkę. Ja wyłam, a one nie rozumiały, o co chodzi, jak te posągi... Każdy żyje swoim własnym życiem, pochłonięty swoją codziennością, problemami, wiekiem...

Kiedyś matka mojej znajomej z Krakowa opowiedziała mi następującą historię: otrzymała list, w którym opisane było, jak zginęły jej matka i siostra. Otóż siostra, która w czasie wojny była lekarką, zrozumiała w pociągu, gdzie jada, i postanowiła zakończyć życie swoje i swojej matki. Wzięła na siebie tę odpowiedzialność i pomogła matce, za jej zgodą, zażyć cyjanek, a potem zażyła go sama. Moja znajoma opowiadała to z płaczem swojej dwudziestoletniej córce, bardzo wżytej już w życie izraelskie, członkini znanego już bardzo Palmachu, a ta popatrzyła na nią obojętnie i powiedziała: „porozmawiamy o tym wieczorem, jestem teraz zajęta”. Moja znajoma nie mogła dojsć do siebie zszokowana tą obojętnością: przecież ostatecznie to były jej babka i ciotka!

Może więc dlatego się wtedy nie opowiadało? Bo istniała ta obawa, że to nie zrobi żadnego wrażenia? Że to będzie jak Kozacy w poprzednim wieku? Będzie brzmiało może jak kozacki pogrom u Chmielnickiego...

Ryfka, której matka pochodziła z Częstochowy jak pani, a która urodziła się już po wojnie w Nowym Kraju, więc należy do tzw. drugiego pokolenia, powiedziała kiedyś: „Nie opowiadali nam, bo my byliśmy ich przyszłością, myśmy byli zamiast tamtych, spalonych. Mieliśmy być inni, silni i opaleni, jak miejscowi. Nie chcieli nas obarczać, bo po co?”¹⁶⁷.

Ona ma rację! I oni mieli rację, że jej nie opowiadali! Bo tak ona wyrosła tak jak jej rówieśnice z saberskimi rodzicami! Historycznie to mieli to opowiadać, żeby to poniosła dalej, ale prywatnie, domowo – zrobili dobrze, bo jej tym nie obarczali.

Mój syn musi wiedzieć wszystko o Zagładzie. Przeczytać wszystko, co wychodzi na ten temat, obejrzeć każdy program w telewizji, zobaczyć każdy film. Dzwoni do mnie, żeby mi powiedzieć, że mam oglądać, jeśli ma być coś na ten temat w telewizji, przynosi mi książki. Myślę, że on sobie to przymierza – co bym zrobił tam, w podobnej sytuacji?

Kiedy był w wojsku, pytałam: „Powiedz mi, jak ty skaczesz z samolotu?! W nocy! Ciemno! Zwariowałeś?!”. Odpowiadał mi zawsze: „Mam w głowie obrazy, jak ojciec wraca do kibucu po walce w czasie wojny niepodległościowej, a ty chodzisz boso w śniegu w małym getcie i wtedy mogę wszystko. Wy doświadczyliście takich sytuacji, to ja mogę przynajmniej wyskoczyć z samolotu w nocy, broniąc Izraela!”.

Oni jest też moim najlepszym agentem. Kupuje moje książki i rozdaje swoim klientom, turystom, żeby wiedzieli, kim jesteśmy. Ostatnio komuś z Opola przyniósł moich *Osmalonych* po polsku z moją dedykacją. Ma w zwyczaju mówić: „Czuję, jakbym to ja sam napisał te książki”.

A Dita sama wybiera swoje prace na okładki, a później rozdziela książki wśród swoich dobrych koleżanek. Opowiadając o swoim macierzyństwie koleżankom, zawsze mówi: „W stosunku do dzieci jestem bardzo *Polania*”, czyli, że jest bardzo dobrą matką! *Ima Polania*, czyli polska matka, tak mówi się w Izraelu na *yiddishe mamme*.

Każda z pani książek, we wszystkich językach i we wszystkich krajach, ma na swojej okładce jeden z obrazów pani córki. Czyja to była decyzja? Na okładkę naszej rozmowy pierwotnie wybrała pani pracę Dity przedstawiającą fotel w częstochowskim domu pani wujka Mariana.

Tak. Opuszczony fotel mojego wuja Mariana, który zostawił go w Częstochowie, a mnie przekazał dużą część swoich genów. Nie wiem, z którego wieku jest dokładnie, ale na pewno ma co najmniej tyle lat, co ja. Podczas pobytu w Częstochowie u wuja Mariana Dita robiła zdjęcia meblom. To były stare meble, było w nich coś arystokratycznego, tutaj nie było takich wtedy i jej się one strasznie podobały.

Przecież wszyscy Żydzi, europejscy malarze, którzy przyjeżdżali i przyjeżdżają do Izraela, malują wszystko zalane słońcem, zachwyceni tym światłem! A ta dziewczyna, myślałam sobie, patrząc na jej ponure często obrazy, maluje mi tu Europę, Częstochowę, Jasną Górę, warszawskie Łazienki, parki i kościoły. Postaci leonardocohenowskie, szarości i złote liście europejskie, które swojego czasu nawet zbierałam dla niej w polskich parkach jesienią i przywoziłam do Kraju, a ona wykorzystywała je w swoich pracach. Zastanawiam się często, jak wpłynęło moje życie w Europie, w Polsce podczas wojny na podświadomość mojej córki i mojego syna. Tak naprawdę, kiedy byli dziećmi, nie opowiadałam im za dużo, bo nie chciałam, żeby się nade mną litowali... Kiedyś zastanawialiśmy się, czy jest taka możliwość, że podświadomie moje zagładowe przeżycia przeszły na nią. Na początku Dita nie była tego świadoma, dopiero po latach przyznała, że jej prace, kolory, które wybiera, ich atmosfera, czerpią z mojej „spopielonej przeszłości”. Wtedy postanowiłyśmy, że



Zdjęcie 32. Dita Amiel, *Przezroczyście motyle*
(kopia obrazu znajduje się w domu Irit Amiel)



Zdjęcie 33. Dita Amiel, *Mężczyzna z psem*



Zdjęcie 34. Dita Amiel, *Krzeseł*.

Pierwotnie praca ta miała znaleźć się na okładce niniejszej książki



Zdjęcie 35. Dita Amiel, *Chleba się nie wyrzuca*,
praca do wiersza Irit Amiel *Słowniki*

moje książki będą miały jej okładki. Ja piszę o moich przeżyciach, a Dita te moje tęsknoty maluje.

Tęskni pani jeszcze?

Już nie mam do czego tęsknić. Gdyby była tam ta spalona rodzina, z którą siadałam do stołu przed wojną, na pewno bym tęskniła, ale to już są długie lata od zakończenia wojny.

Kiedy w palmachowskim kibucu nad morzem koło Rishon LeCijon robili seder, ja byłam oczywiście najmłodsza i pytałam *ma nishtana*, tak jak kiedyś w domu, to na pewno do tego nie tęskniłam, bo tego już przecież dawno nie było! Ale kiedy koledzy i koleżanki zapraszali mnie na weekend do swoich rodziców w Hajfie czy Tel Awiwie, nigdy nie jechałam. Odmawiałam konsekwentnie, co dla nich było niezrozumiałe, a ja po prostu wiedziałam, że nie wytrzymam widoku normalnej rodziny, rodziców z dziećmi, i będę zawstydzona tym swoim sieroctwem czy ewentualnym wybuchem płaczu.

Potem, jak przylatywałam do Europy, od razu biegłam zrywać te trawki, żeby na nich gwizdać, dmuchawce największe – przy nich płakałam ze wzruszenia, bo po tylu latach nagle widziałam takie duże dmuchawce, jednym słowem, byłam jak w domu, czułam się przez chwilę *à la maison*. Do tej pory, jak widzę taką trawkę, to biegnę ją zrywać i muszę na niej zagwizdać.

A potem za którymś powrotem do Polski, idąc z Miriam Akawią przez Warszawę, zanosilałam się płaczem, dosłownie szlocham i łzami: „Jak im tu źlej, że Żydów już nie ma! Jak im tu dobrze bez Żydów! Jak się fajnie urządzili!”. A Miriam mnie strofowała ostro: „Co, po to przyjechałaś? Żeby siać nienawiść?”. Bo ona przecież przyjechała siać miłość! Stała tam jak jakiś anioł, z tymi blond włosami, z tymi lokami dookoła twarzy, i powtarzała: „Polacy, ja was kocham!”.

To co, ja miałam wtedy robić rachunki z Polakami?

Czemu jechała pani do Polski akurat z Miriam Akawią?

Zostałyśmy zaproszone przez Joannę Kulmową: Miriam, ja i Marysia Lewińska. Wszystko dzięki „Konturom” i panu Ryszardowi Matuszewskiemu związanemu z polskim PEN Clubem. To był właśnie początek

mojego powrotu do polszczyzny. Pamiętam, że poprosili mnie o przeczytanie moich wierszy, a ja się zaraz rozplakałam przy jednym z nich.

Pamięta pani, przy którym?

Pewnie!

Dopóki jeszcze jestem tu, jesteście mniej zmarłymi,
Lecz wkrótce zginiecie po raz wtóry i ostatni.
Moja śmierć wymaże was ostatecznie ze świata.

Na razie jeszcze wszyscy we mnie pulsujecie,
Wytatuowani w mej pamięci, wyżłobieni w moich żyłach.
Lecz wkrótce zabiorę was ze sobą do Hadesu
W ten ostatni mrok i nie będzie już zmartwychwstania.

Zabiorę ze sobą wszystkie imiona i stare piosenki,
Wszystkie twarze, uśmiechy, rozpacz, trwogi i łzy.
Wszystkie maski, tysiące wspomnień i tęsknoty,
Wszystkie ucieczki, poniżenia i spóźnione powroty.

Do mego grobu zabiorę was wszystkich
i będziemy tam
bardziej zmarli, my ofiary i ocalańcy tego gorzkiego
jak piotun dwudziestego wieku.
I może wreszcie dotrzemy
do ciszy i przystani Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani¹⁶⁸.

Przeczytałam i się rozbeczałam. Wszyscy byli lekko zakłopotani tym moim wybuchem, ale potem już było wesoło, bo dawałam Marysi cały czas kuksańce, mówiąc: *Haka arajn*, a ponieważ to po żydowsku „wsuń, wbij”, śmiałyśmy się, że to uczyni jej wystąpienie bardziej poważnym, jeśli będzie używała takich zwrotów, jak „a ponieważ”.

Kiedy zdała sobie pani sprawę, czy poczuła, pomyślała, że Polska jest pani nieodwzajemnioną miłością, jak napisała to pani w wierszu?

Po wielu latach wróciłam do kraju
w którym się nigdy urodziłam.
Do kraju który był moją pierwszą
smutną samotną bezwzajemną miłością.

Ja go kochałam, a on nie kochał mnie.
Chodziłam ulicami bliskimi i obcymi
jeździłam pejzażami wrytymi
we wszystkich moich tkankach.
Czułam się jak w domu wdychając
stare zapachy dzieciństwa
zbierając w parku kasztany
i nienawidząc siebie samej
za tę gorzką beznadziejną miłość¹⁶⁹.

Gdy poszłam do szkoły po tej wojnie i dziewczynki powiedziały: „czemu te żydówki mają zawsze takie grube nogi?”. Wróciłam do domu i zaczęłam oglądać swoje nogi.

Jak zobaczyłam, w jaki sposób Polacy się do nas odnoszą, zrozumiałam, że nie jestem obywatelem pierwszego gatunku. Po tej wojnie moja tożsamość żydowska stała się bardzo mocna, nie było chwili wątpliwości, że jestem Żydówką, że ta Krysia Iwańczak czy Hankiewicz to były pury-mowe przebieranki dla Niemców, żeby zostać przy życiu.

James Joyce mówi, że niebezpiecznie jest opuścić ojczyznę, ale jeszcze gorzej do niej wrócić, bo wtenczas rodacy nasi przy każdej okazji wbiją nam sztylet w samo serce.

Dlatego nie trzeba wracać.

O Polsce nie myślę dobrze i wcale za nią nie tęsknię, ale jak już mówiłam, my, Żydzi, na ogół cierpimy na tę chorobę zwaną „Polskomania”. Wyrwany z Polski w 1968 roku mój przyjaciel mieszkający w Danii co dwa tygodnie jest w Polsce i wszystkie jego przyjaciółki mówią po polsku. Mają domy czy mieszkania w Polsce i stale przesiadują w Warszawie. Ja już nie jeżdżę, bo boję się, że po drodze wyzionę ducha i będę musiała na zawsze już być zakopana w tamtej ziemi. Wprawdzie to ziemia, gdzie są popioły i kości moich praojców, ale ja chcę być zakopana tutaj, wolę być bliżej słońca.

Ale jednak wróciła pani – i to kilkakrotnie. Czym były dla pani te wizyty?

Pierwszy raz poleciałam w 1963 roku odwiedzić ostatnich kilku członków rodziny. Sama. To były czasy żelaznej kurtyny i nie można było tak sobie pojechać do Polski, a ja wykorzystałam sytuację, że leciała grupa koszykarzy na mecz do Polski, i przyłączyłam się do nich. Jak pani widzi, pasowałam do nich swoim wysokim wzrostem: 153 centymetry. Chuzy pracował wtedy w biurze turystycznym i pewnego dnia powiedział mi: „masz okazję się z nimi zabrać”. Nikt tego nie sprawdzał, odgrywałam jakąś niby urzędniczkę czy kogoś. Był z nami jeszcze jeden mężczyzna, który też skorzystał z tej okazji. A w pociągu w Polsce nikt nie mógł uwierzyć, słysząc moją polszczyznę, że nie było mnie tam już wtedy od osiemnastu lat.

Dokąd jechała pani tym pociągiem?

Z Warszawy do Częstochowy.

Trudna trasa.

Zawsze myślę o tym, co czuli w pociągu do Trebłinki i co mnie szczęśliwie ominęło. Ale mam tak we wszystkich pociągach, nie tylko w Polsce, wszędzie. Nie lubię jeździć pociągami, ale nie da się tego uniknąć, zwłaszcza w Japonii, w Londynie. To są już inne pociągi, bardziej jak samolot, nie tak jak tamte „to tak, to to tak to”...

Wysiadłam wtedy na dworcu w Częstochowie i poszłam sama do wujka. I oto któregoś dnia, a zatrzymałam się tam na jakieś dziesięć dni, nadchodzi Jom Kippur. Zapala się świece na święto i nagle ktoś dzwoni do drzwi. W panice wynosi się świecznik do drugiego pokoju, żeby nie zwrócił na niego uwagi gość, czyli serdeczny i przyjacielski sąsiad prawnik. Jednym słowem, nie ma się zaufania do n i k o g o! Mniej więcej tak jak ja. W sklepach Desy pełno srebrnych żydowskich świeczników, menory i chanukije – można je było kupić za wielkie pieniądze, ale nie można było wtedy wywozić z Polski dzieł sztuki wykonanych przed wojną.

Rozglądała się pani za swoimi?

Nie. Nie! Ale przywiozłam sobie ręcznie strugane drewniane figurki chłopów polskich. Na to było pozwolenie. One były pierwsze. Potem z każdej podróży przywoziliśmy sobie z Chuzym podobne, z różnych krajów.

Kto zapalał wspomniane świece na Jom Kippur w domu pani wujka Mariana w Częstochowie w 1963 roku?

Wujek oczywiście, ale po tym, jak zwolniło się wcześniej do domu gospozię, panią Helenę. „Nie wszyscy muszą wszystko wiedzieć”, mawiał wujek, chociaż sąsiedzi wiedzieli, że był Żydem. W Częstochowie nawet ja nie mogłam się ukryć. Po raz pierwszy zrozumiałam wtedy, że nic się nie zmieniło i się nie zmieni! Utwierdziło mnie to tylko w przekonaniu, że miałam rację, wyjeżdżając, choć i wcześniej nigdy nie miałam przecież co do tego cienia wątpliwości.

Co jeszcze robiła pani podczas tego pobytu w Polsce?

Nikt nie chciał ze mną pojechać do Auschwitz. Pojechałam więc sama. Miałam ze sobą karton amerykańskich papierosów, chyba cameli, i tak udało mi się przekonać szofera, żeby mnie zawiózł i tam na mnie poczekał. I tak jak przecież żyłam w przekonaniu, że wszystko wiem o Zagładzie, to dopiero tam dowiedziałam się, czym naprawdę była. Te pokoje z butami, okularami, sztucznymi szczękami, walizkami, protezami i kulami, martwymi włosami... fabryka śmierci...

Warszawa po wojnie wydała mi się obca, bo też i nigdy wcześniej nie byłam tam w domu. A Śródmieście Częstochowy nic się nie zmieniło – od Matki Boskiej na Jasnej Górze do Meksyku. Tu byłam w domu.

I to mnie denerwowało. Wróciłam do Izraela jak do raj. Dziś mogę powiedzieć, że Żydzi przyjeżdżający do Izraela z innych krajów przyjeżdżają do domu, choć jest tu inaczej i zaraz mają mnóstwo pretensji, jak ma wyglądać ten żydowski kraj. Mogą mówić i czuć, że są w domu.

Minęło wtenczas osiemnaście lat, tyle rzeczy na świecie się zmieniło, a wtedy w Częstochowie nic.

Co denerwowało panią w Częstochowie?

To, że to pozostało mi takie bliskie, po tylu latach emigracji, bo moja ucieczka była przecież rodzajem emigracji. Bliskie i obce zarazem, bo tymi ulicami spacerowałam z mamą i tatą, potem tam głodowałam w czasie wojny, bałam się Niemców i antysemitów. Szłam na koncert czy wydarzenie kulturalne do synagogi, gdzie przed wojną zabierał mnie tatuś, ale to już była filharmonia, nie synagoga! W pamięci wyryło mi się wszystko co i gdzie. Denerwowało mnie też, że oni tam zostali. Do dziś mnie to denerwuje i do dziś nie rozumiem, jak oni mogli tam zostać.

Przecież oni żyją na cmentarzu! A poza tym, jak ktoś cię tak nienawidzi i nie chce, to po co tam zostajesz? Po co pracujesz dla niego?

Bała się wtedy pani w Polsce?

Przyjechałam jako Izraelka, z nowym imieniem i nazwiskiem. Przecież nie miałam polskiego paszportu. Nie bałam się. Ale ten mój stary strach oddziaływał na mojego syna podczas kolejnego, wspólnego tym razem pobytu.

Kiedy to miało miejsce?

Zimą 1992 roku. Pojechalśmy we trójkę: Oni, Dita i ja. To była moja druga wizyta tam. Tak naprawdę cały wyjazd zbudowany był na służbowej podróży Onika do Polski. To był okres, kiedy pracował już z Chuzym, mieliśmy w Polsce dwóch wspólników, jednym z nich był Orbis. Przede wszystkim pojechalśmy pożegnać się z Marianem, jednym z ostatnich żyjących najbliższych moich krewnych.

Marian zawsze o mnie dbał, nawet jeśli nie dosłownie ratował w danej chwili, nawet kiedy nie było go fizycznie obok mnie w czasie wojny, zawsze wiedział, gdzie jestem, na jakiej wiosce, posyłał mi, co mógł, czasem nawet pieniądze, które dostawał od Żegoty, przeznaczone na pomoc dla Żydów. Żegota to ważna instytucja w moim ocaleniu!

Pojechalśmy razem do Auschwitz – ja po raz drugi, dzieci po raz pierwszy i ostatni. Nie było tam dosłownie nikogo oprócz nas. Zima, pusto, milcząco, zimno, cicho, wszystko pokryte grubą warstwą świeżego śniegu. Mieliśmy na sobie kożuchy. Dita była naszym fotografem, robiła zdjęcia, ale w którymś momencie odłożyła aparat, mówiąc: „nie mogę już więcej, to wychodzi zbyt ładnie!”.

W hotelach i pociągach byliśmy razem, spaliśmy we trójkę w jednym pokoju. Było dzięki temu różnie, choć wszyscy patrzyli na nas podejrzliwie, nawet pan Tadeusz. Nasz znajomy w Polsce, nie ten od Mickiewicza. Wyglądało mu to dziwnie.

Do Treblinki Oni nie pojechał z nami, bo miał spotkanie, ale mimo to był to dla niego trudny wyjazd, a najtrudniej mu było w Częstochowie, nagle poczuł tam Szoa.

Pojechałyśmy więc z Ditą same, a Oni pracował z panem Tadeuszem. Po drodze pytałyśmy kilka razy o drogę, a nasz szofer to nie byle kto, syn Polki i Niemca. Fantastyczny, bardzo wrażliwy człowiek. Wieśniacy w gumofilcach mylili nas cały czas przy wskazywaniu drogi, to nie tu, to nie tam, raz kazali nam skręcać w prawo, raz w lewo, w końcu jeden z nich odpowiedział nam wściekle: „jedźcie do Lanzmanna!”. To był czas, kiedy wyświetlano jego film *Shoah*.

W końcu dotarłyśmy jakoś na miejsce. Nic nie było podobne do niczego, niby takie *sophisticated*. Las, pole, rampa i kamienie. Wyglądało bardzo niewinnie, na każdym kamieniu napisane miasto, sztetl, wioska... Nasz szofer pomógł nam zapalić świece, bo strasznie wiało. Przywiozłyśmy stąd *ner neshama*¹⁷⁰, świecę, którą się zapala dla zmarłych.

Nie zdążyłam do Treblinki na czas
przyjechałam spóźniona o pięćdziesiąt lat
drzewa stały nago bo była jesień
Chciałam uciec natychmiast bo jak
rekwizyt stał tam rdzewiejący pociąg
i cicho szumiał las.
Było pięknie szaro spokojnie pusto
i tylko wiatr muskał ziemię drzewa
kamienie i nas
gasząc nasza świeczkę raz po raz

A Dita powiedziała – widzisz dobrze że nie zdążyłaś
i teraz jesteś moją starą mamą i objęła mnie mocno
i zaśmiała się smutno¹⁷¹.

Jak sobie radziłyście z Ditą w tym miejscu?

U nas jest tak, że jak się pojawiają trudne emocje, to się je zajmuje zadaniami. Nie rozczulałyśmy się więc zbyt, zajmowałyśmy się techniką zapalania świecy: „Może, jak staniesz w tę stronę, to będzie lepiej”, „Nie, tak wieje wiatr, odwróć się”. Poszłyśmy też do Korczaka, a w drodze powrotnej pokazałam Dicie małą sklepik z szyldem: „Sklep spożywczy w Treblince”. Świeże pieczywo i masło. Jak można tego nie zauważyć?

Wujek odwiedził panią w Izraelu?

Dwa razy, a ciocia Guta nawet więcej, i swego czasu przymierzała się do kupienia domu. Kiedy była u nas, nie wyszła nigdy z pokoju nieumalowana. Wstawała rano, nawet już w wieku osiemdziesięciu lat, i poświęcała mnóstwo czasu na poranną toaletę, nikt nie mógł uwierzyć, ile ma lat. Mam dobre geny!

Ostatecznie znaleźli się tacy, co wyjaśnili jej, że Izrael jest krajem dla milionerów, a jej mąż stwierdził, że nie chce się deklasować, a po wyjeździe z Polski się na pewno zdeklasuje. Ciocia Dora z kolei cierpiała tu z powodu upałów. Ale poznali moje dzieci i byli zachwyceni. Na końcu Marian powiedział tutaj: „Jedna Irka miała w tym wszystkim rację”. A przecież zaraz po moim wyjeździe byłam *persona non grata* w rodzinie!

W maju 2014 roku wróciła pani znowu do Częstochowy, jak to pani ujęła: „by się z nią pożegnać po raz ostatni”, przy okazji promocji swojej autobiografii *Życie – tytuł tymczasowy*.

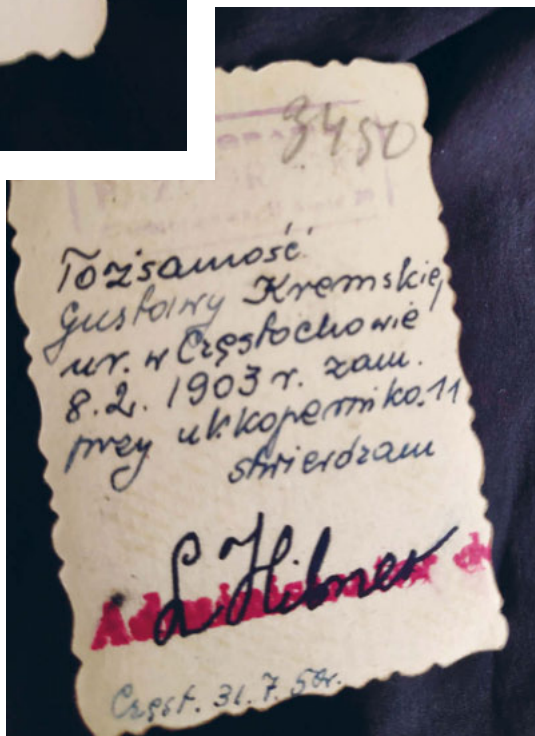
I poprosiłam, żeby stała na półkach obecnych mieszkańców między ich książkami. A potem poszliśmy na ulicę Przemysławą i w jej okolice, gdzie kiedyś stało duże getto. Szukałam miejsca, w którym mój tatuś przez czarną dziurę przestawił mnie ze strony śmierci na stronę życia. Chciałam pokazać je Dicie, a reszta to historia i film.

W rzeczy samej, powstał krótki film na podstawie pani życia, zatytułowany *To jednak ja zwyciężyłam*⁷², a w styczniu 2017 roku aktorzy Teatru im. Adama Mickiewicza i Teatru From Poland przygotowali „Salon Poezji z twórczością Irit Amiel”, który transmitowany na żywo oglądała pani w swoim pokoju w Ramat Gan.

To mnie wzruszyło ogromnie, bo przecież to są lata od wojny, to są inni ludzie, co inaczej widzą świat i przeszłość. Napisałam im podziękowanie w imieniu tych, którzy byli tam duchem razem ze mną...

Zabrałam Dite na ulicę Przemysławą. Chciałam jej pokazać, gdzie mieszkaliśmy, skąd zrzucili moją kulawą babcię ze schodów, małe i duże getto, i gdzie tatuś przesadził mnie na stronę życia. Od razu zerwałam tam trawkę, żeby na niej zagwizdać.

I mimo że zbudowali filharmonię na miejscu synagogi, do której tatuś zabierał mnie przed wojną, stojąc tam, nagle poczułam, że naprawdę to jednak ja zwyciężyłam!



Zdjęcie 36. Gustawa Kremiska, Częstochowa, 1950 rok.
Fotograf nieznan

Pozwoliłam sobie zapytać Dite, jak czuła się w tym szczególnym miejscu, które nazywa pani miejscem swoich drugich narodzin. Oto, co odpowiedziała: „Przyjazd do Częstochowy, zobaczenie tego miejsca, był tylko częścią układanki i dopełnił obraz. Historia mamy jest częścią mnie. Czasem nie wiem, gdzie zaczyna się mama, a gdzie ja się kończę. Jakbym już tam kiedyś była. Miejsce wyglądało inaczej od tego, jak sobie je wyobrażałam, ale mimo wszystko było jakby mi już znane, nieobce. To, co przeszła mama, jest o wiele silniejsze niż miejsce samo w sobie. Moje obrazy też są stamtąd. Kolorystyka, atmosfera, one są ze spopielonej przeszłości mojej mamy. Nie od razu byłam tego świadoma, ale z perspektywy czasu wydaje się to oczywiste. Wraz z jej mlekiem wysłałam jej przeżycia”.

Była bardzo poruszona, sama właściwie nie wiedziała do końca, czym dokładnie.

Ona mogłaby pisać, ona zna ten hebrajski po prostu... no tak to jest właśnie z językiem ojczystym.

Ja też nie od razu zauważyłam ten związek między jej obrazami a moją przeszłością. Nagle coś mi zaczęło nie pasować, te obrazy są bez żadnego światła przeciw.

Sama nie wierzyłam, do jakiego stopnia jesteśmy związane.

Czym jest dla pani dziś Częstochowa?

Z jednej strony obce, zimne, puste, dalekie miasto. Z drugiej strony żyją tam Polacy, dwa pokolenia po Zagładzie, którzy do niedawna nie wiedzieli, że w ich rodzinnym mieście mieszkało przed wojną ponad trzydzieści tysięcy Żydów zamordowanych później przez Niemców!

To są młodzi ludzie w wieku moich wnuków, których uważam za moich prywatnych przyjaciół. Nie mam tu na myśli, że spotykamy się co tydzień i omawiamy politykę przy kawie, ale ci ludzie są po mojej stronie, chodzą na spacer po dawnym Meksyku i po dawnych ulicach – Garncarskiej, Nadrzecznej i Przemysłowej, potykają się na kocich łbach i pamiętają nas na różne sposoby.

I ja potykałam się na tych kocich łbach, na ulicy Nadrzecznej znajduje się budynek Autorskiego Liceum Artystycznego, z uczniami którego pracowaliśmy nad projektem przywracania pamięci o miejscowych Żydach.

Czytałam pani książki, a teraz siedzę tu z panią, dzięki temu, że któregoś dnia znajoma Izraelka, której mama dorastała w moim rodzinnym miasteczku sześćdziesiąt kilometrów od Częstochowy, okazała się koleżanką Dity i zapytała, czy chciałabym panią poznać osobiście. Ot, przypadek.

Pewnie, że przypadek, wszystko jest przez przypadek. Tylko to, co z tym robimy, nie jest przypadkiem, ważne, jak my ten zbieg okoliczności wykorzystujemy. A co, Pan Bóg tu może panią przysłał?

Może pani odpowie?

Proszę bardzo! Otóż pewnego pięknego letniego, parnego poranka pojechałam odwiedzić moją córkę w Tel Awiwie. Zadzwoniła, żebym przyszła do kawiarni pod jej domem, na ulicy George Eliot. Miała być z koleżanką i jakąś młodą kobietą z Polski, która chciała mnie poznać, bardzo ponoć obeznaną w sprawach żydowskich i izraelskich. I to była pani, czyli Agusia, której teraz jestem trochę izraelską babcią, a ona jest mi sekretarką. Kolejny zbieg okoliczności, który dobrze wykorzystaliśmy. Takie okazje się nadarzają i człowiek ich często nie wykorzystuje.

Mamy przecież odwieczną dyskusję na temat losu i przypadku czy palca bożego. Rozmawiamy i o ważnych rzeczach, i o sprawach dotyczących wspólnych znajomych, nie zostawiając na nikim suchej nitki.

Znalazłyśmy wspólny język, bo obie kochamy i polski, i hebrajski, pani nowy język.

Mamy wiele wspólnych rzeczy, które kochamy.

Kochamy życie! We wszystkich jego objawach. Obie jesteśmy optymistkami, a różnica wieku między nami to tylko 48 lat! Stworzyło się coś – ni to przyjaźń, ni to pokrewieństwo.

Kiedyś kochała też pani papierosy. Kto panią poczęstował pierwszym?

Na Cyprze Anglicy wydzielali nam porcje, był przydział na chleb, papierosy, herbatę. Niedużo jednak. Janek, mąż Marysi, a mój dobry przyjaciel, zrobił patyk z gwoździem i zbierał tym pety – z nonszalancją wybierał tylko amerykańskie. Wyciągaliśmy z nich tytoń, zawijaliśmy go w stare gazety i tak dzięki niemu paliliśmy papierosy. Siedziałam przed naszym namiotem z dziewczynami: Felą, Edzią, Henią i Alizą, i nudziło nam się,

a wkoło wszyscy palili. Pamiętam, że tak miło zakręciło mi się w głowie, kiedy zapaliłam po raz pierwszy. Pomyślałam sobie: coś nowego, coś dorosłego. Podobała mi się moja postać z papierosem. Zaczęłam wtedy palić i przestałam dopiero po prawie sześćdziesięciu latach. Nikt mnie nie złapał bez papierosa! Został mi tylko ochrypnięty głos, o którym niektórzy mówią dziś: „spalony”.

Przede wszystkim papieros dodaje pewności siebie. Idzie się na jakieś spotkanie, nie wiadomo, co ze sobą zrobić, a tu bierze się papierosa i już jest się zajęтым szukaniem tego w torebce, odpalaniem, paleniem...

To był 2008 rok, kiedy się spotkałyśmy po raz pierwszy we wspomnianej przez panią kawiarni. Już wtedy pani nie paliła.

Kilka lat wcześniej podczas drobnego zabiegu lekarze uszkodzili mi trochę gardło i nie mogłam już palić. Pewnie gdybym zapaliła, zaraz bym znowu wróciła.

Szybko mi zleciało, a ja cały czas czuję, jakby to było nowe. Może dlatego, że nie ma takiej ciągłości, pani często jeździ do Polski, mamy przerwy w spotkaniach. Przywozi mi pani Polskę do domu, do Izraela.

A potem pani gosposia narzeka, że zamiast spać, wysiaduje pani do późnej nocy z tymi polskimi książkami i gazetami.

Czytam, leżąc na płask.

Ostatnio zdarza mi się też trochę płakać po nocach.

Nad tym, co było?

Nad samym faktem, że umieram w samym środku życia. Wnuk z żoną spodziewają się dziecka, kolejny ożenił się miesiąc temu, ten jedzie dać koncert, ten prawnuk ma niedługo bar micwę, a ja mam umierać. Tylko ból fizyczny sprawia, że chcemy odejść. Nikt nie chce umierać.

O śmierci napisała pani ostatnio wiersz:

Ona

Będzie zawsze w pobliżu. Kapryśna, podstępna i niby niespodziewana.
Czasem nawet poflirtuje z tobą dłuższą chwilę i nagle zrezygnuje i zniknie,
rozpływając się we mgle.

Ma czas i cierpliwość. Niezwykle twórcza ma dla ciebie rozłożysty wachlarz planów oraz stanów.
Nieraz w ostatniej chwili, kiedy zdaje ci się, że już naprawdę pragniesz jej gorąco,
ona odskakuje obojętnie w mrok.
Niekiedy udaje, że nie dostrzega cię wcale, wyciągając ku tobie zimną dłoń.
Najbardziej lubi zaskoczyć. Zjawić się stanowcza i zdecydowana na kres.
Jest ciągle blisko. Czujna i gotowa porwać cię stąd na zawsze¹⁷³.

Mam to poczucie już dłuższy czas, że to zostanie, a ja odejdę wkrótce. Wiem, że nic nie jest zależne od tego, czy ja żyję, czy nie. Pójdę tak, jak idą wszyscy, którzy kończą swoje zadanie, swoje lata! Tak jest zbudowane życie. Może to jest ta uroda życia, że wszystko jest jeden raz – jeden raz jest się dzieckiem, nic nie jest dane dwa razy, nie można nic naprawić. Życie jest jednorazowym strumieniem, w którym dokonujemy wyborów, raz wybieramy to, raz coś innego. Ja nie mam problemu z tym, że świat będzie dalej istniał beze mnie.

Czytałam ostatnio *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* Marcina Wichy. Zanim jeszcze dostał Nike, napisałam mu, że to świetna książka, że bardzo dobrze mi się ją czyta i bardzo się przy niej wzruszam.

Co pani się w niej podobało?

Niezwykła jest jego zdolność przenoszenia bardzo głębokich uczuć i wzruszających chwil pożegnania, lekko i niemal przezroczyście, prosto do serca czytelnika. Młode, nowoczesne, ptasie zdolności do pisania – ptasie, bo lekko, na skrzydłach jakby.

Przymierzała sobie pani?

Zawsze sobie wszystko przymierzam.

Wicha, żegnając się z matką po jej śmierci, segregując jej rzeczy, opisuje „najważniejszą półkę” swojej matki. Ma pani też taką?

Nie. Ale mam szufladę śmierci.

Co to takiego?

W szufladzie śmierci leżą zapisane imiona i nazwiska moich rodziców, daty ich urodzenia i śmierci, które będą wyryte na grobie moim i mojego

męża, na świętej ziemi. Syn, a może wnuk, zmówi nad nami kadisz. To będzie też alija moich rodziców, z moją śmiercią oni robią aliję do Izraela! Jest tam plan, co i gdzie napisać, dwupiętrowy grób to będzie przecież. Po pogrzebie na stole oprócz przekąsek będą moje książki i każdy, kto przyjdzie na moją sziwę, będzie mógł sobie wziąć moich *Osmalonych* po hebrajsku.

Dita zawsze mówi: „mamo, wszystkie twoje prośby co do sziwy i pogrzebu wrzuc do szuflady śmierci, żebyś nie miała później pretensji!”.

Krótko mówiąc, chcę ich trzymać za nogi, nawet jak umrę, jeszcze z grobu – prawdziwa *Polania!*

Zastanawia się pani czasem, co się stanie z tymi wszystkimi pani kartkami, domkami, bibelotkami?

Większość z tego szybko będzie w śmieciach, nie mam złudzeń.

Każdy sobie coś weźmie i będzie miał pamiątkę! Już nie jestem do nich przywiązana. Był czas, że zależało mi na zdjęciach rodziców, ale przecież i tak będziemy razem. Postanowiłam, że na cmentarz idę bez torebki i bez karty kredytowej.

Dołączą do pani dwunastu lal z Piłsudskiego 35?

To nie jest pierwszy raz, kiedy żegnam się ze swoimi ulubionymi rzeczami, ale pierwszy raz jestem tego świadoma. Wtedy byłam po nich w żałobie. Jak długo jestem, są mi potrzebne, jak mnie nie będzie, każdy może sobie zabrać stąd, co zechce.

Przebyła pani trudną i niebezpieczną drogę do Izraela, zostawiła w Polsce resztkę rodziny, pani najbliższych spalono w Treblince. Minęło kilkadziesiąt lat, siedzi pani na ławce w pobliskim parku, po wypadku i operacji kolana, i patrząc na bociany oraz żurawie migrujące do ciepłych krajów, mówi pani z uśmiechem i z przekonaniem: „starość nie jest łatwa, ale życie nadal jest piękne!”.

Bo życie naprawdę jest piękne! Nie tylko natura. Codzienne, zwykłe rzeczy! Czytanie książek, jedzenie, miłość, ubrania, kolczyki... czego ja nie lubię właściwie?

Teraz opiekuję się prawie dziewięćdziesięcioletnią staruszką. Muszę jej dać jeść, uczesać włosy, zabrać na spacer do parku, żeby sobie popatrzyła

na te czaple i żurawie, jak lecą jesienią do Afryki, a wracają wiosną do Europy i może do Polski. Cały czas muszę jej przypominać, co zapomina, na przykład gdzie odłożyła jedno ze swoich okularów, a gdzie aparat słuchowy...

Może to jest genetyczne? Od babci Udl, od mojego ojca, który miał w sobie dużo radości życia, od cioci Guty... Tak też widzę Dite, ona nie przemyka cichcem przez życie... Mam takie poczucie, że jak długo jestem, mam tutaj jakieś ważne sprawy do załatwienia, nie czuję się jeszcze zbyt zbyteczna, czuję, że mam jeszcze kilka słów do powiedzenia czy do napisania na mojej karcie życia. Nie jestem wysoka, mam siwe włosy, ale Dita mówi, że chodzę po ulicy, jakbym była wysoką blondynką. Kiedy zakładałam czerwony płaszcz, moje koleżanki się dziwią: „ale ty jesteś odważna!”. A ja nie bardzo rozumiem, o jaką odwagę im chodzi – kogo mam się bać, Niemca? Jak napisała kiedyś Łucja Gliksman: „I chociaż było długie i często bolało, to wciąż mi go za mało, za mało, za mało...”¹⁷⁴.

I wciąż go pani za mało?

Pewnie, że tak, cały czas. Wieczorem, kiedy sobie czytam czy oglądam coś ciekawego w telewizji, myślę sobie: „jak mi dobrze!”. Nie mam żadnych obowiązków... Amos zapytał mnie wczoraj, czy nie brakuje mi przytulania. Powiedziałam mu, że od przytulania mam wnuki i dzieci, a jeśli pyta o przytulanie się z mężczyzną, to pewnie, że mi brakuje. Ostatnio powiedziałam Dicie: „Wiesz, na czym naprawdę polega starość? Że już z nikim nie pójdziesz do łóżka”. I ona odpowiedziała: „Masz rację”. Kiedy umarł Chuzy, Dita kazała mi zapuścić włosy: „Teraz nikt cię już nie będzie głaskał, to będziesz sama się głaskać, czesać i układać...”.

Ale na wszystko jest określony czas, wszystko ma swój wyznaczony czas. I wszystko u mnie było!

Co jeszcze chciałaby pani zrobić, dopóki jest tu?

Ostatnio myślałam sobie, żeby zrobić coś, czego dawno już nie robiłam, a co nie jest wcale takie nieosiągalne...

Był taki czas, że jeździliśmy z Ilanem na brzeg mojego kibucu. Ilan był takim podopiecznym Chuzy'ego, studentem, a potem został przyjacielem całej rodziny. Przyjaźnił się z każdym z nas z osobna, z każdym inaczej. Kiedy dzwonił do mnie, zawsze mówiliśmy: „trzeba porozmawiać

o ważnych sprawach – kiedy się spotykamy?”. Przyjeżdżał rano w szabat, przywoził przygotowane przez siebie śniadanie i jechaliśmy nad morze do mojego ukochanego kibucu, siedzieliśmy tam i rozmawialiśmy. On mnie poznał wtedy, jak jeszcze tęskniłam do tego morza. Był właściwie jedyną osobą, której opowiedziałam całe moje życie, od A do Z.

Dlaczego akurat jemu i tylko jemu?

Bo tylko on chciał wiedzieć, słuchać, przecież nikt nie chciał tutaj wtedy tego słuchać.

Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, zaproponował: „a może pojedziemy?”. Pomyślałam, że tak, to dobry pomysł, ale teraz myślę sobie, że tam trudno siedzieć na tej ziemi... to już też należy do przeszłości... sama nie wiem...

Myślałam też o bar micwie mojego najstarszego prawnuka – że chciałabym jej doczekać, na pewno będzie to ładna uroczystość. Ale czemu akurat jego bar micwa? Nie ma końca. Może żeby zobaczyć dziecko każdego wnuka? Wtedy mogłabym naprawdę napisać wiersz o tym, ilu ludzi ocalał mój tatuś...

Tak naprawdę zależy mi tylko i wyłącznie na jednej rzeczy: żeby moim bliskim nic się nie stało, żebym mogła umrzeć spokojnie. Tak się ograniczam, widzi pani, nie mówię: żeby całemu Ramat Ganowi i Arabom nic się nie stało; mojej rodzinie!

No i wydać tę książkę.

Ale nie boję się śmierci, bo wiem, dokąd idę. Idę do męża!

I do rodziców, do babci Udi?

Tak! Bo będą ich imiona i nazwiska, nareszcie będą mieli grób, oni, co tyle lat byli tylko dymem i popiołem, będą mieli swój kamień na świętej ziemi...

Ale tam nic nie ma, ja wiem, że to wszystko pociesza – reinkarnacja, życie wieczne... Ale nie. Jakby Bóg istniał, to by ratował Korczaka i jego dzieci!

Ja mam nawet dwa groby: jeden tu, a drugi na cmentarzu żydowskim w Częstochowie. Tam razem ze wszystkim oszukаныmi i zastrzelonymi przez Niemców, tymi, którzy myśleli, że zapisują się na wyjazd do

Palestyny, a ja się uparłam wtenczas, że nigdzie nie jadę. A tu mam wspólny grób z Chuzym. Całe lata sobie z tego żartowaliśmy. Pamiętam, jak wrócił któregoś razu do domu i powiedział: „kupiłem nam dom, dwupiętrowy, świeże powietrze. Jest jedno ale: ja zamawiam miejsce na górze!”. Ostatecznie jest na dole, a ja ostatnio coraz częściej myślę o tym, żeby mnie spalić po śmierci. Nawet jeśli to jest drogie, to ostatni raz, kiedy trzeba będzie wydać na mnie pieniądze. Wiem, że to bardzo nieżydowskie, ale chcę zginąć tak, jak moi rodzice. Ich spalili w krematorium, to ja też chcę spłonąć. Jestem im wierna, będę z nimi w powietrzu. Może niech wrzucą mnie do morza tylko?

Spalenie ma także w sobie coś ostatecznego: już nie wrócę, zniknęłam całkowicie.

Ale najważniejsze, żeby lekko umrzeć, jak ja to mówię: położyć się spać zdrowa i wstać martwa!

Błogosławionej pamięci Amos Oz, chociaż niestety go nie poznałam osobiście, a tylko z czytania, zanim umarł, zdążył mnie uspokoić w moim lęku przed śmiercią. Przypomniałam sobie o jego słowach: „Czego się bać, przecież znamy to miejsce, stamtąd przychodzimy i tam wracamy”¹⁷⁵, po obejrzeniu programu telewizyjnego, w którym jakiś mężczyzna trzymał grudkę ziemi w rękach i mówił: „to jesteś ty, kiedyś tym będziesz”.

Dicie i Onikowi zawsze powtarzam: „wy się nie bójcie tego, co będzie, jak ja umrę; jak będziecie chcieli się zapytać o coś, ja wam zawsze odpowiem, zawsze będę w waszych głowach!”.

W mojej też?

W pani inaczej, bo pani ma swoją rodzinę... ale pewnie, że tak. Dziesięć lat! Pani też już ma tę moją mądrość w swojej głowie... A moja mądrość to jest ta moja śmierć, którą przeżyłam.

Życie jest jednorazowe i ograniczone. Tak jak pisze to Samuel Beckett: „One rodzą okrakiem na grobie, światło świeci przez chwilę, a potem znów noc, znów noc...”¹⁷⁶.

W zeszłoroczne Rosh ha-Shana było naprawdę fajnie... Siedzieliśmy sobie wszyscy razem w ogródku – ciepłą jesienią on pachnie wyjątkowo ładnie – trzeba być ślepym, żeby nie widzieć piękna życia! To powtarzanie się sezonów, to się przynajmniej temu waszemu Bogu udało. Któryś z wnuków

rzucił: „*Safta*, a może przydałaby ci się morfina?”. Na co ja natychmiast odpowiedziałam: „Cyjanek. Cyjanek powinien być w domu”.

I wszyscy się z tego śmialiśmy.

Zastanawiam się czasem, jak wyglądam w ich oczach. Może powiedzieliby tak: „Nasza babcia Irit odchodziła od nas pomalutku i niechętnie. Odchodząc, stała się zgryźliwą mizantropką. Trzeszczała sztuczną szczęką. Czytała z powiększającym szkłem. Jadła jakąś obrzydliwą papkę z mięsa i kartofli. Klęła po arabsku i po polsku. Umierała długo i dokładnie, ale umarła szybko i niespodziewanie”.

I już nie tęsknię za nikim. Może to brzmieć okropnie, ale to jest ta moja zdolność z wojny, z Szoa. Umieć nie tęsknić.

Razem z życiem dostajemy śmierć.

Można uciec przed Niemcem, ale nie przed śmiercią.

My, mieszkańcy gett, musieliśmy się z nią oswajać. Inaczej niepodobna było żyć. W częstochowskim getcie spotkanie starszych ludzi było straszniejsze niż spotkanie Degenhardta, oni tak bardzo bali się umierać, nie tak jak my tutaj, dzisiaj. Dlatego jak w purymowej maskaradzie – drwina ze śmierci pozwalała wierzyć w odmianę fortuny. Żydzi – wszy, Żydzi – tyfus płamisty, postawiony znak równości między insektem przenoszącym chorobę zakaźną a Żydem wyposażonym w chałat, jarmużkę, pejsy i drapieżny, zakrzywiony nos.

A teraz przyszła taka chwila, kiedy odchodzą nieliczni już osmaleni, którzy dzięki jakiemuś zbiegowi okoliczności zostali przy życiu, co okazało się dość skomplikowane, pozostawiając trzy nowe pokolenia, których językiem macierzystym jest język Ojców, hebrajski.

*I Shalom al Israel!*¹⁷⁷

Irit Amiel, z domu Irena Librowicz
Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein
Ramat Chen, 2020

Po śmierci wszystkich świadków,
kiedy tamte dawne echa nie będą już pobrzmiwały, kiedy
jak zwykle prawda zostanie zapomniana,
trzeba będzie jednak powrócić
i zajrzeć znów w takie strony jak te.

Albert Camus¹⁷⁸

- 1 I. Amiel, *Egzamin z Zagłady*, w: Taż, *Spóźniona / Delayed*, Austeria, Kraków–Budapeszt 2016, s. 138.
- 2 *Ovadia* (hebr.) – Abdiasz, jeden z biblijnych proroków, autor Księgi Abdiasza.
- 3 A. Włast, *Śnieg*, muz. P. Arezzo, 1911.
- 4 O ukrywaniu się w getcie na strychu poetka pisała w wierszu *Asocjacje* (I. Amiel, *Asocjacje*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 66).
- 5 Eliyahu „Chuzu” Amiel – zmarł 2 stycznia 2016 roku. Jeden z pierwszych budowniczych Kraju, walczył w elitarnej żydowskiej jednostce wojskowej Palmach. Odznaczony za zasługi na rzecz rozwoju turystyki w Izraelu. Założył w 1976 roku Amiel Tours z siedzibą w Or Yehuda, którą kierował do 2000 roku; po nim firmę przejął syn Oni. Obecnie pracuje tam również żona Onika i ich dzieci. Irit nie była bezpośrednio związana z pracą w firmie.
- 6 Dita Amiel (ur. 1958) – studiowała cztery lata sztukę w Ramat HaSharon, specjalizowała się w rysunku i fotografii, rysuje i maluje od lat. Jest projektantką mody, od trzydziestu lat utrzymuje się z projektowania ubrań, które zamawiają od niej właścicielki butików w kraju.

Oni Amiel (ur. 1955) – dorastał w Ramat Gan, służył w harcerstwie, służbę wojskową odbył w brygadzie spadochronowej i ukończył ją jako dowódca jednostki. Dyplom zrobił, ucząc się historii i geografii Izraela w Beit Berl College, doświadczenie zdobywał w Europie, pracując w firmach turystycznych. W latach osiemdziesiątych dołączył do Amiel Tours, założonej przez ojca w 1976 roku firmy obsługującej turystów. Jako syn ocalałej z Szoa i potomek marokańskich Żydów od pięciu pokoleń w Izraelu, czuje się bardzo związany z Krajem.
- 7 I. Amiel, *Tu i tam*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 44.
- 8 Pisarka urodziła się 5 maja 1931 roku w Częstochowie.
- 9 Natalia Librowicz z domu Hassenfeld – matka Irit Amiel, pochodziła z wielodzietnej rodziny częstochowskich Żydów. Zginęła w Treblince prawdopodobnie w 1942 roku. Bohaterka wielu wierszy i opowiadań swojej córki.

Leon Librowicz – ojciec Irit Amiel, właściciel sklepu tekstylnego w Częstochowie, mąż Natalii Librowicz. Zginął w Treblince prawdopodobnie w 1942 roku. Bohater wielu wierszy i opowiadań swojej córki.
- 10 I. Amiel, *Sonet o obłąkanej Rywele*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 74.
- 11 Cytat z trudnego do zidentyfikowania wiersza S. Czernichowskiego znajdującego się w domowym archiwum poetki, tłumaczonego przez nią samą.
- 12 *Polania* (hebr. ‘Polka’) – według stereotypu chłodna, zamknięta, wiecznie niezadowolona i krytykująca wszystko Izraelka pochodząca z Polski; bohaterka licznych dowcipów.
- 13 T. Fiałkowski, *Świat na krawędzi*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000, s. 108.
- 14 Sabra, saberka – od hebrajskiego słowa *tsabar* oznaczającego owoc opuncji: kolczasty na zewnątrz, miękki i słodki w środku.
- 15 *Polnische dripke* (jid.) – jeden z przydomków (tu obraźliwy) nadanych emigrantkom z Polski, w języku żydowskim oznacza kobietę rozwiązłą, brudaskę.

- 16 *Mizrachit* (hebr., r. żeński, 'ze Wschodu') – określenie Żydówki orientalnej, przybyłej do Izraela z obszarów państw arabskich lub tam mieszkającej.
- 17 I. Amiel, *Od zawsze była powolna...*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 70.
- 18 I. Amiel, *Linka*, w: Taż, *Osmaleni*, wyd. drugie, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2010, s. 10.
- 19 Palmach – akronim hebrajskich słów *Pelugot Machatz*, tj. Siły Uderzeniowe; elitarny związek taktyczny paramilitarnej organizacji Hagana w Palestynie w latach 1947–1948.
- 20 Dżachnun – jemeńska potrawa, rodzaj mącznego wypieku, tradycyjnie serwowana w szabatowy poranek wraz z jajkiem, sosem ze świeżych pomidorów i ostrą pastą schug.
- 21 I. Amiel, *Życie – tytuł tymczasowy*, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2014, s. 219.
- 22 Pisarka chodziła do III Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. W 1945 roku ukończyła klasę pierwszą (I d) z między innymi takimi stopniami: dobrym ze sprawowania, bardzo dobrym z języka angielskiego, bardzo dobrym z historii, bardzo dobrym z geografii, dobrym z przyrodoznawstwa i dobrym z ćwiczeń cielesnych. W archiwum Irit Amiel zachowało się świadectwo z tego okresu. Zaznaczono na nim, że uczennica była wyznania mojżeszowego.
- 23 HASAG – Hugo Schneider Aktiengesellschaft Metallwarenfabrik, fabryka założona w 1863 roku. Podczas drugiej wojny światowej na okupowanych terenach Polski pracowało w niej niewolniczo ponad 40 tys. Żydów. Filie HASAG znajdowały się w getcie częstochowskim, Kielcach i Skarżysku-Kamiennej.
- 24 Panny z Częstochowy – grupa częstochowskich dziewcząt-emigrantek, ocalałych z getta i obozu pracy niewolniczej HASAG. Amiel dołączyła do nich w czasie Brichy i dotarła z nimi aż do Izraela. Por. I. Amiel, *Życie...*, s. 123–131.
- 25 Udl Librowicz – matka ojca pisarki, Leona Librowicza. Zginęła w getcie częstochowskim. Por. I. Amiel, *Prawa genetyki*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 30.
- 26 I. Amiel, *Przeprosiny...*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 54.
- 27 I. Amiel, *Życie...*, s. 69.
- 28 K. Hoffmann, *Rana i staranność: wokół „Spóźnionej” Irit Amiel*, „Miasteczko Poznań” 2016, nr 2, s. 150.
- 29 „Jestem tą, która tam była”. Z Irit Amiel rozmawia Remigiusz Grzela, „Miasteczko Poznań” 2014, nr 1–2, s. 144.
- 30 I. Amiel, *Sylwia (wrzesień 1942 rok)*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 48.
- 31 I. Amiel, *Nowy rodowód*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 192.
- 32 S. Friedländer, *Dokąd prowadzi pamięć: moje życie*, przeł. M. Romanek, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017.
- 33 Określenia „doktór” używała pisarka w rozmowach prywatnych. Posłużyła się nim także w wierszu *Ballada o Stoczewacho*.
- 34 I. Amiel, *Ballada o Sruklu*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 112.

- 35 Chodzi o tzw. duże i tzw. małe getto w Częstochowie. Po pierwszej wielkiej akcji likwidacyjnej 21 września 1942 roku Niemcy utworzyli „małe” getto, w którym zamknęli ok. 5–6 tys. osób pracujących w zakładach zbrojeniowych HASAG.
- 36 W. Szymborska, *Kilkunastoletnia*, w: Taż, *Tutaj*, Znak, Kraków 2009, s. 12–14.
- 37 I. Amiel, *Życie...*, s. 74–75.
- 38 Tzahal, Tsva Haganah Lelsrael, Siły Obronne Izraela.
- 39 I. Amiel, *Życie...*, s. 226.
- 40 B. Cyrulnik, *Ratuj się, życie wzywa*, przeł. E. Kaniowska, Czarna Owca, Warszawa 2014.
- 41 I. Amiel, *Życie...*, s. 213.
- 42 I. Amiel, *Linka...*, s. 10.
- 43 D. Humphry, *Final Exit* (pełny tytuł: „Wyjście ostateczne: praktyki samowyzwolenia i wspomaganego samobójstwa dla umierających” – tłum. A.P.B.) – wydana w 1991 roku, nazywana często instrukcją samobójstwa książka opisująca sposoby zakończenia życia dla przewlekłe chorych. Podaje sposoby, techniki i odpowiednie luki prawne. Publikacja otworzyła debatę nad prawem do wyboru śmierci.
- 44 I. Amiel, *Kartka z pamiętnika*, w: Taż, *Osmaleni...*, s. 9.
- 45 Seder (hebr. ‘porządek’) – uroczysta kolacja w wigilię święta Pesach, w czasie której czyta się Hagadę, czyli opowieść o wyjściu z Egiptu.
- 46 I. Amiel, *Życie...*, s. 62; „[...] sprowadzić na świat nowe dzieci, za tamte, spalone”. Z *Irit Amiel o życiu i pisaniu rozmawia Marta Tomczok*, „Narracje o Zagładzie” 2020, nr 6, s. 28–36. Powieść redaktorki lwowskich „Sygnałów” Haliny Górskiej, wydana w 1931 roku, stała się dla opisywanej przez Amiel grupy dzieci z getta częstochowskiego inspiracją. Czerpały z niej pomysły i wzory zachowań, radość i energię. Opisywany przez Górską „Związek Błękitnych”, zrzeszający filantropów opiekujących się najbardziej niebezpiecznymi mieszkańcami peryferii Lwowa, szczególnie młodzieżą z rodzin robotniczych, stanowił także inspirację dla Hufca Błękitnych Rycerzy, powołanego przez dzieci z getta w Częstochowie. Por. A. Baumgardten, *Chłopak z „Błękitnych”*, w: *Książka dla Karola*, wyb. i oprac. K. Koźniewski, Czytelnik, Warszawa 1983, s. 65–74; Z. Lissa, *Muzyka dla Karola*, w: *Książka dla Karola...*, s. 75–80.
- 47 Bricha (dosł. ‘ucieczka’) – „zorganizowany podziemny ruch [działający – M.T.] pomiędzy 1944 a 1948 rokiem, [który – M.T.] koordynował nielegalną emigrację Żydów z Europy Wschodniej do Palestyny. Do sierpnia 1945 roku celem Brichy było przetrzymanie ich do Włoch i stamtąd do Palestyny” (D. Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2010, s. 74).
- 48 I. Amiel, *Ucieczka spod Jasnej Góry*, w: Taż, *Podwójny krajobraz*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008, s. 16–19; Taż, *Pierwsze kroki w Kraju*, w: Taż, *Podwójny krajobraz...*, s. 20–28; Taż, *Życie...*, s. 123–167; Taż, *Ballada*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 62.
- 49 M. Trębacz, „Pod murami Jasnej Góry”. *Pogrom w Częstochowie 19–21 czerwca 1937 r., w: Pogromy Żydów na ziemiach polskich w XIX i XX wieku*, T. 2: *Studia przypadków (do 1939 roku)*, red. K. Kijek, A. Markowski, K. Zieliński, Instytut Historii PAN, Warszawa 2019, s. 409–428.

- 50 „Der Strümer” (dosł. ‘napastnik’) – niemiecki tygodnik propagandowy wydawany w latach 1923–1945. Publikował wiele zjadliwych, antysemickich karykatur.
- 51 I. Amiel, *Życie...*, s. 67–82.
- 52 I. Amiel, *Modlitwa*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 76.
- 53 Maria Hochberg Mariańska (1913–1996) – pisarka, dziennikarka, członkini Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Wojnę przeżyła na „aryjskich papierach” w Krakowie. Łączniczka i redaktorka nielegalnej gazety „Wolność”. W latach 1946–1947 przygotowała do druku dziennik Janiny Heschel *Oczyrna 12-letniej dziewczyny* oraz zbiór relacji *Dzieci oskarżają*. Współzałożycielka Żydowskiej Komisji Historycznej. Od 1963 roku dyrektorka oddziału Jad Waszem w Tel Awiwie. Wraz z mężem Mieczysławem Mariańskim wydawała w 1988 roku wspomnienia *Wśród przyjaciół i wrogów: poza gettem w okupowanym Krakowie*. Pisała o sobie, że jedynie dzięki intensywnej pracy mogła przeżyć wojnę. Por. A. Czocher, D. Kałwa, B. Klich-Kluczewska, B. Łabno, *Wojna to męska rzecz? Losy kobiet w okupowanym Krakowie w dwunastu odstępach (katalog do wystawy)*, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Kraków 2011, s. 54–57.
- 54 M. Gebirtig, „*To boli...*”, w: *Pieśń ujdzie cało... Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką*, oprac. i szkicem wstępnym poprzedził M.M. Borwicz, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Lublin 2012, s. 236 [reprint z: Centralna Żydowska Komisja Historyczna w Polsce, Warszawa–Łódź–Kraków 1947].
- 55 *Safta* (hebr.) ‘babcia’.
- 56 Bulbenik inaczej bulbynek, babka kartoflana, tarcziuch – babka z utartych surowych ziemniaków i cebuli, przyprawionych pikantnie i upieczonych na złoty kolor w piecu.
- 57 Tu: o świętach obchodzonych w miesiącu Tiszri, tj. Rosz ha-Szana, Jom Kippur, Sukot i Simchat Tora. Są to jedne z najważniejszych świąt w judaizmie.
- 58 *Sulches* (jid. z hebr. *Slichot*) ‘przeprosiny’.
- 59 *Ma Nishtana* (hebr. ‘co się zmieniło’) – tradycyjna pieśń śpiewana przez dzieci w czasie kolacji Pesachowej.
- 60 Afikoman (hebr.) – połowa macy przełamanej na początku posiłku Pesachowego. Chowa się ją dla dzieci, które po odnalezieniu oddają ją prowadzącemu seder w zamian za prezent.
- 61 Dipiska, dipis (*displaced persons*, dosł. ‘osoby przemieszczone’) – tutaj: żydowscy emigranci, uczestnicy aliji, próbujący przedostać się z Europy do Palestyny, zmuszeni zatrzymywać się w czasie podróży w różnych tymczasowych miejscach.
- 62 A. Mickiewicz, *Powrót taty*, w: Tenże, *Wiersze*, Czytelnik, Warszawa 1970, s. 92.
- 63 I. Amiel, *Sen na pożegnanie tysiąclecia*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 148.
- 64 Ulpan (hebr.) – studio, tutaj: intensywny kurs języka hebrajskiego dla nowych imigrantów.
- 65 I. Amiel, *Planetka*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 172–174.
- 66 J. Tuwim, *Okulary*, w: Tenże, *Wiersze zebrane*, tekst oparto na wyd. z r. 1971 w oprac. A. Kowalczykowej, T. 2, wyd. trzecie, Czytelnik, Warszawa 1975, s. 457.

- 67 J. Tuwim, *Lokomotywa*, w: J. i I. Tuwim, *Dzieciom*, Nasza Księgarnia, Warszawa 2012, s. 160–161.
- 68 S. Jachowicz, *Chory kotek*, Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2013, s. 1.
- 69 J. Brzechwa, *Żuraw i czapla*, w: Tenże, *Księga wierszy*, il. J. Obłucki, Wydawnictwo PiK, Katowice 1993, s. 48.
- 70 J. Brzechwa, *Chrzyszcz*, w: Tenże, *Brzechwa dzieciom*, il. J.M. Szancer, Nasza Księgarnia, Warszawa 1980, s. 47.
- 71 *Daber iwrit* (hebr. דבר עברית) ‘Mów po hebrajsku’.
- 72 Sarafan – rodzaj tradycyjnej sukni noszonej przez rosyjskie kobiety.
- 73 Galut (hebr. גלות) – wygnanie Żydów z ziemi Izraela i ich pobyt w diasporze, na obczyźnie, jako ludu pozbawionego ojczyzny, traktowane często jako kara za grzechy tego narodu. Wygnańców ma sprowadzić do Izraela Mesjasz. „Galuti” – przymiotnik odnoszący się do galutu, czyli diaspory; związany z diasporą, członek diaspory.
- 74 Ryszard Loew (ur. 1931) – historyk, krytyk, organizator życia literackiego w Izraelu, od 1990 roku prezes Związku Autorów Piszących po Polsku w Izraelu, w latach 1993–2006 redaktor rocznika literackiego „Kontury”. Autor monografii: *Znaki obecności. O polsko-hebrajskich i polsko-żydowskich związkach literackich* (1995) i *Rozpoznanie. Szkice literackie* (1998).
- 75 Łucja Gliksman z domu Pinczewska (1912–2002) – ocalała z Holocaustu, poetka tworząca w języku polskim, tłumaczka, językoznawczyni, publicystka i historyk literatury. Należała do Związku Autorów Piszących po Polsku w Izraelu. Jej spuścizna literacka znajduje się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu. Opiekunka i towarzyska życia Leo Lipskiego po jego emigracji do Izraela.
- 76 Miriam Akavia, pierwotnie Matylda Weinfeld (1927–2015) – ocalała z Holocaustu, honorowa przewodnicząca Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej, odznaczona Orderem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za pracę na rzecz zbliżenia polsko-izraelskiego; pełniła funkcję *attaché* kulturalnego w przedstawicielstwach Izraela w Budapeszcie i Sztokholmie; pisarka, tłumaczka.
- 77 Maria Lewińska z domu Perel (ur. 1933) – wojnę przeżyła wraz z rodzicami w ZSRR, po powrocie do Polski pracowała jako dziennikarka. Do Izraela wyjechała w 1958 roku. Opublikowała między innymi tom rozmów z polskimi emigrantami *Przechowane słowa* (2008).
- 78 Henryk Szafir (ur. 1948) – wojnę przeżył wraz z rodzicami w ZSRR. Z Polski do Izraela wyjechał w 1966 roku. Pracował jako sekretarz w redakcji czasopisma „Nowiny-Kurier”. Tłumaczył na język polski między innymi *Badenheim 1939* Aharona Appelfelda.
- 79 Elżbieta Frister (ur. 1949) – dziennikarka, teatrolożka, tłumaczka. W latach 1989–2008 mieszkała w Izraelu. Żona Romana Fristera.
- Roman Frister (1928–2015) – ocalały z Zagłady. Przeżył obozy w Starachowicach, Mauthausen i Auschwitz. W 1957 roku wyjechał do Izraela. Redaktor naczelny magazynu weekendowego „Ha'aretz”. W 1993 roku opublikował autobiografię, którą wraz z żoną Elżbietą przetłumaczył na język polski i wydał w 1996 roku pt. *Autoportret z bliźną*.

- 80 Charakterystyczny dla pisarki, używany przez nią w mowie potocznej, zwrot oznaczający „wyobrażałam sobie coś albo siebie w jakiejś sytuacji”.
- 81 *Język polski i polscy Żydzi w Izraelu. Z Sabiną Andracyk ostatnią redaktorką izraelskich „Nowin-Kuriera” rozmawia Sławomir Jacek Żurek*, „Midrasz. Pismo Żydowskie” 2018, nr 5, s. 65.
- 82 Sderot Rothschild, Rothschild Boulevard – jedna z głównych ulic Tel Awiwu.
- 83 Minipowieść Leo Lipskiego uchodziła za utwór skandalizujący. Narrator, kaleki mężczyzna, prawdopodobnie polski Żyd, opowiada historię swoich chorób, cierpień, ponizeń i fascynacji miłosnych. Jego przyjaciółką i powiernicą jest Batia, prostytutka. *Piotruś* został po raz pierwszy wydany w 1960 roku w Paryżu.
- 84 Zeruya Shalev (ur. 1959) – popularna izraelska pisarka, najczęściej przekładana na inne języki. Autorka między innymi głośnej powieści *Życie miłosne* (zекranizowanej w 2007 roku w Niemczech), otwierającej trylogię, na którą złożyły się również kolejno: *Mąż i żona* oraz *Po rozstaniu*. Debiutowała tomem wierszy.
- 85 Yoram Kaniuk (1930–2013) – izraelski pisarz, malarz, dziennikarz i krytyk teatralny. Służył w elitarnej jednostce Palmach. Autor 17 powieści, kilku tomików opowiadań, wspomnień i esejów. Jego książki zostały przełożone na 25 języków. Na znak protestu zrzekł się swego żydostwa, kiedy jego urodzonemu w Izraelu wnukowi wpisano w akcie urodzenia „brak wyznania” (żona Kaniuka była chrześcijanką), co zaowocowało nowym zwrotem w języku hebrajskim: „lehitkaniuk”, oznaczającym podobne decyzje.
- 86 Yoel Hoffmann (ur. 1937) – współczesny pisarz izraelski, pracownik naukowy z tytułem profesora na Uniwersytecie w Hajfie. Od czasu pobytu w klasztorze zen, gdzie studiował z mnichami chińskie i japońskie teksty, zajmuje się buddyzmem, poezją japońską i filozofią. Przyszedł na świat w Rumunii, skąd we wczesnym dzieciństwie uciekł z rodzicami przed rosnącym wpływem nazizmu.
- 87 Mosze Szamir (1921–2004) – pisarz izraelski, polityk, autor książek dla dzieci.
- 88 Israel Gutman (1923–2013) – członek ŻOB, brał udział w powstaniu w getcie warszawskim. Przeżył obozy w Majdanku, Mauthausen, Auschwitz. Świadek w procesie Adolfa Eichmanna. W 1993 roku opublikował książkę *Żydzi warszawscy 1939–1943. Getto, podziemie, walka*.
- 89 Tanach (hebr. תנ"ך) – święta księga judaizmu; akronim utworzony od trzech słów hebrajskich: *Tora* (Prawo), *Newiim* (Prorocy) i *Ktuwim* (Pisma).
- 90 *Pieśń Debory* – utwór pochodzący z Księgi Sędziów, opisujący zwycięstwo Izraelitów nad Kananejczykami, wychwalający Jaelę, która zabiła dowódcę kananejskiego Siserę. Debora, której przypisuje się autorstwo owego tekstu, była prorokinią i jedyną kobietą sędzią w Izraelu.
- 91 A. Asnyk, *Daremne żale*, w: Tenże, *Poezje*, wstęp S. Lichański, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974, s. 383.
- 92 Fragment *Pieśni Wajdeloty*, będącej częścią powieści poetyckiej Adama Mickiewicza *Konrad Wallenrod* (oprac. S. Chwin, wyd. czwarte przejrzone, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków 1998, s. 57), posłużył za tytuł antologii „wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką”, opublikowanej w 1947 roku przez Michała M. Borwicza (*Pieśń ujdzie cało...*). Znalazły się w niej zarówno

wiersze anonimowe, jak i poezja twórców wybitnych, takich jak: Władysław Broniewski, Czesław Miłosz, Julian Przyboś czy Tadeusz Różewicz.

- 93 A. Mickiewicz, *Konrad Wallenrod...*, s. 57–58.
- 94 T. Nyczek, *Autobiografia Irit Amiel. Panna z Częstochowy żyje w Tel Awiwie*, „Gazeta Wyborcza” z dn. 26 sierpnia 2014 roku.
- 95 J. Einhorn, *Wybrany, aby żyć*, Wydawnictwo Marpress, Gdańsk 2002.
- 96 S. Twardoch, *Królestwo*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, s. 348–349.
- 97 Irit Amiel od przyjazdu do Izraela wynotowywała z literatury pięknej i naukowej rozliczne fragmenty, przepisując je jako cytaty bądź parafrazy do zeszytów. Po śmierci pisarki odnalazło się kilkanaście notatników z tego typu zapiskami, często bez podanego adresu bibliograficznego.
W przypadku myśli Kazimierza Wyki, wtrąconej do rozmowy rzeki prawdopodobnie na zasadzie opisaney wyżej (zacytowanego fragmentu, który Amiel zanotowała wcześniej w prywatnym zeszycie), nie udało się odnaleźć źródła.
- 98 Zwrot charakterystyczny dla języka mówionego pisarki.
- 99 Opowiadanie to pierwotnie miało ukazać się w zbiorze *Osmaleni*, na życzenie autorki zostało jednak usunięte. Obecnie znajduje się w posiadaniu Agaty Patalas.
- 100 Galabija (z arab. džallabijja) – tradycyjne szerokie, luźne okrycie noszone przez arabskich mężczyzn, zwykle białe.
- 101 Cytat z trudnego do zidentyfikowania wiersza S. Czernichowskiego znajdującego się w domowym archiwum poetki, tłumaczonego przez nią samą.
- 102 I. Amiel, *Asocjacje*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 66.
- 103 I. Amiel, *Noc psów*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 50–52.
- 104 I. Amiel, *Kartka z pamiętnika...*, s. 7–9.
- 105 I. Amiel, *Próba*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 158.
- 106 I. Amiel, *Współczesny mit*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 100.
- 107 I. Amiel, *Oni*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 190.
- 108 Chodzi o antologię *Spóźniona...*
- 109 Koh 1, 4–7, w: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, przeł. W.O. Jakub Wujek S.J., Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962, s. 708.
- 110 I. Amiel, *Pożegnanie mojej martwej klasy*, w: Taż, *Podwójny krajobraz...*, s. 99.
- 111 Tamże, s. 101.
- 112 I. Amiel, *Wina*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 40.
- 113 I. Amiel, *Daniel*, w: Taż, *Osmaleni...*, s. 34.
- 114 Zwrot charakterystyczny dla języka mówionego pisarki.
- 115 Icchak Cukierman („Antek”, 1914–1981) – członek Droru, współzałożyciel żov, uczestnik powstania w getcie warszawskim i powstania warszawskiego. Mąż Cywii Lubetkin (Cukierman).
- 116 M. Głowiński, *Postowie*, w: I. Amiel, *Osmaleni...*, s. 103.

- 117 Tamże.
- 118 Tamże.
- 119 S.J. Lec, *Anno 1943*, w: *Pieśń ujdzie cało...*, s. 111–112.
- 120 M. Zegadło, *Dla Irit Amiel*, <http://szafa.kwartalnik.eu/57/html/poezja/zegadlo.html> [dostęp: 27.02.2021].
- 121 I. Amiel, *Egzamin z Zagłady...*, s. 138.
- 122 I. Amiel, *Życie...*, s. 80.
- 123 Anna Goldman (ur. 1937) – córka inżyniera Józefa Goldmana, brata Doroty Hassenfeld, daleka kuzynka Irit Amiel. Wojnę przetrwała wraz z matką na „aryjskich papierach” w Warszawie i w okolicach Pruszkowa. Po wojnie skończyła medycynę i pracowała jako lekarka. Opisana jako „Ania” w *Życiu – tytule tymczasowym*.
- 124 Guta (Gustawa) Kremska – siostra ojca Irit Amiel, Leona Librowicza.
- 125 I. Amiel, *Perta*, w: *Taż, Spóźniona...*, s. 72.
- 126 Dorota (Dora) Hassenfeld-Hankiewicz (1898–1980) – prawniczka, żona adwokata Mariana Hassenfelda, działaczka społeczna. Przed wojną mieszkała w Częstochowie.
- 127 Marian Hassenfeld-Hankiewicz (1902–1993) – brat matki Irit Amiel, adwokat, założyciel i długoletni członek zespołu adwokackiego w Częstochowie. W latach 1949–1951 prorektor, a w latach 1956–1960 rektor Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Częstochowie, pracownik Politechniki Częstochowskiej; współorganizował w Częstochowie Okręgową Komisję Badania Zbrodni Niemieckich. Odznaczony licznymi państwowymi wyróżnieniami. W czasie wojny posługiwał się przybranym nazwiskiem: „Hankiewicz”, które później dodał do rodzowego nazwiska Hassenfeld. Jego powojenne losy opisała Hanna Krall w *Białej Marii*.
- 128 Por. I. Amiel, *Migawkowe zdjęcie*, w: *Taż, Podwójny krajobraz...*, s. 86.
- 129 *Ima* (hebr.) ‘mama’.
- 130 Yehuda Amichaj (1924–2000) – izraelski poeta, autor dwóch powieści, tomu opowiadań i kilku dramatów. Pochodził z ultraortodoksyjnej rodziny, sam porzucił religijność w wieku osiemnastu lat. Urodził się w Niemczech jako Ludwig Pfeuffer, nazwisko zmienił po przyjeździe do Izraela w 1935 roku. Po polsku ukazały się tomy wierszy: *Koniec sezonu pomarańczy* (2000) oraz *Otwarte zamknięte otwarte* (2017).
- 131 Natan Alterman (1910–1970) – izraelski poeta, dziennikarz, pisarz. Autor niezwykle wpływowej cotygodniowej rubryki „Siódma kolumna” w czasopiśmie „Dawar” w latach 1943–1965. Na świat przyszedł w Warszawie. Uhonorowany Nagrodą Izraela w dziedzinie literatury.
- 132 Dalia Rawikowicz (1936–2005) – izraelska poetka, tłumaczka i aktywistka pokojowa, współpracująca z artystami, muzykami i innymi postaciami życia publicznego szukającymi pokoju, równości i sprawiedliwości społecznej. Przekładała na język hebrajski utwory między innymi T.S. Eliota i E.A. Poe.
- 133 Hezy Leskali (1952–1994) – izraelski poeta, choreograf i malarz. Jako jeden z pierwszych przedstawicieli życia publicznego otwarcie deklarował, że jest gejem, i udzielał się w organizacjach LGBT. Jego rodzina pochodziła z Czech, pierwsza żona ojca i ich dziecko zginęły w czasie Zagłady.

- 134 Yaakov Besser (1934–2006) – izraelski poeta, edytor, tłumacz i animator kultury. Na świat przyszedł w Kaliszu, skąd jego rodzina uciekła w 1939 roku przed wojskami niemieckimi do Rosji, a stamtąd w 1950 roku do Izraela. Założyciel gazet „Proza” i „Iton 77”. Główną tematyką, którą się zajmował, była podwójna tożsamość – z jednej strony Izraelczyk mówiący po hebrajsku, z drugiej dziecko, które uciekło z Polski.
- 135 Dawid Awidan (1934–1995) – izraelski poeta, malarz, publicysta, scenarzysta i filmowiec. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, sam przekładał swoje wiersze na język angielski. Wielokrotnie nagradzany, ale jednocześnie krytykowany za egocentryzm i szowinizm.
- 136 Yona Wallach (1944–1985) – izraelska rewolucyjna poetka, uważana za ikonę feminizmu i postmodernizmu. Brutalna śmierć jej ojca w wojnie o niepodległość Izraela w 1948 roku miała decydujący wpływ na jej późniejsze życie – kilkukrotne załamanie nerwowe, pobyty w szpitalu psychiatrycznym i eksperymenty z narkotykami (w tym zgoda, której udzieliła jednemu z lekarzy, na eksperymentowanie z LSD, co doprowadziło niemal do jej śmierci). Jej wiersze były często przesycone erotyzmem, co wzbudzało duży oddźwięk w mediach.
- 137 Dan Pagis (1930–1986) – izraelski poeta pochodzący z Bukowiny, ocalały z Zagłady, były więzień nazistowskich obozów. Wykładał literaturę hebrajską na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Jego najczęściej cytowanym wierszem jest *Pisane otówkiem w zaplombowanym wagonie*, który znalazł się również na ścianie w Muzeum Pamięci w Bełżcu.
- 138 Roni Somek (ur. 1951) – izraelski poeta i pisarz pochodzący z Bagdadu. Wykłada literaturę, prowadzi zajęcia z kreatywnego pisania. Autor trzynastu tomów poezji oraz dwóch książek dla dzieci, które napisał wraz z córką Shirley. Zdobywca Nagrody im. Yehudy Amichaja.
- 139 Natan Zach (1930–2020) – izraelski poeta, edytor, tłumacz, eseista i krytyk literacki. Urodził się w Berlinie jako Harry Seitelbach, w 1935 roku przeniósł się do Palestyny. Laureat Nagrody Bialika w dziedzinie literatury, był profesorem komparatystyki i języka hebrajskiego na Uniwersytecie w Hajfie. Jego esej *Mysli na temat poezji Altermana* (bohater eseju był wówczas jednym z najbardziej szanowanych i cenionych poetów w kraju) stał się manifestem grup sprzeciwiających się patosowi poetów syjonistycznych. Zach wprowadził nowe zasady dotyczące rymu i metrum w poezji.
- 140 Aron Szabtaj (ur. 1939) – izraelski poeta i tłumacz, autor około dwudziestu tomów poezji. Przekłada starożytną grekę, wykłada literaturę na Uniwersytecie w Tel Awiwie. W latach dziewięćdziesiątych wzbudził publiczny gniew i krytykę tomem wierszy *Ziva*, w którym z niespotykaną dokładnością opisywał swoje życie erotyczne z Zivą Pustak. Otrzymał Nagrodę Czernichowskiego i Lei Goldberg.
- 141 Meir Wieseltier (ur. 1941) – izraelski poeta i tłumacz. Urodził się w Moskwie, kilka lat spędził w Polsce. W latach sześćdziesiątych dołączył do grupy znanej jako Poeci Tel Awiwu. Wydał trzynaście tomów poezji, przekładał na język hebrajski poezję rosyjską, francuską i angielską, a także tragedie Szekspira. Wieseltier jest znany ze swojego sarkazmu i ironii, pisze często w pierwszej osobie jako poszukiwacz wartości w świecie chaosu. Nagrodzony wspólnie z Hanochem Levinem Nagrodą Bialika, zdobywca Nagrody Izraela w dziedzinie literatury i poezji.
- 142 D. Pagis, *Ostatni*, przeł. I. Amiel, Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2004.

- 143 Ada Pagis (ur. 1932) – izraelska poetka i pisarka. Na świat przyszła w Kaliszu, wojnę przeżyła w ZSRR. Pracowała przez wiele lat w Instytucie Jad Waszem. W jednym z wywiadów wyznała, że jest wypełniona Zagładą i nie potrafi pisać o niczym innym, często też stawia się w roli ofiar. Żona izraelskiego poety Dana Pagisa.
- 144 Hanoach Levin (1943–1999) – izraelski dramaturg, pisarz, poeta i reżyser teatralny, wzbudzający wiele kontrowersji ze względu na obecne w jego utworach prowokacyjne treści i wulgaryzmy. Jego rodzice wyemigrowali z Łodzi w 1935 roku.
- 145 H. Levin, *Ja i ty i następną wojną. Teatr życia i śmierci*, przeł. I. Amiel, Agencja Dramatu i Teatru „Adit” – Wydawnictwo Austeria, Warszawa–Kraków 2009.
- 146 Abramek Koplłowicz – poeta żydowski, więzień getta łódzkiego, zginął w Auschwitz w 1944 roku. Zeszyt z jego wierszami odnalazł po wojnie ojciec i przekazał do Instytutu Jad Waszem w Jerozolimie. W 1995 roku Irit Amiel przełożyła je na język hebrajski, a izraelski zespół Kerach nagrał utwór, którego warstwę słowną stanowił wiersz *Marzenie*.
- 147 H. Grynberg, *Pamiętnik 2, Świat Książki*, Warszawa 2014, s. 78.
- 148 H. Grynberg, *Lekcja o człowieku*, w: I. Amiel, *Podwójny krajobraz...*, s. 7–9.
- 149 To parafraza fragmentu wiersza Marii Konopnickiej *Jadę, jadę dzieci drogą*.
- 150 M. Głowiński, *Postowie...*, s. 109.
- 151 H. Grynberg, *Lekcja o człowieku...*, s. 7.
- 152 T. Nyczek, *Autobiografia Irit Amiel...*
- 153 H. Grynberg, *Pamiętnik 3*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2017, s. 436.
- 154 T. Nyczek, *Autobiografia Irit Amiel...*
- 155 Por. I. Amiel, *Jedwabne miasteczko*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 180.
- 156 I. Amiel, *Do Marylki*, „Miasteczko Poznań” 2015, nr 1–2 (20–21), s. 33–35.
- 157 I. Amiel, *Lekcja pamięci* [cytat pochodzi z manuskryptu znajdującego się w archiwum Irit Amiel].
- 158 I. Amiel, *Podwójny krajobraz...*, s. 5.
- 159 *Mensch* (jid., z niem. ‘człowiek’) – wyraz odnoszący się do charakteru godnego podziwu, naśladowania.
- 160 W kibucach pod koniec lat czterdziestych odbywał się płynny ruch mieszkańców – starsi oddawali pokoje nowo przybyłym, między innymi emigrantom z Europy.
- 161 Theodor Herzl (1860–1904) – twórca i główny ideolog współczesnego syjonizmu, nawoływał do utworzenia państwa żydowskiego łączącego nowoczesną kulturę europejską z żydowskim dziedzictwem kulturowym. Autor prac dotyczących syjonizmu oraz licznych dramatów.
- 162 Alfred Dreyfus (1859–1935) – francuski oficer żydowskiego pochodzenia, którego niesłusznie obwiniono i skazano za zdradę państwa.
- 163 *Iszuw* (hebr.) ‘osada’.
- 164 M. Hłasko, *Wszyscy byli odwrócenii*, w: Tenże, *Utwory wybrane*, T. 3, wstęp L. Kurpiewski, wybór M. Komar, L. Kurpiewski, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 7–146.

- 165 I. Amiel, *Życie...*, s. 161–167.
- 166 Wypowiedź Amira, mieszkającego w Izraelu znajomego Agnieszki Piśkiewicz-Bornstein, syna ocalałego z Zagłady.
- 167 Z prywatnej wypowiedzi zamieszkałej w Izraelu znajomej Agnieszki Piśkiewicz-Bornstein.
- 168 I. Amiel, *Mniej zmarli*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 22.
- 169 I. Amiel, *Powrót*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 128.
- 170 *Ner neshama* (hebr.) – świeca duszy, świeca zapalana w rocznicę śmierci, która pali się do 26 godzin.
- 171 I. Amiel, *Nie zdążyłam*, w: Taż, *Spóźniona...*, s. 16.
- 172 *To jednak ja zwyciężyłam*, film dokumentujący wizytę Irit w Częstochowie w 2014 roku (reż. i scen. M. Fijołek, Polska 2014, <https://www.youtube.com/watch?v=7sno-BOQoKgE> [dostęp: 20.02.2021]).
- 173 I. Amiel, *Ona*, „Narracje o Zagładzie” 2020, nr 6, s. 27.
- 174 Ł. Gliksman, *Życie*, w: Taż, *Wiersze zebrane*, red. R. Löw, Kontury, Tel Awiw 2004, s. 5.
- 175 Nie udało się odnaleźć źródła cytatu bądź parafrazy. Przytoczone słowa pochodzą z prywatnego notatnika pisarki.
- 176 S. Beckett, *Czekając na Godota*, w: Tenże, *Utwory wybrane w przekładzie Antoniego Libery. Dramaty, słuchowiska, scenariusze*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2017, s. 96.
- 177 *Shalom al Israel* (hebr.) ‘pokój Izraelowi’.
- 178 Nie udało się odnaleźć źródła cytatu bądź parafrazy. Przytoczone słowa pochodzą z prywatnego notatnika pisarki.

Gramatyka ocalenia

Ta rozmowa ma dwa początki. Pierwszy wywodzi się z prozy *non fiction* Eszkola Newo, zatytułowanej, zapewne nie przez przypadek, *Ostatnia rozmowa*. Irit Amiel przeczytała ją w 2018 roku, następnie wynotowała z niej 73 pytania, przetłumaczyła na język polski i wstępnie opracowała pomysł rozmowy rzeki z Agnieszką Piśkiewicz-Bornstein, która powstała na podstawie zupełnie innych pytań, wymyślonych przez rozmówczynię. Miał ją otwierać fragment wojennego wiersza *Anno 1943* Stanisława Jerzego Leca¹. Jedną ze zwrotek tego utworu do dzisiaj można przeczytać na kartkach wiszących w domu pisarki w Ramat Gan². Rozmowa potoczyła się jednak inaczej, chociaż w jej ostatecznym tytule znalazło się nawiązanie do pierwotnego pomysłu; nawiązanie, po 16 lutego 2021 roku³, zmieniające znaczenie słowa „ostatnia” w sposób radykalny. Drugi początek *Ostatnich fastryg* łączy się z określeniem pochodzącym z żargonu krawieckiego; należałoby je rozumieć jako próbny, prosty ścieg, założony z zamiarem usunięcia, ścieg fastrygujący. Prawdopodobnie Amiel myślała o czymś innym niż rozmowa, niewykluczone, że o kolejnym zbiorze opowiadań, które chciała połączyć

- 1 Informacje na podstawie rozmowy prywatnej autorki z Agnieszką Piśkiewicz-Bornstein (15 lutego 2021 roku). Historię tego pomysłu opowiedziała mi współautorka *Ostatnich fastryg*.
- 2 Kto siedł przez Polskę czasu rzezi,
a Żydem był co z martwych powstał,
o śmierć mądrzejszy, którą przeżył
gorzeć już musi jak apostoł.
(S.J. Lec, *Anno 1943*, w: *Pieśń ujdzie cało... Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką*, oprac. i szkicem wstępnym poprzedził M.M. Borwicz, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Lublin 2012, s. 111 [reprint z: Centralna Żydowska Komisja Historyczna w Polsce, Warszawa–Łódź–Kraków 1947]).
- 3 Tego dnia pisarka zmarła w swoim domu w Ramat Gan.

ideą fastrygowania, a może jedynie dość długim, dźwięczącym słowem⁴. W 2018 roku napisała opowiadanie *Lekcja pamięci*, oparte na kanwie zbioru *To jest morderstwo* Mieczysława R. Frenkla⁵, który przetłumaczyła w celach zarobkowych na język hebrajski niedługo po przyjeździe do Palestyny. Pomysłu, by przekształcić je w większą całość, jednak nie zrealizowała. Nie starczyło sił. Opowiadanie wydrukowane w „Midraszu” zostało „sfastrygowane” na którejś z nowelek Frenkla, jak gdyby naszyte na oryginał, doszyte do czyjegós tekst, być może z zamiarem późniejszego ściągnięcia go z niego niczym niepotrzebnych szwów i przerobienia na inny, samodzielny utwór.

Historia dwu początków *Ostatnich fastryg* pełna jest domniemań. Można ją jednak opowiedzieć inaczej, bez dociekania źródeł, wyjaśniania zamysłu autorskiego, domyślania się koncepcji tytułu. Będzie to wówczas historia znajomości prawie dziewięćdziesięcioletniej pisarki i o pół wieku młodszej tłumaczki, edytorki i anglistki, składająca się z pytań i odpowiedzi towarzyszących życiu Irit Amiel, skupiona na jej biografii, przypominająca znane fakty i podsuwająca ich uzupełnienia. „Co to za jednostronna historia przyjaźni”, chciałoby się powiedzieć.

Rozmowa rzeka, którą w sensie gatunkowym jest ta książka, to byt dwuosobowy. Płynący w granicach swojego koryta dialog wymaga dwu brzegów. Bez nich nie mógłby istnieć. Fenomen gatunku, poddawany wielokrotnie refleksji, w tym także podejrzliwej krytyce (kto i jak pisał? kto jest autorem?), stanowi za każdym razem zagadkę, często nie da się bowiem odtworzyć intencji współtwórców takiego tekstu, stojącej za wyborem struktury rozmowy, dociec, w jaki sposób była prowadzona, dlaczego upodobniono ją do wywiadu bądź nadano jej postać partnerskiego dialogu i kto o tym wszystkim decydował. Trudność stanowi również odkrycie i rozszyfrowanie, kto ją spisywał i czy spisywał wiernie; kto dopisywał kwestie i jakie pierwotnie one były; kto zmieniał pojedyncze słowa, frazy, a kto ich nie zmieniał; kto i które partie materiału uzupełniał podczas redakcji, a kto nic nie dodawał. Zdaniem niektórych badaczy gatunku pojęcie rozmowy w omawianym przypadku bywa po prostu mylące i nieuprawomocnione, skoro dostęp do wersji pierwotnej jest w wielu wypadkach utrudniony, rozmowa przestaje być

4 Według Agaty Patalas, pracującej z Amiel nad *Osmalonymi*, słowo „fastryga” fascynowało pisarkę swoim brzmieniem. Często przywiązywała się do określonych słów z powodu ich eufonii, szczególnych cech dźwiękowych, takich jak: twardość, szorstkość, ostrość. Informacje na podstawie rozmowy prywatnej autorki z Agatą Patalas (14 lutego 2021 roku).

5 M.R. Frenkel, *To jest morderstwo*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1958.

rozmową, a staje się panoramicznym, interlokucyjnym tekstem, wymagającym kompetencji z zakresu tworzenia dużych struktur narracyjnych i to nie tylko w typie *non fiction*⁶. A, jak wiadomo, duże teksty nie powstają spontanicznie, potrzebują planów i działań korygujących, cięć i dobudówek, więc tego wszystkiego, co nie jest, bo być nie może, tworzywem choćby najdłuższej osobistej rozmowy spisanej z taśmy (bądź z jakiegokolwiek innego nagrania) na papier (do komputera).

Fikcyjność określenia „rozmowa rzeka”, której jesteśmy dziś świadomi, nie prowadzi wszakże do porzucenia gatunku czy zakwestionowania jego możliwości. Przeciwnie, rozmów powstaje w ostatnich latach coraz więcej, a to dlatego, że dla wielu osób są one nie tylko wygodne w lekturze, ale nie stawiają też oporu duchowi czasów, chętnie poddają się zmianom technologicznym i najróżniejszym regulacjom, a przede wszystkim w sposób przystępny i żywy przekazują określoną wiedzę. Charakterystyczna pod tym względem wydaje się chociażby rozmowa Olgi Drendy i Małgorzaty Halber zatytułowana po prostu *Książka o miłości*. Powstawała ona w Google Docs, dzięki czemu mogła stać się „nietypowym esejem” o cechach dialogu⁷, a zatem tekstem pisanym, dwuautorskim, w którym głosy rozkładają się równomiernie, unikając przepytywania jednej strony przez drugą. Drenda i Halber są niemal rówieśniczkami, opanowały najnowsze techniki pisania i opracowywania tekstów, mają zbliżone energie skryptorskie. W przypadku Amiel i Piśkiewicz taka metoda pracy, wykorzystująca nowe technologie, nie byłaby możliwa. Rozmowy prowadzone w *Ostatnich fastrygach* toczyły się od 2013 roku, poprzedzającego publikację autobiografii *Życie – tytuł tymczasowy* (w otwierających ją *Słowach uznania* czytamy: „Dziękuję Agnieszce Piśkiewicz z Częstochowy, której młodzieńcza bateria oraz dobra chemia między nami umożliwiły mi dokończenie tej książki”⁸). Autorki mogły więc wielokrotnie zmieniać kolejność pytań, modyfikować odpowiedzi, długo je redagować, a nawet układać całość z fragmentów gotowych wcześniej, takich jak: luźne skojarzenia pisarki, wypowiedzi sformułowane przez nią w obecności Piśkiewicz-Bornstein, pojedyncze myśli, zdania, słowa. To zatem technika montażu – do pewnego stopnia sprzeczna z ideą

6 Por. G. Maroszczyk, *Świadectwa, rozmowy, kreacje. W kręgu wielkich tekstów interlokucyjnych*, Uniwersytet Śląski – Oficyna Wydawnicza Waclaw Walasek, Katowice 2012, s. 8.

7 Por. O. Drenda, M. Halber, *Książka o miłości*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2020, s. 10.

8 I. Amiel, *Życie – tytuł tymczasowy*, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2014, s. 5.

rozmowy rzeki, pozwalającą wyobrazić sobie, dzięki urokliwej metaforze, sytuację o wiele swobodniejszą niż praca redaktorska nad tekstem – wydaje się typowa dla gatunku. Rzeczywista rozmowa jest pocięta, pozszywana i sfastrygowana; przy czym „rzeczywista” oznacza tu zwykle nieujawniony proces poprzedzający efekt końcowy, czyli książkę. Tytułowa metafora fastrygi, być może losowo wybrana przez autorki (ze względu na dźwięczność słowa, brak lepszej propozycji, inne czynniki), idealnie oddaje to, co można nazwać realnością gatunku: jego archeologię, filozofię, komplikacje. Nie przypadkiem nawiązuje też do okładki inspirującej Amiel prozy Newo przedstawiającej podobiznę twarzy zszytą z kolorowych, materiałowych skrawków połączonych wyraźnym ścięciem⁹. Materiałowa twarz, podobna do ludzkiej, jest jak gdyby pomalowana czarną farbą. Można spojrzeć na nią jak na twarz pociętą w taki sposób, by powstałe cienie przypominały smutne oczy oraz opadnięte kąciki ust. Jej smutny wyraz, rezonujący ze słowem „ostatni”, odsyła do tradycji masek pośmiertnych, jakie w wielu kulturach nakładano na twarze zmarłych. „Malowane egipskie całuny – pisała Ewa Kuryluk – ni to portrety, ni to maski, ni to skóra, ni ciała – stworzyła ta sama wyobraźnia, dzięki której w Bizancjum powstały *acheiropoiatoi*, a na Zachodzie *sudaria* i *veraikony* Chrystusa. Każda z tych pokrytych obrazami tkanin pośredniczy między malarstwem a rzeźbą, magią a sztuką, duchem a materią, Bogiem a człowiekiem, życiem a śmiercią – i posiada wiele funkcji. Jest drugą skórą, relikwią i talizmanem, iluzjonistycznym portretem i dziełem sztuki”¹⁰.

Patchwork z okładki *Ostatniej rozmowy*, skojarzony z maską pośmiertną, może pomóc zrozumieć, jak autorki *Ostatnich fastryg* definiują biografię. Pozszywana z różnych części, jednym razem pomiętych, innym – oszłamiająco kolorowych, biografia wypowiedziana w rozmowie Amiel z Piśkiewicz-Bornstein wyłamuje się z ram spójnych, linearnych życiorysów. Staje się dwupodmiotowym tekstem o biografii kobiet, osnutym wokół wieloznacznego mitu Ariadne, gdzie Ariadne i Arachne przedstawione

9 Na okładce *Ostatnich fastryg* umieszczono obraz Dity Amiel *Selfie*. Powstał on po śmierci jej matki, Irit Amiel, z myślą właśnie o okładce niniejszej rozmowy rzeki. Obrazy Dity Amiel były wykorzystywane także na okładkach wcześniejszych książek Irit Amiel wydanych w Polsce.

10 E. Kuryluk, *Weronika i jej chusta. Historia, symbolizm i struktura „prawdziwego obrazu”*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998, s. 270.

są jako siostrzane tkaczki¹¹, którymi tu, w *Ostatnich fastrygach*, przecież nie są. Piśkiewicz-Bornstein stawia pytania, pilnuje udzielanych odpowiedzi, dba, by rozmowa nie uciekała na boki, ale też – by nie stała w miejscu i nie toczyła się monotonicznie. Przy okazji opowiada o swoim przyjeździe do Izraela, małżeństwie, dzieciach, zamiłowaniach literackich. W to wszystko wtopiona zostaje, znana skądinąd, biografia autorki *Osmalonych* – nieznanne dotąd fakty mogą zaistnieć jednak dlatego, że ktoś o nie pyta i rozumie, dlaczego potrzebne jest to uzupełnienie.

Dzięki dialogowi obu autorek po raz pierwszy pisarka z Częstochowy przemawia w swojej biografii jako „ja”, a nie „ty” czy „on” lub „ona”, w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Uwiarygodnia w ten sposób relację, ale stwarza także opowieść dla odbiorcy przyjaźniejszą, bardziej dostępną, zawiera z nim pakt autobiograficzny. To ważna zmiana, do tej pory Amiel ukrywała się bowiem za zasłoną fikcji; począwszy od zbioru wierszy *Egzamin z Zagłady* z 1994 roku, wypowiadała swoją biografię przede wszystkim nie wprost: obdzielając nią bohaterów Starego Testamentu¹², bohaterki o fikcyjnych imionach czy nazwiskach¹³, wreszcie drugoosobową personę reprezentującą ją samą w autobiografii¹⁴. Wspomniana druga osoba, będąca najbardziej zastanawiającym głosem życia pisarki, staje się w *Ostatnich fastrygach* po prostu głosem Agnieszki Piśkiewicz-Bornstein, rzeczywistym głosem, który wchodzi w rzeczywisty dialog. Dialog w każdym znaczeniu spełniony. W *Życiu – tytule tymczasowym* przypominał on lustro, przed którym samotnie siedziała pisarka; możemy jedynie się domyślać, że ktoś jej to lustro przytrzymał, podsuwał, a czasem zabierał, by odpoczęła od męki solilokwium. W przypadku rozmów z tego tomu ciężar autoanalizy zostaje z Amiel w dużej mierze zdjęty, a najboleśniejsze dramaty stają się

- 11 Na temat Ariachne pisał John Hillis Miller (Tenże, *Ariachne's Broken Woof*, „Georgia Review” 1977, no 31, s. 44–60). Krytykę tej koncepcji, opartą na dowodzie błędnie rozpoznanej różnicy między obiema postaciami mitologicznymi przy równoczesnym ukryciu źródeł przemocy, znajdujących się zwłaszcza w historii Arachne, przeprowadziła Nancy K. Miller (Taż, *Arachnologie: kobieta, tekst i krytyka*, przeł. K. Kłosińska, K. Kłosiński, w: *Teorie literatury xx wieku. Antologia*, red. A. Burzyńska, M.P. Markowski, Wydawnictwo Znak, Kraków 2007, s. 487–513).
- 12 Por. I. Amiel, *Wyjście z Egiptu; Próba*, w: Taż, *Spóźniona / Deleyed*, Austeria, Kraków–Budapeszt 2016, s. 98, 158.
- 13 Por. I. Amiel, *Koniec wojny; Ucieczka spod Jasnej Góry; Pierwsze kroki w Kraju*, w: Taż, *Podwójny krajobraz*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008, s. 7–30.
- 14 Por. I. Amiel, *Życie...*

udziałem dwu osób. Wypowiedziane jedynie w swoim imieniu życie ocalałej trafia od razu do „protokolantki”, do osoby „zbierającej relacje”¹⁵, będącej zarazem powiernicą, przyjaciółką, sąsiadką, niemalże „wnuczką”.

Biografia Amiel odrywa się tu od wielu stereotypów, jakimi przez lata obrosła. Przestaje być wzorem opowieści o osobie, która porzuciła wojenne doświadczenia i wygrała los na loterii. Jak pisała Joanna Beata Michlic: „Od końca 1945 roku o ocalałych dzieciach tworzone kliwie, pokrzepiające opowieści, które miały odpowiadać na potrzeby i spełniać oczekiwania odbiorców, pragnących wysłuchać »szczęśliwych historii«. Nie ukazywały one jednak całego spektrum ludobójczych i poludobójczych doświadczeń ocalałych dzieci. Owe podnoszące na duchu opowieści ignorowały bowiem zawłości zrujnowanego życia tych dzieci w okresie tuż po wojnie, co wynikało z kilku czynników, takich jak powody psychologiczne, kulturowa dominacja zachodniego sentymentalizującego sposobu przedstawiania dzieci oraz różne tworzące się narodowe narracje o szybkiej rehabilitacji młodych ocalańców i ich udanej integracji z nowym środowiskiem w nowych ojczyznach”¹⁶. Sama Amiel nie stworzyła nigdy budującej, kliwej opowieści, nie utrudniała jednak także kreowania jej przez innych. Wyróżniano tę literaturę najchętniej ze względu na humor i autoironię towarzyszące wspomnieniom Zagłady oraz afirmację najtrudniejszych doświadczeń. Częściowo właśnie te cechy twórczości Amiel zadecydowały o wliczeniu jej w poczet autorów lektur szkolnych. W świetle rozważań zawartych w niniejszym tomie trzeba jednak dokonać korekty utrwalonego wyobrażenia.

Pisarka porzuca „znieczulanie” polskich czytelników humorem i formułuje wiele ostrych sądów pod adresem ich postaw wobec Żydów w czasie wojny, sądów niekiedy dość ogólnych i dla obu stron nieprzyjemnych. Jednocześnie pozostaje krytyczna wobec polskich Żydów, którzy nie opuścili po wojnie kraju. Ma jednak do tego prawo – po pierwsze, jako wspominająca lata dzieciństwa prawie dziewięćdziesięciolatka, po drugie, jako narratorka posługująca się chętnie mocnymi, krótkimi sformułowaniami, zrozumiałymi dla czytelników i przez nich lubianymi, choć dalekimi od naukowości. Odejście od „znieczulania” dotyczy także innych aspektów jej życia, na

15 Nawiązuję do zbierania relacji od osób, które przeżyły Zagładę, w ramach działalności Centralnej Komisji Historycznej, a od 1947 roku Żydowskiego Instytutu Historycznego.

16 J.B. Michlic, *Piętno Zagłady. Wojenna i powojenna historia oraz pamięć żydowskich dzieci ocalałych w Polsce*, przeł. A. Musiał, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2020, s. 16–17.

przykład macierzyństwa, które pierwszy raz we wspomnieniach z Zagłady zostaje pokazane jako doświadczenie trudne, przerastające możliwości młodej, osmalonej matki, samotne, odseparowane od rodziny, gorzkie (pisarka formułuje tu ważne słowa na temat depresji poporodowej u kobiet, które straciły w czasie wojny matki). Amiel nie przedstawia jednak szczegółów, ale opowiada o niepowetowanej stracie, jaka nastąpiła w jej życiu po 27 września 1942 roku, między drugą a trzecią akcją likwidacyjną w getcie częstochowskim, kiedy na zawsze straciła z oczu rodziców. Nie zatrą poczucia pustki ani życzliwa rodzina Chuzy'ego Amiela, ani szczęśliwe, długoletnie małżeństwo, pozwalające funkcjonować pisarce między sekretnym, polskim światem a izraelską teraźniejszością, ani nawet najróżniejsze sukcesy literackie, z których najważniejsza wydaje się ogromna sympatia czytelników, poświadczona wieloma tłumaczeniami poezji i prozy Irit Amiel na języki świata.

Zagłada – czy pisarka – dokonała zniszczeń, których skutków nigdy nie uda się cofnąć. Można jedynie w nieznacznym stopniu starać się, by wypełnić świat nowymi ludźmi. Poczucie misji, towarzyszące jej od połowy lat czterdziestych i pobytu w kibucu Palmachim, który uczynił z Amiel żołnierkę, nałożyło na nią obowiązek traktowania słów jako siły sprawczej, dającej życie. Dzięki słowom ożywa „martwa klasa”, czyli przyjaciele z dzieciństwa spędzonego w Częstochowie¹⁷, którzy stają się w jednym z opowiadań na powrót dziećmi; ożywają też dziadkowie i rodzice, zmieniając się w symbole samych siebie, książki i przedmioty wracające do miejsca urodzenia dzięki słowom¹⁸. Magia literowa, istotna w Kabale żydowskiej, dla Amiel okazuje się tradycją, w której szuka się sprawczości dla języka. Pisarka, przemawiająca w *Ostatnich fastrygach* w swoim imieniu, czyni tę sprawczość czymś znacznie ważniejszym niż opisane wcześniej mity; być może nie wszystkim się ona spodoba, tak jak wizerunek krótko obciętej, eleganckiej polskiej sabelki ze spalonym głosem, należy jednak przypuszczać, że rozmowa rzeka to w pewnym sensie testament, jaki zostawia nam po sobie; jej ostatnie słowa będą czytane uważniej niż wszystkie wcześniejsze. Mimo że są to słowa „sfastrygowane”. Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na detale związane z opisem getta częstochowskiego: kryjówkę na strychu, zbudowaną dla rodziny przez Leona Librowicza, czy wieści o Treblince, jakie przywiózł do

17 Por. I. Amiel, *Pożegnanie mojej martwej klasy*, w: Taż, *Podwójny krajobraz...*, s. 99–101.

18 Por. *To jednak ja zwyciężyłam*, reż. i scen. M. Fijolek, Polska 2014, <https://www.youtube.com/watch?v=7snoBOQoKgE> [dostęp: 20.02.2021].

Częstochowy uciekinier z tego obozu Michał Lejzerowicz. Amiel wspomina pogrom z 1937 roku, nastroje antyżydowskie przed wybuchem wojny i współczesny antysemityzm. Rzadko wraca pamięcią do mitu ukochanej Polski, która ją odrzuciła, wybierając z historii raczej fragmenty, o których można mówić bez angażowania negatywnych emocji.

W opinii Agaty Patalas te dwugłosowe wspomnienia przypominają sziwę – żałobny zwyczaj lamentowania po czyjeś śmierci¹⁹. Rodzina zmarłego zbiera się w jego domu, przez siedem dni wspomina go i opłakuje, nie opuszczając miejsca żałoby i nie podejmując codziennych czynności (takich jak praca)²⁰. Tak rozumianej sziwy w *Ostatnich fastrygach* nie ma, żałobę należy raczej widzieć w rozciągniętym na lata procesie odczulania się z doświadczenia utraty, a szczególnie uczenia się, by mówić o niej coraz dosłowniej, prościej, bez nadmiaru retoryki. Pod tym względem omawiana rozmowa rzeka wydaje się tekstem – mimo językowych kantów, charakterystycznych dla języka mówionego – wypolerowanym jak rzeczny kamień²¹: Amiel wypowiada się konkretnie, wyjawia rodzinne sekrety bez mrugnięcia okiem, formułuje myśli w zamkniętym, nieraz aforystycznym stylu. Gdy piszę te słowa, zastanawiam się nad osobą krawcowej, kładącej „ostatnie fastrygi”, tej, która zszywa, ale też myśli, gdzie i jak tę materię poukładać; nad tą, która zostaje z pomysłami, ale i w kłopotcie. Zdjąć nici czy zostawić? Pokazać czy usunąć prawdę materiału? Decyzje, w jakim stopniu tekst rozmowy rzeki powinien zostać przeredagowany, zwykle są bardzo trudne. Staraliśmy się wraz z autorkami nie ingerować w indywidualny styl każdej z nich i uszanować fakt, że ukształtował się on w wyniku wieloletnich spotkań. Cel był taki: zachować w tym stylu także i tę część historii, jaką najmniej tu widać, historię przyjaźni. Przypisy i objaśnienia zostały wprowadzone do tekstu tam, gdzie to konieczne i rzeczywiście ułatwia lekturę. Pozostałe ingerencje są nieliczne.

W przypadku twórczości Irit Amiel ważną rolę odgrywa styl. Nie jego brak, ale właśnie styl cechujący się zachowaniem pewnej spontaniczności, charakterystycznej dla komunikacji potocznej, jednoczesności opowiedzianych zdarzeń, łatwości w prowadzeniu czytelnika od jednej do drugiej

19 Z rozmowy prywatnej z Agatą Patalas.

20 Zob. *Sziwa* [hasło w *Słowniku podstawowych terminów i znaczeń*], w: *Kalendarz żydowski 1986–1987*, Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego w PRL, Warszawa 1986, s. 28.

21 Por. T. Nyczek, *Autobiografia Irit Amiel. Panna z Częstochowy żyje w Tel Awiwie*, „Gazeta Wyborcza” z 26 sierpnia 2014 roku.

sceny, naturalności w formułowaniu spostrzeżeń. Patrząc na to z perspektywy opowiadania *Ostatnie rozmowy* z tomu *Podwójny krajobraz*, z którym *Ostatnie fastrygi* będą się kojarzyć, należałoby powiedzieć, że najpilniejszym zadaniem dla pisarki było znalezienie stylu, dzięki któremu zdołała by oddać uczucie „realnej obecności”, mówiąc za George'em Steinerem²², czyli życia w bolesnej przeszłości i zmieniającej się terazniejszości równocześnie. Przepęłnione trudnym do rozplątania dialogiem osmalonych opowiadanie przedstawia dwie przyjaciółki, z których jedna, terminalnie chora, prawie nie mówi, a druga prowadzi dialog w imieniu obu. Z jej opowieści wyłania się biografia Irit Amiel, ukazana jednak we fragmentach i w szczałkach, przypisanych raz jednej, raz drugiej bohaterce. Opisując tę, która umiera, narratorka mówi: „Opowiadała mi to kiedyś, gotując dla was kompot w swojej nowoczesnej kuchni, i co chwilę przerywała, i podawała mi do skosztowania ten kompot. Miała taką zdolność do przeskakiwania między czasami. Była jednocześnie tu i tam...”²³. Opowieść o życiu po Zagładzie chce być toczącą się nieprzerwanie rozmową i takie cechy nosi także literatura Irit Amiel. Ostateczność tej rozmowy jest oczywista i zrozumiała. Kiedy przerwie się nić, zniknie dostęp do przeszłości, należy zatem robić wszystko, by podtrzymywać dialog i nie przerywać tkania. Fastrygi muszą pozostać na materiale, by przypominać, co takiego się tu szyje.

Marta Tomczok

22 Por. G. Steiner, *Rzeczywiste obecności*, przeł. O. Kubińska, Słowo /obraz, terytoria, Gdańsk 1997.

23 I. Amiel, *Ostatnie rozmowy*, w: *Taż, Podwójny krajobraz...*, s. 108.

Ostatnie Fastrygi הוא הספר האחרון של ניצולת השואה עירית עמיאל, ילידת צ'נסטוחובה שנולדה בשנת 1931 בשם אירנה ליברוביץ'. הספר נכתב כראיון בין הסופרת והמשוררת, שהלכה לעולמה בפברואר 2021, לבין מזכירתה הקרובה, אגניישקה פישקייביץ' בורנשטיין. השיחות הארוכות בין שתיהן לוקחות אותנו במסע בזמן, ובאותה נשימה נותנות לנו הצצה לעולם הפנימי של עמיאל המלא ברגשות, זיכרונות ודעות. הספר אומנם נכתב בישראל, אבל השיחות נערכות כולן בפולנית עסיסית ואותנטית. בשלושת הפרקים עמיאל מעלה את זכרונות משפחתה, החברים והקהילה, חוזרת לעיר מולדתה בפולין, צ'נסטוחובה שלפני המלחמה, בתקופת הגטו ולאחר שניצלה. היא משתפת פרטים על הבריחה האמיצה שלה, התלאות שעברה בדרך עד להגעתה למדינה היהודית החדשה, ועל החיים המרתקים שלה שם. בפרק האחרון עמיאל מספרת על אחורי הקלעים בכתיבה של ספריה, "צרוכים" ו"נוף כפול". שניהם היו מועמדים לפרס היוקרתי הפולני "ניקה" ותורגמו לשמונה שפות. עמיאל משתפת הרהורים על השירים שלה ועל הצורה התנ"כית שהיא בחרה להשתמש בחלק מהם. עמיאל הינה דמות אמיצה ואמיתית בדעות ובהחלטות שלה, היא אף לא נמנעת מלחשוף נושאים רגישים וקשים כמו האנטישמיות בפולין, עתידה של ישראל או מוות.

סוף הדבר שנכתב בסיום הספר נכתב על ידי פרופסור מרתה טומצ'וק שמביאה מידע מיקצועי וחשוב בנושא. מידע זה הינו בעל ערך גדול לחוקרי שואה, ספרות והיסטוריה. יחד עם זה, כל קורא ימצא בו ענין רב.

Summary

Ostatnie fastrygi is the last piece of writing by the late Holocaust survivor Irit Amiel, born in Częstochowa in 1931 as Irena Librowicz.

Shaped into a book-length interview between the writer, who passed away in February 2021, and her secretary, Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein, the long conversation is a detailed account of the journey through time that Amiel takes us on, and at the same time provides a glimpse into her inner world of memories, beliefs, and emotions. Though recorded in Israel, the interview is conducted entirely in Polish – Amiel’s mother tongue, rich and authentic. In the three chapters that the book is divided into, Amiel goes back to her pre-war childhood in her birth town of Częstochowa and recalls her family, friends, and members of the Jewish community during the ghetto times and afterwards.

She brings details of her bold escape to the new Jewish country that she took pride in building, and the life she has made there since then. In the last part Amiel provides the background of the process of writing her collections of short stories: *Scorched* and *Double Landscape* (Polish *Osmaleni* and *Podwójny krajobraz*), both nominated for the Nike Literary Award and translated into eight languages. She talks about her poems and the biblical style she chose for writing some of them. Truthful and brave about her opinions and decisions, Amiel does not avoid difficult subjects, such as antisemitism in Poland, the future of Israel, and death.

The book, with the afterword by Professor Marta Tomczok, who brings the expert knowledge in the field, will make valuable material for the Holocaust researchers, historians, and literary critics. At the same time, it may be of interest to non-professional readers.

Na okładce obraz Dity Amiel *Selfie*

Przypisy opracowały Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein i Marta Tomczok

REDAKTOR

Agnieszka Plutecka

PROJEKT OKŁADKI, UKŁADU TYPOGRAFICZNEGO ORAZ ŁAMANIE

Zofia Oslislo

REDAKTOR INICJUJĄCY

Michał Kompała

Nota copyrightowa obowiązująca do 31.08.2022:

Copyright © 2021 by Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone

Sprzysiamy otwartej nauce. Od 1.09.2022 publikacja dostępna na licencji Creative Commons

Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe (cc BY-SA 4.0)



Wersja elektroniczna monografii zostanie opublikowana w formule wolnego dostępu
w Repozytorium Uniwersytetu Śląskiego www.rebus.us.edu.pl

Amiel, Irit

<https://doi.org/10.31261/PN.4082>

Ostatnie fastrygi / Irit Amiel w rozmowie

z Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein. - Katowice :

ISBN 978-83-226-4107-1

(wersja drukowana)

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2021. -

ISBN 978-83-226-4108-8

(wersja elektroniczna)

(Biblioteka Narracji o Zagładzie ; 1)

ISSN 2720-1597

WYDAWCA

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice

www.wydawnictwo.us.edu.pl

e-mail: wydawnictwo@us.edu.pl

DRUK I OPRAWA:

Volumina.pl Daniel Krzanowski

ul. Księcia Witolda 7-9

71-063 Szczecin

Wydanie I. Arkuszy drukarskich: 15,25. Arkuszy wydawniczych: 13,5.

Publikację wydrukowano na papierze Munken Pure 120 g. PN 4082. Cena 54,90 zł (w tym VAT)

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego dołożyło wszelkich starań, by odnaleźć właścicieli praw autorskich i majątkowych do zdjęć archiwalnych zamieszczonych w książce. Do niektórych Autorów nie udało się nam dotrzeć. Autorów tych prosimy o kontakt.



Agnieszka Piśkiewicz-Bornstein

z wykształcenia anglistka, zaangażowana w projekty mające na celu ochronę dziedzictwa kultury żydowskiej w Polsce. Współautorka, wraz z Izykiem Mendlem Bornsteinem, książki o jego ocaleniu z Zagłady *B-94. Siła Ocalałego*. Przełożyła na język polski wspomnienia ocalałych: Leona Zelmana (*Po Ocaleniu*), Murraya Schwartzbauma (*Co opowiedział mi Papa*) i Uriego Nachimzona (*Polski Patriot*). W latach 2012–2021 pełniła funkcję asystentki literackiej poetki i pisarki Irit Amiel.

Wywiad Agnieszki Piśkiewicz-Bornstein z Irit Amiel, zmarłą w lutym 2021 pisarką tworzącą po polsku i po hebrajsku, ma charakter małej monografii jej twórczości czy też obszernego autokomentarza. Przynosi zapis faktów biograficznych, sposobu odczuwania, problemów twórczych.

Z recenzji wydawniczej prof. dr hab. Anny Nasitowskiej

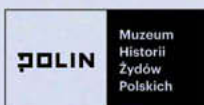
Żydówka, polska pisarka pytała:
– Czy to nie brzmi egzotycznie – Irit Amiel?
Przecież wciąż jestem Irką Librowiczówną
z Częstochowy.

Piękne dzieciństwo. Zagłada. Izrael.

W ostatnich latach życia, w rozmowach z Agnieszką Piśkiewicz-Bornstein, była pełna wigoru i bezwzględna, to znaczy prawdziwa.

prof. dr hab. Piotr Mitzner

PATRONAT HONOROWY



PATRONAT MEDIALNY



ISSN 2720-1597

Cena 54,90 zł (w tym VAT)

ISBN 978-83-226-4108-8



9 788322 641088

Więcej o książce

